

powiedziałam, a na czoło wystąpiły mi kropelki zimnego potu.

8

– Wiedziałam, że mi pomożesz! Muszę się tylko przebrać w jakiś łach, żebym się nie pobrudziła – oświadczyła, a potem popędziła po schodach na górę.

„A niech tam” – pomyślałam, kręcąc głową, i stwierdziłam, że powinnam zacząć od myszkowania w szparach między poduchami kanapy. Da mi to przewagę. Od razu znalazłam zapalniczkę i wsadziłam do kieszeni. Potem wpadło mi w ręce 37 centów, które też schowałam do kieszeni, oraz oblepioną kłakami landrynkę, którą jednak zostawiłam innym, będącym w większej potrzebie, poszukiwaczom złota.

– W porządku, jestem gotowa – powiedziała, pojawiając się w podkoszulku z moja karykaturą i imieniem na plecach (karykatura powstała, gdy studiowałam na Uniwersytecie Stanowym w Arizonie i pracowałam w lokalnym wydawnictwie prasowym).

– Zdawało mi się, że mówiłaś o włożeniu jakiegoś łacha – zareagowałam natychmiast. – To mój podkoszulek. Jest na nim moja podobizna. I moje imię. I to nazywasz łachem?

– Nie chciałam cię urazić, po prostu miałam zamiar wdziac jakiś łach – odparła.

– Aha, czyli to nie znaczy, że jestem zupełnie pozbawiona gustu, tylko ubieram się w łachy, tak? – warknęłam. – Co mam zrobić, żeby zostać osobą zupełnie pozbawioną gustu? Może gdybym podpisała podkoszulek i dała ci w prezencie?

– No nie, jest nawet fajny. To mój ulubiony podkoszulek – wyjaśniła.

9

– W takim razie bardzo mi przykro, że uznałaś go za łach. Powinnam była dać ci ten, który uszyliśmy z jedwabiu, z zagrożonych wyginięciem robaków. Uśmiechnęła się.

– Okej, muszę tylko wziąć jakiś patyk, a potem możemy pójść poszukać kluczy – zakończyła.

– Po co nam patyk? – zapytałam. – Okno możemy wybić kamieniem.

– Nie, patyk nie jest do wybijania okna, tylko do grzebania w śmieciach.

– Będziemy grzebać w śmieciach? Po co? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Podejrzewam, że klucze są na samym spodzie worka ze śmieciami, który wczoraj wyniosłam.

– Powtórz, bo nie zrozumiałam: więc założyłaś mój podkoszulek po to, żeby przekopywać się przez śmieci innych ludzi?

– Tak. Widzisz? Gdybym uważała, że jest zupełnie do niczego, założyłabym go do przetykania muszli.

Nikki znalazła patyk – a właściwie kij od miotły – i poszliśmy do kontenera na śmieci, który wielkością przypomina mój dom, tylko śmierdzi znacznie gorzej. Wspięliśmy się i zajrzałyśmy do środka. Ujrzałyśmy wszystkie śmieci Nikki i śmieci czterdziestu jej sąsiadów. Tamtego dnia termometr wskazywał 45 stopni w cieniu, a odór odpadków był prawie widzialny i układał mi się przed oczyma w pełne zawijasów dymki, zupełnie jak w komiksach. Nikki zaczęła grzebać patykiem, starając się znaleźć własny worek ze śmieciami, który, jak można było się domyślać, leżał na samym dnie.

\0

Odpadki wały się wszędzie – kocie kupy, zgniłe warzywa i stare jedzenie, zużyte chusteczki higieniczne i sporo zdechactwa. Wszyscy w bloku Nikki używają pigułek antykoncepcyjnych, jak się domyśliłam. Nagle worek, popchnięty zbyt energicznie przez Nikki, pękł i w samym środku mojego pola widzenia pojawiła się ta mała biała rzecz.

– Aaaaaaaaach! – wrzasnęłam.

– Co jest? – zapytała Nikki, przysuwając się do mnie.

– Nie patrz tam – powiedziałam, starając się jej zasłonić widok, wiedząc, że ma słaby żołądek i robi jej się niedobrze, kiedy mówię o dłubaniu w nosie albo kiedy wspomnę o kupce dziecka, więc wiem, że zwymiotowałyby, gdyby zobaczyła to, co ja, czyli niezawiniętą, zużytą podpaskę.

„Ojej – pomyślałam – babo, czy nie nauczono cię, co się z tym robi? Przecież kiedy moja mama domyśliła się, że zaczynają mi furkotać jajniki, posadziła mnie w jedynym intymnym pomieszczeniu w całym domu – czyli w jej łazience – oderwała kawałek papieru toaletowego z rolki, wzięła podpaskę i pokazała, jak się ją zwija po użyciu. Trzy razy wzdłuż i trzy razy w poprzek. Zużyte zawija się i pakuje, tego wymaga kultura. W wieku ośmiu lat nawet ja to wiedziałam. Dla dodatkowej ochrony pamiętkę można wsadzić do foliowego woreczka, żeby domowe psy jej nie wywęszyły i nie rozdarły na kawałki, co uwielbiały robić nasze, Ginger i

Brandy. Tuż po pokazie wysłuchałam przemówienia w stylu «czuję się nieświeżo», po którym uciekłam do mojego pokoju i ryczałam przez godzinę, bo nie było w sklepie lalki Barbie z ma-

\\

lutką podpaską, aplikatorem tamponów ani kosmetyków z kobiecej serii Summer's Eve".

Wreszcie znalazłyśmy upragniony worek ze śmieciami, ale bez kluczyków. Prawdę mówiąc, upłynęły trzy tygodnie, odkąd Nikki spostrzegła zgubę, a kluczyków jak nie było, tak nie ma. Kto wie, gdzie są?

Może zgodnie z jakimiś niewytłumaczalnymi zasadami, którymi rządzi się świat Nikki, ktoś zwinął jej klucze trzy razy wzdłuż, trzy razy w poprzek, a jakiś głodny pies je zjadł?

Pewnego wieczoru Joel podzielił się ze mną pewnym spostrzeżeniem.

– Cieszę się, że jestem jednym z głupków – poinformował mnie. – Tak jest lepiej.

– Naprawdę? – zapytałam. – Jak to?

– Widzisz, są rzeczy, na których się znam, i są rzeczy, na których się nie znam,

dzięki czemu nie muszę się przejmować wszystkimi rzeczami naraz.

Wyjaśnił mi, że jego brat Jeff razem z Jamie, naszą znajomą, od czasu, kiedy skończyli college i zarabiają ponad 4,25 dolara za godzinę, zaliczają się do grupy bystrzaków. Dodał też, że dzięki przebywaniu w ich towarzystwie, zapamiętuje strzępki mądrych informacji, które nazywa „historyjkami” – jak na przykład, kto jest wiceprezydentem USA lub jak przejść test na narkotyki. Potem opowiada te historyjki ludziom, z którymi pracuje i którzy zaliczają się do grupy głupków, dlatego Joel uchodzi wśród nich za mądralę.

– Aha, rozumiem – powiedziałam. – Więc dzięki temu uchodzisz za bystrzaka. Ale głupcy mają łatwiejsze życie.

^3

– No – powiedział. – Widzisz? Cieszę się, że w liceum byłem z matmy w grupie głupków.

Potem nadszedł czas na pytanie.

– Okej – zaczęłam – jeżeli Jeffi Jamie zaliczają się do bystrzaków, a ty do głupków, to do jakiej grupy zaliczam się ja?

– Widzisz – westchnął – ty też jesteś w grupie głupków.

– Aha – to wszystko, na co było mnie stać.

– Ale tylko dlatego, że jesteś cool i nie możesz być w grupie bystrzaków – dodał szybko.

„To miłe z twojej strony – pomyślałam – ale masz rację. Czułam, że zaliczam się do głupków, ale nigdy nie byłam tego pewna. A tutaj – proszę, opinia cenionego specjalisty”.

Powinnam była zorientować się wcześniej. Przecież w dobrej wierze należę do Klubu Idiotek, którego członkiniami, oprócz mnie i Nikki, jest sporo naszych znajomych, w tym Krysti i Kate, a wszystkie mają jakieś stanowisko.

Ja – a jakżeby inaczej – jestem obecną przewodniczącą z wyboru.

Pewnie pamiętacie, jak Nikki zgubiła klucze do samochodu i nie mogłyśmy ich znaleźć. Prawdę mówiąc, nie znalazłyśmy ich w ogóle. Jej samochód dalej stoi zaparkowany na chodniku pod kątem 45 stopni, jak pięć tygodni temu, z tym, że teraz z dwóch kół uszło powietrze, a wewnątrz stało się matecznikiem dla bandy zdziczałych kotów i kruka.

Niestety, dla mnie historia na tym się nie kończy. Dwa tygodnie temu, gdy stanęłam przed drzwiami z pół litra

14

whisky galopującej w krwiobiegu, powiedziała, że teraz zgubiła jeszcze klucze do mieszkania.

– Ale – dodała bełkocząc – to nic, i tak wejdziemy.

Jej koleżanka z pokoju ma łom w bagażniku, do którego kluczy Nikki jeszcze nie zdążyła zgubić.

Tamtego wieczoru odkryłam, że kiedy zaleję się w pestkę, przydarzają mi się jeszcze inne rzeczy, oprócz tego, że jestem wtedy szczupła, atrakcyjna i mam śpiewny głos piosenkarki soulowej.

Zataczam się jak naćpana prostytutka, bo po wdrapaniu się na dwuipółmetrowy mur do ogrodu Nikki miałam całe uda w siniakach. Następnego dnia wydawało mi się, że

stoczyłam (wolnoamerykańską) walkę z ginekologiem. Drink może też dodać człowiekowi nadludzkiej siły. Na własne oczy widziałam, jak Nikki wzięła łom i podeszła do tylnych drzwi. Po pierwszej próbie drzwi otworzyły się na oścież, a część metalowego zamka wystrzeliła jak z procy na pięć metrów. Znalazłyśmy się w domu. Uśmiechnęłyśmy się. Ale z nas bystrzacha! Potem zauważyłyśmy, że rama była tak pogięta i brakowało tylu elementów zamka, że drzwi nie dało się zamknąć. Teraz zdałyśmy sobie sprawę, że jesteśmy głupie, zwłaszcza kiedy przyszedł nasz kolega, Mikę, i uśmieł się, bo chcieliśmy pozbyć potencjalnych włamywaczy złudzeń, konstruując własny zamek z kawałków sznurka i taśmy klejącej. Owoc naszych wysiłków upadł na ziemię, gdy tylko Mikę dotknął drzwi.

W wielu innych sytuacjach okazywałam się głupkiem, na przykład wtedy, kiedy chciałam dokuczyć listonoszowi i zostawiałam wszystkie reklamy w skrzynce na listy,

^

bo miałam już dość wyrzucania tych śmieci. Robiłam tak przez cztery tygodnie, aż wreszcie zabrał wszystko i czułam, że wygrałam. Bystrzacha ze mnie. Potem przestał przynosić listy i zostawił złośliwą notkę, że moje mieszkanie jest puste. I wtedy poczułam się głupio.

Jeszcze innym razem stałam za barem i zauważyłam niesamowicie przystojnego chłopaka z długimi blond włosami siedzącego po drugiej stronie sali. Uśmiechnęłam się i on uśmiechnął się do mnie. Zaczęłam się mizdrzyć, wciągnęłam brzuch i posyłałam mu wabiące spojrzenia, a on nie przestawał na mnie patrzeć. Zachowywałam się, jak przystało na bystrzachę. Potem zbliżyłam się ku środkowi sali. Nadal mizdrząc się, poprawiałam sobie włosy i te rzeczy. Bez przerwy przysuwałam się do niego. Byłam już bardzo blisko – na krześle barowym obok, kiedy zorientowałam się, że doskonale wiedział, co robię, bo „sam był” dziewczyną. I to ładniejszą ode mnie. Wtedy poczułam się jak głupek.

Chyba jednak okazałam się największym głupkiem, kiedy rzucił mnie chłopak, Super Demon Brad. To znaczy niezupełnie zerwał ze mną. Super Demon Brad po prostu miał zamiar wyjechać do innego stanu z dziewczyną uczesaną w cienkie warkoczki, w przewiewnej bawełnianej sukience – suka, a nie dziewczyna – nie mówiąc mi o tym ani słowa. Odkryłam to, kiedy pewnego dnia wybrałam się do jego mieszkania, a ona pakowała rzeczy do górnianego hipisowskiego furgonu z fioletowymi zasłonami. Fioletowe zasłony! Właśnie wtedy wyznał mi, że poznał prawdziwy cel swojego życia, a było nim pójście w ślady zespołu Grateful

06

Dead. Suka kupiła vana, uszyła zasłony, a on wyjeżdża. I wyjechał.

Postąpiłam głupio. Nie wyjęłam z torebki widelca i nie wbiłam go jemu, a potem jej w gardło. Wydawało mi się, że okażę się bystrzacha, kiedy zamiast tego odwrócę się na pięcie bez słowa, chociaż nalegał, abym go uderzyła. Gdybym teraz miała taką sposobność, wyrwałabym mu gołymi rękami zęby i wplotłabym tej suce w warkoczki. Ale wtedy wskoczyłam do samolotu do Port-land w stanie Oregon, gdzie awaryjny chłopak wyjechał po mnie na lotnisko.

Ponieważ jestem głupkiem pełną gębą, mam nie tylko wspomnienia głupich rzeczy, jakie zrobiłam, ale i zdjęcia, ponieważ właśnie tak dzieje się z głupkami, którym wpadnie w ręce aparat fotograficzny. Podczas ostatniej przygody słodkich idiotek, kiedy to ja, Nikki i skarbniczka klubu, Kate, pojechałyśmy na północ do Flagstaff, żeby pooglądać Olimpiadę Nudystów, wzięłam ze sobą aparat, by uwiecznić to wydarzenie. Ale kiedy wreszcie dotarłyśmy na miejsce, nie mogłyśmy znaleźć żadnych nagusów, mimo że cała okolica miała się od nich roić.

Skręciłyśmy w jakąś polną drogę i zabłądziliśmy na strasznym zadupiu.

Jechałyśmy,

dopóki któraś z nas nie powiedziała, że chce jej się sikać. Zatrzymałyśmy samochód, znalazłyśmy kilka używanych chusteczek i skierowałyśmy się do lasu. Wtedy któraś stwierdziła, że dobrze byłoby mieć pamiątkowe zdjęcia z tego wydarzenia – a nawet nie byłyśmy pijane! Teraz, dzięki temu odruchowi i trzaśnięciu migawki jednej bardzo zapalanej amatorki fotografowania, istnieje kilka dowodów rzeczowych, które- pokazują mnie na różnych etapach

Cev4 II i ? "5? ?? F <#

użyźniania gleby: jak ściągam majtki, jak się podcieram, a potem nagle jak podciągam gwałtownie majtki, gdy zorientowałam się, że ktoś mnie obserwuje. Ale kiedy dostałam zdjęcia, naprawdę nie miałam nic przeciwko. Ktokolwiek naciskał migawkę, był zbyt głupi, aby zorientować się, że stoi za daleko. Na zdjęciach

widać tylko coś, co wygląda jak yeti z Gór Skalistych, który zabawia się intymnymi częściami ciała, mimo że w rzeczywistości jest na tyle sprytny, że dotąd nie pozwolił nikomu przyłapać się na sikaniu. Mogłam tylko się roześmiać. Właśnie to najlepiej wychodzi głupim dziewczynom.

Paczka owinięta w zielony świąteczny papier rozpierała się na kuchennym blacie. Wiedziałam, że jest dla mnie. Byłam w domu rodziców i nikt się do mnie nie odzywał, ponieważ godzinę spóźniłam się na urodzinową kolację. Wszyscy byli wściekli, bo wiedzieli, że ten jeden jedyny raz nie mogą zacząć jeść beze mnie. Potrząsnęłam paczką i natychmiast zorientowałam się, co jest w środku, chociaż miałam resztki nadziei, że się mylę. Cała sprawa miała związek z moim „stanem zdrowia”.

Od razu wam powiem, że jestem zbyt młoda i niedojrzała, aby aż tak mnie pokarało.

Nie jestem na to gotowa, odebrało mi to spory kawałek życia towarzyskiego i mam pewność, że będzie mi towarzyszyć przez resztę mojej egzystencji. A dla tych z was – dobroczynnych, wścibskich typów, którzy nie przeżyjecie dnia, żeby nie wetknąć nosa w cudze sprawy, którzy przerzucacie strony książki telefonicznej z pianą na ustach, żeby znaleźć numer do niańki, bądźcie spokojni. Nie jestem w ciąży. Po prostu dokucza mi potworny ból pleców.

\9

Mój kręgosłup powoli, chociaż wcale nie w milczeniu, rozpada się w proch, a ja nie mogę w to uwierzyć. Zawsze wydawało mi się, że na pierwszy ogień pójdą płuca, a tuż za nimi wątroba. Cieszyłam się na samą myśl, że znajdę się w żelaznym płucu lub pod namiotem tlenowym, podkręcając regulator wzmacniacza na fuli i będę mogła wrzeszczeć na pielęgniarki, żeby, do cholery, podały mi wreszcie papierosa! Marzenia pękły jak tętniak mózgu – nie ma sprawiedliwości na świecie! Jakoś nigdy nie wyobrażałam sobie siebie w alejce supermarketu, siedzącej w wózku inwalidzkim z napędem elektrycznym, z metalowym koszykiem z przodu, proszącej sprzedawcę, żeby mi podał wielką pakę tampaxów, bo jest na samej górze i nie mogę jej dosięgnąć. Czy poruszanie się po pijanemu elektrycznym wózkiem inwalidzkim kwalifikuje się jako jazda pod wpływem alkoholu?

Byłam u kręgarza, który strzelił mnie w łeb i w tyłek metalowym pistoletem. Potem położył mi na glecach wilgotną, wibrującą rurę, a kiedy wspomniałam o tym chłopakom w pracy, powiedzieli, że zrobiliby mi to samo, tylko za darmo. Ból był nie do zniesienia. Alkohol pomagał przez jakiś czas, ale potem nawet on przestał. Wiedziałam, że muszę znaleźć kogoś doświadczonego, z dyplomem, kto mógłby mi przepisać właściwe lekarstwa. Udałam się więc do lekarza od kości. Mama musiała pojechać ze mną, bo nie byłam w stanie prowadzić. Ledwo stałam. Razem ze mną weszła do gabinetu, gdzie pielęgniarka kazała mi się rozebrać, a potem założyć papierowy fartuch. Wyglądałam jak moja ciotka, która ma problemy alkoholowe i przez sześć mie-

20

sięcy nie mogła nosić majtek po tym, jak poparzyła się w wypadku, w którym brał jeszcze udział jej piekarnik. Najwyraźniej mąka i dżin to nie najlepsza kombinacja. Pielęgniarka powiedziała mi, że mogę zostać w rajstopach, jeżeli mi zimno, a ja stwierdziłam, że to dobry pomysł, bo nie miałam na sobie majtek. Wiedzie dlaczego? Zjadały je psy, więc przestałam kupować nowe. Siedziałam na stole badań, a mama na krzeselku obok. Aż ją zatkało, kiedy zdjęłam but.

– Patrz, jaką masz dziurę w rajstopach – powiedziała, pokazując na moją stopę. Ale tak naprawdę nie była to dziura. Fakt, zaczęła się jako dziura na wielkim palcu u nogi, a potem zaatakowała resztę palców, więc pewnego wieczora, lekko podpięta, zrzuciłam but i zabiłam dziurę, odrywając całą stopę od reszty rajstop.

– Nie mogę uwierzyć, że do lekarza przyszłaś w dziurawych rajstopach! – powtarzała matka, kręcąc głową. – Tak mi wstyd za ciebie. A tobie nie? Powinno ci być wstyd. Nawet bezdomna osoba nie ubrałaby się w to do lekarza. Mój Boże, czy tak cię wychowałam? Doktor pomyśli sobie, że jesteś aborygenką!

Wreszcie, wśród biadania matki, przyszedł doktor Specjalista od Kości. Patrzył, jak utykam, chodząc po gabinecie, sprawdził odruchy, a potem kazał położyć się na stole. Powyginał mi lewą nogę w tę i w tamtą stronę, w górę i w dół, na bok, ile się da, i do środka. Potem to samo zrobił z prawą. Zalecił prześwietlenie i zaczął się zbierać do wyjścia. Spanikowałam, muszę dostać lekarstwo!

– Co mogę brać na uśmierzenie bólu? – zapytałam, zanim wyszedł.

Z1

– Może pani brać ibuprofen. Bez recepty – zaproponował. – Ale nie więcej niż dziewięć dziennie.

Zakrztusiłam się. Dziewięć dziennie? Już zażywałam czterdzieści. Dziewięć? Chyba żartuje. Nie mogę nawet o własnych siłach dojść do łazienki, nie śpię od trzech tygodni, a moje zwykle wesołe usposobienie zmieniło się we wściekłego psa. Jak nie dostanę dobrych leków, i to zaraz, idę do sklepu z bronią, a potem do apteki.

– Chyba pan nie rozumie – zaczęłam wyjaśniać. – Nie mogę chodzić do pracy. Przez cztery dni mieszkam z matką, która jest uzależniona od telezakupów, pokazów biżuterii, pokazów lalek i pokazów makijażu. O mało nie zamówiłam maszynki do wyrobu suszonej wołowiny! Proszę mi coś przepisać albo dobioreę się panu do łydek!

Bez dalszych ceregieli szybko wypisał receptę na kodeinę i poszłam sobie. Byłam zadowolona.

Ale mojej matce odebrało mowę. Na jej twarzy pojawił się pusty wyraz, który spodziewałam się ujrzeć dopiero po jej menopauzie. Będzie wtedy mieszkała ze mną,

a ja będę jej wplatała wstążki we włosy, będę jej płacić dziesięć centów za wyjmowanie naczyń ze zmywarki, ubierać ją w maleńkie różowe sweterki z poliestru,

a na wakacjach każę jej jeść przy dzieciennym stoliku.

– Masz dziurawe rajstopy – wymamrotała wreszcie.

– Wiem, mam, już to przerabialiśmy. Wstydzę się gołej stopy – westchnęłam.

– Nie o to chodzi! – syknęła, ledwo słyszalnym głosem. – Nie tam! tutaj!

Zaczęła kilka razy pokazywać na swoje intymne części, jakby nie mogła przestać.

zz

– TUTAJ! DZIURA JEST TUTAJ! – W pewnej chwili zatoczyła kciukiem i palcem wskazującym kółko odpowiadające wielkością dorodnemu arbuzowi. – Taka wielka – powiedziała. – Ogromna. I doktor wszystko widział! Dlaczego, do cholery, nie nosisz bielizny?

Obnażyłam się przed doktorem. I przed moją matką. Pokazałam się genitalnie i wyraźniej niż którakolwiek z kobiet zdobiących strony „Hustlera”. I nikt mi za to nie zapłacił.

Więc wiem, co jest w paczce, która stoi na blacie kuchni, a której zawartość została starannie dobrana i zapakowana przez moją siostrę.

Otworzyłam ją, przekopałam się przez warstwy bibuły i oto one: sześć par białych bawełnianych fig od Sear-sal, tak wielkich, że mogłyby się nadać na pokrowce do samochodu. Wyobraziłam się w nich, z gumką tuż pod biustem, wyglądająca jak Gene Hackman, gdyby zgodził się być modelem dla Hanesa².

– No wiesz, bardzo ci dziękuję – powiedziałam do siostry. – Widziałam podobne w katalogu Victoria's Secret. Kobieta ubrana w nie miała też torbę po kolostomii i chodziła z balkonikiem.

– Zbiegną się, jak je wypierzesz.

– Do jakiej wielkości? – zapytałam. – Do rozmiarów balonu na gorące powietrze? Nawet zakonnice nie noszą takich wielkich majtek.

i Sears – jedna z największych sieci supermarketów w USA (przyp. tłum.).

² Hanes – największa amerykańska firma odzieżowa znana głównie z bielizny i ubiorów sportowych (przyp. tłum.).

?3

– Ale zakonnice nie łążą po barach i nie wystawiają swoich intymnych części ciała na widok publiczny, zwłaszcza Bogu ducha winnym lekarzom – włączyła się matka.

Potem kazała mojej drugiej siostrze pójść na górę po całą starą bieliznę, na wypadek gdybym musiała pójść do lekarza więcej niż sześć razy.

Wojna na majtki została zakończona. Przegrałam.

Matka uśmiechnęła się. Myśli, że wygrała.

Ale tak naprawdę nie jest prawdziwym zwycięzcą. Prawdziwi zwycięzcy wojny o majtki zajmują strategiczne pozycje przy psich miskach w mojej kuchni, czekając cierpliwie na szansę dopadnięcia, a potem zjedzenia swojej nagrody.

Lok&zyj Żli i &Yfr&b<Sixt

A niech to szlag, nigdy nie byłam dla nikogo „ładną koleżanką”.

„Ładna koleżanka”. Brr. Brrr. Łup.

To osoba z oczyma starannie podkreślonymi kontu-rówką, która nigdy jej się nie zbiera w kanalikach łzo-wych, tworząc hebanowego wagra wielkości grejpfruta. To ta, która może założyć body, usiąść w nim, a na brzuchu nie pojawią się kaskady tłuszczu.

To ta, która może zjeść kanapkę albo hamburgera i na podbródku ani na bułce nie odbija jej się ślady szminki.

To ta, która potrafi jeść posiłki w towarzystwie, a z ust nie zwisają jej kawałki jedzenia, na przykład strzępy sałatki z kapusty. Nic też nie wyskakuje jej z ust, ładując na talerzach innych gości.

Nie zdarza jej się nikogo opluć, kiedy mówi.

Śpi z zamkniętymi ustami i nigdy się nie ślini.

Nie skubie się po twarzy.

I nigdy, przenigdy nie musi korzystać z toalety.

Ja, gdziekolwiek się wybieram, na wszelki wypadek zabieram ze sobą pudełko zapalek, bo jestem normalna.

36

Bardzo normalna. Czasami we śnie ślinię się tak bardzo, że po obudzeniu włosy mam jeszcze mokre. Nie zdarzył mi się jeszcze w życiu dzień, którego większej części nie spędziłabym ze śladami szminki na zębach. Wydaje mi się, że połykam i trawię przynajmniej osiem szminek rocznie. Często zapominam użyć dezodorantu i muszę obwąchiwać się pod pachami, żeby sprawdzić, czy danego dnia na pewno nie zapomniałam o zabiegach higienicznych. Kiedy ludzie pytają mnie, ile papierosów wypalam dziennie, odpowiadam:

– Nie wiem. Powąchaj mi włosy i sam powiedz.

Od trzeciej klasy nie noszę trykotu ani bluzki wpuszczonej do spodni. I nikt, powtarzam, nikt nie widział mnie nagiej przy świetle.

Ale nie jestem pewna, czy to tak całkiem moja wina.

Ładne koleżanki zawsze mają ładne imiona, jak Nicole, Coleen, Dionne czy Jamie. Więc domyślałam się, że bycie ładnym zaczyna się dość wcześnie, to znaczy mniej więcej wtedy, kiedy człowiek rodzi się i nadają mu imię. Cała przyszłość człowieka decyduje się właśnie wtedy. Mojej matce lepiej udało się wymyślanie imion dla psów, Cali i Córy, niż dla mnie – Laurie Ann – a ja przecież muszę żyć dłużej. No to macie. Wszystko zadecydowało się w roku 1965. Pisane mi było zostać „brzydką koleżanką”. Kiedy leżałam w beciku, pielęgniarki pewnie przyglądały mi się i smutnie kręciły głowami.

– Biedactwo, ta Laurie Ann – powiedziała jedna z nich. – Na początku wyglądała przyzwoicie, kiedy przyszła do nas jako dziewczynka Notaro, ale popatrz na nią teraz! Właśnie wyrosła jej szczecina na palcach u nóg.

26

– Aż mnie ciarki przechodzą – odparła druga. – Popatrz, jak rozszerzają jej się pory. A to na szyi – to czyrak czy wole? Założę się, że kiedy dorośnie, będzie rzała jak osioł i jadała półtora kilo wieprzowiny na jedno posiedzenie.

– A ja się założę, że będzie chlać na umór i brzydko się wyrażać – dodała pierwsza pielęgniarka. – Położmy ją gdzieś w ciemnym kącie, z daleka od ślicznych dziewczynek, Molly i Michelle. Nie chcemy, żeby od niej zbrzydły. Brzydkie koleżanki nigdy nie zwracają na siebie tyle uwagi, co ich ładne koleżanki. Chłopców nie interesuje, gdzie są brzydkie koleżanki (oczywiście są w Klubie Brzydkich Koleżanek, gdzie bez końca oglądają odcinki brazylijskiej telenoweli, pożerają całe koryta serników, a potem wciskają się w pasy wyszczuplające), ale zawsze pytają brzydkie koleżanki: „Hej, gdzie jest twoja ładna koleżanka?“, na co zwykle mam ochotę odpowiedzieć: „W szpitalu, została jej jeszcze jedna operacja plastyczna. Chyba mi nie chcesz wmówić, że ten śliczny nosek jest prawdziwy”.

W rzeczywistości brzydkie koleżanki zawsze kończą jako ochrona ładnych koleżanek,

gdy tylko jakiemuś obleśnemu facetowi wpadnie w oko dziewczyna, której spodnie nie rozchodzą się w szwach.

Pamiętam, jak kiedyś wieczorem byłam w barze z Nik-ki, moją ładną koleżanką.

Uganiał się za nią facet-bestia, łapiąc ją za tyłek, którego, w odróżnieniu od mojego, nie można wziąć za sofę z poduchami dla pięcioosobowej rodziny. Trwało to całymi godzinami. Łapu, łapu, macu,

n

macu, macu, dopóki nie odwróciłam się i nie chwyciłam drania za rękę.

Wiedziałam, co mam zrobić. Musiałam obronić koleżankę i to w taki sposób, żeby

facet-bestia zrozumiał. Musiałam udawać, że jestem drugim obliczem Nikki, a skoro byłam brzydsza, musiałam być też dominująca, mężem-lesbijką (brzydkie koleżanki nigdy nie są żonami--lesbjkami, zawsze muszą odgrywać rolę faceta). – Posłuchaj, ty tam – powiedziałam z pogardą, zaciskając dłoń. – To moja dziewczyna, i jak ją dotkniesz jeszcze raz, to sobie pogadamy na ulicy. Brzydka kobieta nie kłamie. Nie musi. Miałam na sobie flanelowe ubranie. Facet-bestia schował ogon pod siebie i więcej nie dotknął Nikki.

Niestety, konfrontacja to jedyny sposób na przekonanie świata, że brzydka koleżanka wie, jak radzić sobie z mężczyznami, i nie jest tak zupełnie do niczego. Żadna koleżanka nie może jej tego nauczyć, bo gdy tylko brzydka przygada sobie jakiegoś faceta, ten natychmiast "zakocha się w ładnej, w chwili gdy tylko ogarnie wzrokiem jej majestatyczną piękność.

Żadna koleżanka wie, jak oczarować mężczyznę, jak dać mu do zrozumienia, że, owszem, jest kobietą. Brzydkie koleżanki nie mają najmniejszych szans. Na przykład ja wiem, że facet mi się podoba, dopiero kiedy walnę go w brzuch. Albo jak zwymiotuję – pewnie, trochę z tego wylądzuje na nim. Nie ma w tym żadnego wdzięku.

Moja wielka przyjaciółka Krysti, będąc w towarzystwie swojej ładnej koleżanki, Kim, postanowiła zwrócić na siebie uwagę faceta, który jej się podobał. Paliła, a jakże, przecież nie można być moją koleżanką, jeżeli się nie

33

pali, i postanowiła pstryknąć niedopałkiem w stylowy sposób, aby mu dać do zrozumienia, że jest dziewczyną z jajami, równiacha.

Zwykle wychodzi to Krysti znakomicie. Potrafi pstryknąć niedopałkiem na niesamowite i podziwu godne odległości, znacznie dalej, niż ktokolwiek z nas potrafi pluć. Widziałam, jak to robi. Ale tym razem niedopałek zatoczył w powietrzu lekki, delikatny łuk i trafił upragnionego faceta w sam krok. Jak magnes wczepił się w spodnie gdzieś pomiędzy dwiema niewidocznymi fałdkami materiału i nadal się tlił.

Wyczuwając zbliżające się niebezpieczeństwo, Krysti natychmiast rzuciła się oklepywać okolice genitaliów faceta, żeby uchronić mu członka przed spalaniem, lecz on odczytał to jako spontaniczny, seksualnie jednoznaczny gest.

Oczywiście Kim nie pomogła jej ani trochę. Nadal wyglądała atrakcyjnie, tarzając się po ziemi, śmiejąc się tak, jak śmieją się ładne koleżanki, aż łzy płynęły jej z oczu. Jak można się domyślić, tusz jej się nie rozmazał.

Krysti sama musiała wytłumaczyć eks-potencjalnemu chłopakowi, że skoczyła na odsiecz penisowi tylko dlatego, że tak było łatwiej, niż przewrócić chłopaka na ziemię, kiedy już się zapali.

I kiedy Krysti opowiadała mi tę przygodę, zrozumiałam, dlaczego nigdy nie będę ładną koleżanką. Można to było poznać choćby po śmiechu, gdy tylko szkaradne parsknięcie wyrwało mi się z gardła, kiedy starałam się wziąć oddech. Zabrzmiało to jak i-ooo – rżenie osła. Cały śluz z nosa spłynął mi rzeką do gardła, dostałam ataku kaszlu i zwymiotowałam do umywalki.

49

„Co za szkoda – pomyślałam – całkiem dobre wymioty”.

Żal, że w pobliżu nie ma żadnego faceta.

Do diabła. Gdyby w pobliżu był jakiś facet, spojrzalby na kałużę wymiocin, pochyliłby się, żeby zetrzeć je z butów, a potem szybko i grzecznie poprosiłby o numer telefonu do Nikki.

?bj?fó

Był rok 1976.

Pamiętam zajęcia z uświadomienia seksualnego w szóstej klasie, kiedy chłopców zabrał ze sobą nauczyciel WF-u, a dziewczynki zostały z pielęgniarką i dowiedziały się o intymnych częściach ciała mężczyzny i kobiety oraz jak się składa ikrę. To był jeden z najczarniejszych dni w moim życiu, kiedy pielęgniarka, pani Shimmer, wyjęła z zanadru podpaszkę, która rozmiarami przypominała materac, i zademonstrowała nam, jak się jej używa. Do podpaski przyczepiony był pasek, dzięki któremu całość wyglądała jak proca o niesamowitej sile rażenia. Trafiona z takiej broni głowa mężczyzny pękłaby jak gliniany garnek. Po prostu opad szczęki. Rozciągając pasek pomiędzy palcami obu dłoni, pani Shimmer powiedziała nam, że stawanie się kobietą jest czymś czarodziejskim i pięknym.

Pamiętam, jak pomyślałam: „Lepiej żeby to były czary, bo tylko wtedy będę w stanie założyć coś takiego, Dzwoneczku!” – Całość wyglądała jak siodło. Ważyła

zresztą tyle samo. Niektóre dziewczynki nawet się rozplakały.

??

Ja nie. Podniosłam rękę.

– Pani Shimmer – zapytałam ostrożnie – a jakie podpaski noszą chłopcy, kiedy ich kwiatuszek pyli? Czy też mają pasek?

W pokoju zrobiło się ciszej, jak zawsze tuż przed wybuchem zbiorowego chichotu.

– Nie uważałaś, prawda? – ostro skarciła mnie pielęgniarka. – Chłopcy mają pręciki, a pręcikom nie potrzeba podpasek. Potrzebują samokontroli, ale o tym sama niedługo się dowiesz.

Miałam wielką nadzieję, że moje niesforne narządy (które pani Shimmer porównała do słupka kwiatowego) nie wymkną się spod kontroli, bo nie miałam pojęcia, co mam robić, gdyby się wymknęły. Może dlatego pani Shimmer mówiła, że dziewczynki nie powinny jeździć konno, kiedy nadchodzi „ich pora”. Wyobrażałam sobie, że koń mógłby się naprawdę wystraszyć dzikiego i rozszalałego słupka, rzucającego się do ataku jak kobra, z żądzą mordy w oczach.

– I żebyście przypadkiem nie wchodziły do wody! – dodała. – Żadnego pływania, zwłaszcza w oceanach! Łatwo mogłybyście zanieczyścić wodę w basenie, a gdybyście zamoczyły nogi w oceanie, ryby w promieniu kilku mil wyczułyby wasz zapach!

Potem powtórzyła nam listę zagrożeń związanych ze stawaniem się kobieta, przypinając do filcowej tablicy wierszyk na ten temat, który zilustrowała ręcznym rysunkiem krwawiącego kwiatuszka z podpisem: „Zaczynasz rozkwiatać!” Wyglądało na to, że sama napisała wierszyk, który kazała nam razem przeczytać na głos.

32

Ból i menstruacja To życia są fakty. Paski i podpaski Dla córki i matki.

Masz plamy i skurcze, Lecz siedzisz na tronie, Prawdziwa królowa Z podpaską w koronie.

Pływanie wzbronione, Bo rekin wyniucha. Masz zostać dziś w domu I majtki mieć suche!

Szczerze mówiąc, to wszystko bardzo mnie wystraszyło.

– Ale moja mama takich nie nosi – powiedziała moja najlepsza koleżanka, Jamie, siedząca tuż obok mnie. – Jej podpaski mają pod spodem klej.

Pani Shimmer odwróciła się błyskawicznie, a jej szczęśliwa twarz poetki zionęła teraz złośliwą, chłodną pogardą.

– Ćwiczcie zakładanie paska! – wypaliła, a złe spojrzenie skierowała prosto na kat, w którym siedzieliśmy z Jamie na drewnianych ławkach w szatni pod salą WF-u.

– Klej to fanaberia! Pasek jest najbezpieczniejszy! Najbezpieczniejszy!

Odniosłam wrażenie, że pani Shimmer wcale nie podoba się bycie dziewczynką.

Kiedy zapięła sobie pasek, naprawdę nie czuła się jak królowa, sama widziałam.

Dla

33

niej nie było w tym nic z czarów. Ani nawet z karcianej sztuczki-

Wyraz twarzy żadnej z jedenastolatek siedzących w sali nie zapowiadał, że wkrótce przydarzy nam się coś magicznego lub pięknego. Chciałyśmy jeździć konno, pływać, chciałyśmy używać podpasek z klejem, kiedy nadejdzie pora. Żadna nie miała zamiaru przypinać sobie do intymnych części ciała procy, żeby powstrzymać słupek. Wyraz twarzy każdej z nas mówił, że zostałyśmy oszukane.

Ale z nas frajerki.

•tu .gnyfe^ćtó gówry&m?

Co roku w sierpniu, na parę tygodni przed rozpoczęciem roku szkolnego, na podjeździe ojciec kręcił korbą naszej składanej przyczepy, rozkładał ją i wietrzył.

Był to jedyny sygnał, że nadchodzi czas na kolejne wakacje rodziny Notaro i nieomylny znak, iż w najbliższych tygodniach wszyscy wrócimy z jakiegoś miejsca na północy w stanie szoku, najprawdopodobniej z obrażeniami ciała i cierpiąc na zaburzenia postresowe.

Do dziś nikt z nas nie wie, po co ojciec kupił przyczepę. Miałam dziesięć lat, gdy w pewne sobotnie popołudnie wrócił z tym tałajajstwem umocowanym z tyłu forda country kombi. Wszystko skrzypiało i kołysało się niepewnie, gdy wjeżdżał na podjazd.

– Jedziemy na kemping! – oznajmił.

Siostry i ja pokiwałyśmy głowami. Potem wróciłyśmy do domu i zaczęłyśmy się ze sobą tłuc.

Na początku ojciec planował naszą wycieczkę, studiując mapy i zaznaczając jeziora i kempingi. No, tak naprawdę nie były to kempingi, tylko miejsca wypoczynkowe, czyli zasadniczo duże wybetonowane parkingi na

SZ

poboczach autostrad z kranami i jakimś sklepikiem. W sumie przez cały tydzień nie miałyśmy wiele do roboty, oprócz zbierania kamieni i prób sprzedawania ich sobie nawzajem albo nudzenia mamy o ćwierć dolara na lizaki Jolly Rancher ze sklepiku, a potem snucia się bez celu po okolicy. Jedna z ekspedientek tak się zniecierpliwiła naszymi częstymi odwiedzinami, że chciała porozmawiać z naszą mamą. Kiedy wyjaśniłyśmy jej, że leży z ręką na czole, bo kiedy w sobotę dojechaliśmy na miejsce, dostała bólu głowy, ekspedientka po prostu kazała nam obiecać, że więcej nie wrócimy. Więc poszliśmy do przyczepy i tłukliśmy się przez następne cztery dni.

Kiedy byłam w ósmej klasie, tata wreszcie zerwał z bezpieczną tradycją parkingów i stwierdził, że nabraliśmy wystarczająco dużo doświadczenia, aby spróbować prawdziwego kempingu, takiego z błotem. Słyszał kiedyś o wspaniałym miejscu w Górach Białych w pobliżu jeziora. Wyprowadził przyczepę na podjazd i następnego tygodnia ruszyliśmy w drogę.

Gdy dotarliśmy, tata znalazł świetne miejsce nad jeziorem i zaparkował.

– Tu śmierdzi gównami – powiedziała moja najmłodsza siostra.

– Wcale nie – warknęła mama. – To jest zapach jezior.

Postawiliśmy przyczepę i przenieśliśmy do niej poduszki i śpiwory. Gdy tylko mama przyniosła ostatni worek z jedzeniem, otworzyło się niebo i zaczęło padać. Potem zaczęło lać.

A potem zaczął walić grad.

36

– Zaraz się przejaśni – powiedział tata.

– Muszę do ubikacji – oznajmiła cicho jedna z moich sióstr.

Wszyscy spojrzeliśmy po sobie. Owszem, toaleta znajdowała się w przyczepie, ale jej lokalizacja nie była wcale dyskretna. Prawdę mówiąc, tkwiła pod poduchą, która po jednej stronie stołu pełniła rolę ławki, a w nocy zamieniała się w łóżko.

– Teraz? – zapytała matka. – Musisz właśnie w tej chwili?

Siostra pokiwała głową. Matka usunęła ze stołu jedzenie, tata rozkręcił go i poduchę podniesiono.

– No, dawaj – powiedziała matka z niecierpliwym gestem.

– Niech oni wyjdą – nalegała siostra.

– Ja się nigdzie stąd nie wybieram – oświadczyłam ze złością. – A niech cię! Nic mnie to nie obchodzi! Nie-doczekanie!

– Wszyscy wychodzą – zarządził ojciec i musieliśmy stać w strugach deszczu, dając siostrze trochę prywatności.

– To jest niesłychane! – powiedziała matka po dziesięciu minutach. Zapukała w drzwi, a z dłoni zwiślał jej złamany i wilgotny papieros. – Już koniec!

Siostra wpuściła nas i wróciła na swoje miejsce na jednym z łóżek, na którym samolubnie czytała tygodnik „People”.

Jako że po chwilach spędzonych po kostki w wodzie i błocie mieliśmy kompletnie przemoczone buty, mama nie pozwoliła nam wejść do przyczepy, dopóki ich nie zdejmujemy.

?

– Odtąd – powiedziała, grożąc każdemu z nas palcem – jeżeli chcecie skorzystać z toalety, zasłaniacie się ręcznikiem!

Ojciec zebrał przemoczone buty i zaniósł pod drzewo, gdzie stał nasz mały grill. Po rozpaleniu ognia i starannym rozdmuchaniu, zostawił na ruszcie nasze adidasy. Odczekał dłuższą chwilę, aby mieć pewność, że zupełnie wyschły. Już miał je przynieść z powrotem, kiedy zorientował się, że podeszwy stopiły się w jedno z pokrywą grilla. Wszedł do przyczepy ze słowami:

– Mam nadzieję, że wzięłyście ze sobą wystarczająco dużo skarpetek.

Przez następne sześć dni siedzieliśmy w zamkniętym pomieszczeniu, a wokół nas deszcz lał strumieniami. Nikt oprócz mojej siostry nie miał butów. Zaczytywała się w „People”, a ja tłukłam się z drugą siostrą. Ojciec gapił się przez okno na deszcz, a matka leżała na swoim łóżku z dłonią na głowie. Szóstego dnia zaczęła błagać ojca, żeby nas stamtąd wyostał.

– Już nie mogę wytrzymać! – jęczała. – Dziś rano wzięłam ostatni tylenol!

Ojciec wyjaśnił, że jesteśmy w górach, na nachylonej polnej drodze, na którą

musiały spaść przynajmniej trzy stopy deszczu. Zza ręcznika mówił, że to niemożliwe, że to zbyt niebezpieczne.

– To wyjdź i zobacz, jak wyglądają drogi – powiedziała matka twardo. – Papierosy też mi się skończyły, wiesz?

Ojciec wziął kluczyki do samochodu i wyszedł.

– Przynieś dzieciom jakąś grę planszową, zanim nas wszystkie pozabijam! – krzyknęła za nim.

38

Wrócił po dwudziestu minutach zniechęcony i z pustymi rękami. Powiedział, że droga jest zbyt zabłocona i że będziemy musieli przeczekać.

Później nocą, gdy zasypiałam na toaletowym łóżku, z głową nad miską klozetową, obudził mnie wstrząs. Gdy usiadłam, poczułam, że przyczepa lekko się porusza, potem znowu. Kolejne silniejsze poruszenie obudziło resztę rodziny.

– Co to?! – krzyknęła jedna z moich sióstr.

– Tu śmierdzi gównem! – zawtórowała jej druga.

Zaczęłam się naprawdę bać. „O Boże, to yeti – pomyślałam – wprowadzając się w stan gorączkowego, oślepiającego przerażenia. – To musi być yeti!”

Usłyszeliśmy ruch wokół przyczepy. Po prawej. Po lewej. Z przodu. Z tyłu.

– Tato, czy niedźwiedź nas zje? – zapytała najmłodsza siostra.

– Jezus, Maria, Józef, to niedźwiedź! – krzyknęła matka. – To niedźwiedź!

Uciekajmy!

– Nie mamy butów! – krzyknęła najmłodsza siostra.

– To Sasquatch! – usłyszałam własny krzyk. – To yeti! Trzeba do niego mówić spokojnie, to wszystko będzie w porządku!

– Ktokolwiek zabrał mój tygodnik, niech pamięta, że nie pozwalałam mu go czytać!

– interweniowała ostro siostra.

W samym środku chaosu ojcu udało się dotrzeć do drzwi przyczepy. Nie zauważyliśmy, kiedy je otworzył i stał tam, przyglądając się.

3S>

Krowy. Całe stado krów. Otoczyły naszą budę, przemieszczając się z jednej strony jeziora na drugą, niezgrabnie wpadając na stojącą na drodze zawałodrogę. Widać było, że zaparkowaliśmy na ich pastwisku. Rzeczywiście śmierdziało gównem.

Tata zapłacił gościowi z półciężarówki marki Chev-rolet trzydzieści dolców i dodał jeszcze tygodnik „Peo-ple”, żeby tylko wyciągnął nas następnego dnia na suchą drogę.

Przez całe tygodnie miałyśmy koszmary.

Po roku, kiedy tata wyprowadził przyczepę na podjazd, mama wyszła z domu, rzuciła mu wymowne spojrzenie, po czym wróciła i położyła się na łóżku z ręką na głowie.

Tydzień później ojciec sprzedał przyczepę.

K^SeR ? Ed&nu

Sztafeta zatoczyła koło i nie było sposobu, żeby się od tego wykręcić.

Nadeszła moja kolej.

Odkąd mój dziadek, zwany pieszczotliwie Pop Pop, zachorował, opiekowała się nim matka, jej dwie siostry, wujek i ja. Podzieliliśmy się na zmiany i z reguły kolej każdego wypadała raz w tygodniu.

Nigdy nie wiedziałam, na czym polegać będą moje obowiązki przy dziadku, dopóki nie dotarłam na miejsce. To było tak jak rzucanie monetą, chociaż zwykle w grę wchodziła jedna z trzech rzeczy: zabranie Pop Popa do banku, do piekarni lub – co było najbardziej przerażające – do sklepu spożywczego.

Dziadek brał leki uśmierzające ból, jaki sprawiał mu rak. Lek działał znakomicie,

prawdę mówiąc tak znakomicie, że przez chwilę pomyślałam o „pożyczeniu” sobie działki. Jednak ten lek nad leki sprawiał, że dziadek stawał się bardziej niefrasobliwy i zapominalski niż zwykle, więc pielęgniarki przypominały nam, że najlepiej, jeżeli nie będzie prowadził auta. Dodały, że w interesie miesz-

4>\

kańców miasta Phoenix nie powinien nawet prowadzić wózka z zakupami po chodniku. Dlatego kiedykolwiek wyraził chęć udania się w jedno z tych trzech miejsc, kazał babci telefonować po nas i organizować transport. Krzycząc, uskarżał się, że został „zwierzędziem zamkniętym w klatce” i „więźniem we własnym domu”. Ponieważ przez pięćdziesiąt lat tłumaczył babci, że nie ma sensu, aby uczyła się prowadzić samochód, musieliśmy zajmować się nim po kolei. Zaczął rozsiewać

pogłoski, że sprawi sobie elektryczny wózek inwalidzki, aby móc pojechać do supermarketu Safeway, który był oddalony raptem o trzy mile od domu i o szybki sus przez międzystanową autostradę.

Okazało się, że Pop Pop rady pielęgniarek miał za nic i sam jeździł po okolicy za swoimi sprawami. Odkryłyśmy to, kiedy młodsza siostra poszła do niego z wizytą i zauważyła, że jeden ze słupów podpierających zieloną wiatę nachyla się teraz pod kątem 60 stopni, a na karoserii samochodu pojawiła się długa, zielona szrama. Gdy skonfrontowano go z dowodami, dziadek z szerokim uśmiechem utrzymywał, że po prostu „przeparkowywał auto” i ani mu było w głowie wyjeżdżać na ulicę. Babcia stała za nim i przewracała wymownie oczami. Tak czy owak, zabieranie dziadka do sklepu spożywczego było zawsze najmniej pożądanym zadaniem, zwłaszcza że właśnie w kwestii sklepów spożywczych miał się za eksperta. Od czasów wielkiego kryzysu handlował artykułami spożywczymi i sądził, że w swoim czasie nauczył się kilku rzeczy, które chciał przekazać kolejnym pokoleniom handlarzy. Zaliczały się do tego słowne napaści na rzeźników,

kasjerów, piekarzy i kierowników działów,

42

choć trzeba przyznać, że pakowaczy zostawiał zwykle w spokoju. W sklepach znano go z imienia i nazwiska i poznawano z daleka – widać to było po tym, jak personel zapadał się pod ziemię, gdy tylko dostrzegał sylwetkę dziadka. Kiedy w dniu, w którym przypadała moja kolej, dotarłam do domu dziadków, Pop Pop miał już przygotowane wszystkie kupony rabatowe i gotową strategię. Niewątpliwie wybieraliśmy się na zakupy.

Zebrawszy reklamy, wziął laskę, spojrzał na mnie i zde gustowany pokręcił głową.

– Wiesz co, Laurie? – powiedział z grymasem na twarzy. – Modliłem się przez trzy dni o coś, czym mógłbym nakarmić ptaki i ani razu w tym tygodniu nie znalazłem niczego na półkach z towarem przeterminowanym. Co ja mam robić? Co ja do cholery mam zrobić?

– Nick, tylko żebyś się nie ważył znosić do domu starego chleba! – krzyknęła babcia z kuchni. – Dopiero co udało mi się wytrać te przekłete mrówki, co się załęgły w spleśniałym pieczywie, które położyłeś w ogrodzie.

– Znowu to samo – powiedział do mnie, ponownie kręcąc głową. – Jestem jak zwierzę w klatce. Więzień w swoim własnym domu.

Postanowiłam nic nie mówić.

– Mam nadzieję, że uda nam się znaleźć trochę starego chleba – kontynuował, kiedy pottrzymałam mu laskę i pomogłam wsiąść do samochodu.

O nie. Wcale nie miałam ochoty na żadne tego typu zabawy. Nie, proszę pana.

– Możesz o tym zapomnieć, nie zamierzam wskakiwać do kontenera ze śmieciami – powiedziałam zdecydowanie.

43

dowanie. – Nie obchodzi mnie, kto tym razem wzywa cię ze sklepowej reklamy. Nie ma szans.

Dziadek spojrzał na mnie zupełnie zde gustowany.

– Nie musisz nigdzie wskakiwać – stwierdził. – Nie zawsze musisz głęboko kopać, pieczywo kładą na samym wierzchu.

Podjechałam do rampy na tyłach sklepu, gdzie wyładowywano właśnie towar z ciężarówki.

– Oto nasz kontener – powiedział dziadek. – Zatrzymaj się tu.

Zahamowałam, ale nie miałam nawet czasu, żeby zgasić silnik, kiedy usłyszałam westchnienie. Popatrzyłam i nie mogłam uwierzyć własnym oczom.

To był święty Graal dziadka.

Jego żyła złota.

Kąsek z rajskiego ogrodu.

Tuż przed nami ujrzałam wózek na zakupy po brzegi wyładowany pieczywem, zupełnie jakby sam Pan Bóg postawił go nam na drodze.

Przysięgam na wszystko, że osiemdziesięciodwuletni staruszek, który niecałe dziewięć minut wcześniej podierał się laską, jak nastolatek wyskoczył z samochodu i podbiegł do wózka.

Przyciągnął go do samochodu, otworzył tylne drzwi i zaczął przerzucać całą zawartość na tylne siedzenie.

Były tam czekoladowe ciastka z orzechami, ciastka z serem i rożki z dżemem. Były bochenki chleba, bułki z makiem i hot dogi. Były biszkopty i pierniki, a nawet coś z masłem orzechowym.

– Nie do wiary, po prostu nie do wiary – powtarzał dziadek. – Większość jest przeterminowana tylko o jeden dzień! Jeden dzień!

Sama bym nie uwierzyła, gdybym tego nie widziała na własne oczy. Po osiemdziesięciu dwóch latach wreszcie mu się udało.

Dziadek wygrał los na loterii.

Tylne kanapa była niemal pełna, gdy usłyszałam głośne brzęczenie i dziadek zaczął krzyczeć:

– Ojej, Laurie! Ciężarówka! Uważaj, ciężarówka!

W tej samej chwili zauważyłam ją: wielki czerwono--czarny kadłub z głową świni z boku cofał się dość szybko i bałam się, że za chwilę rozjedzie mi samochód.

Co mogłam zrobić? Nacisnęłam na gaz. Musiałam. Jeśli zdarzy mi się jeszcze jeden wypadek, anulują mi ubezpieczenie. Przejechałam tylko parę stóp, w sam raz, żeby uniknąć niebezpieczeństwa. Ale chyba wystarczyło, by przeczołgać po ziemi dziadka, który mimo śmiertelnego niebezpieczeństwa nie był w stanie przerwać załadunku choćby na dwie-trzy sekundy.

Z ust wyrwał mi się okrzyk, kiedy zobaczyłam, że przewraca się pod samochodem, ale poderwał się szybko i wrzucił na tylne siedzenie kolejny placek z serem.

– Nic ci nie jest? – wrzasnęłam do niego.

– Nie mogę przerywać, muszę ładować – zapewnił mnie. – Muszę ładować!

Mama by mnie zabiła, gdybym jej powiedziała, że przejechałam dziadka. Miałaby niezbity dowód na to, jak bardzo jestem nieodpowiedzialna. Nie umiem nawet zabrać go do sklepu Safeway, żeby mu nie zrobić krzywdy.

4\$

Wreszcie, kiedy samochód wypełnił się po sam dach, dziadek wsiadł na swoje miejsce. Wyglądał, jakby mu ubyło ze dwadzieścia lat.

– Widzisz? – zapytał z satysfakcją. – Mówiłem ci! Mówiłem ci! Modliłem się o chleb i Bóg mnie wysłuchał!

– A ja cię przejechałam! O mało cię nie zabiłam przez ten chleb! – odparłam.

– Co mi tam! – westchnął. – Co znaczy odrobina kurzu?

Skinęłam głową.

– No, ale teraz znów zacznij się modlić. Tym razem musisz dać z siebie wszystko.

Bo jak babcia zobaczy, co mamy w aucie, to skopie ci dupsko.

Dziadek tylko spojrział na mnie i się roześmiał.

cgb&ny bTJSbonogz

p^og^m tjOtjWn&go upojeni

Razem z Joelem chyba z pięć razy pod rząd jeździłam Ulicą 86. Szukaliśmy Jeffa i Jamie, znajomych, których mieliśmy zabrać zaraz po zamknięciu naszego ulubionego baru Tally Ho.

Wyszli dziesięć minut przed nami, bo postanowili przejść się te pół mili do domu Jeffa. Tak się jednak upili, że nie było szans, aby którekolwiek z nich odnalazło ulicę, nie wspominając nawet o prowadzeniu samochodu.

A teraz zupełnie zniknęli nam z oczu.

Jamie rzuciła picie rok temu, żeby uniknąć tych wszystkich wstydliwych rzeczy, które wyprawiała publicznie, gdy jej alter ego, Otis Campbell, wkraczało do akcji. Dzisiaj Otis wróciła w pełnej krasie po pierwszych pięciu piwach. Jeszcze zanim postawiła nogę w Tally Ho, przewracała oczyma i kilka razy zdążyła zgubić buty. Widzieliśmy, jak dla zachowania równowagi przytrzymuje się szafy grającej. Kołysała się w tył i w przód, jakby bardzo starając się na czymś skupić.

Wreszcie udało jej się trafić dwudziestopięciocentówką w otwór i wybrała swoją ulubioną piosenkę – Heyjealousy zespołu Gin Blossoms.

41

Nucąc do wtóru, tłumaczyła Joelowi, że ma parapsy-chologiczną zapalniczkę ciężową. Jeżeli skrzese ogień, oznacza to, że Jamie jest w ciąży. Jeżeli tylko zaiskrzy – nie jest. Pstryknęła i zapalniczka tylko zaiskrzyła.

– Mój chłopak twierdzi, że jest bezpłodny – wybełkotała, a jej oczy zbiegły się w zezą. – Ja mu na to: „Chłopie, ślepak robią tyle samo hałasu”.

Nawet ja musiałam westchnąć ze zdumienia. Ale teraz była 1.30 w nocy i nie mogliśmy znaleźć ani jej, ani Jeffa.

v

– Kiedy odpuszczamy tropienie i wracamy do domu, żeby dokończyć popijawę? – dopytywał się Joel, bo trochę się już zmęczył tą całą eskapadą.

Jednak za trzy minuty miał zrozumieć, że pijana dziewczyna nigdy nie jest ładna,

nawet jeżeli jej stan aż domaga się naciśnięcia migawki. Warto było poczekać. Istnieje cała seria punktów, które kolejno zalicza alkoholik, żeby znaleźć się w błogim stanie totalnego upojenia – chronologiczny cykl działań prowadzący niechybnie do realizacji wszystkich możliwości danego wieczora.

Rozrywkowa Jamie ukończyła ten kurs z wyróżnieniem.

Dwunastopunktowy program totalnego upojenia

punkt 1: Zew drinka

Drink przyzywa cię, a ty po prostu odpowiadasz na wezwanie. Tak, to jest to, można sobie co nieco łyknąć, ale zastrzegasz się, że tym razem nie posuniesz się za daleko.

4*5

punkt 2: Koszty

Jeżeli nie masz przy sobie dość kasy ani całej wypłaty do przepicia, musisz się zdecydować, czy schlejesz się na gołodupca (tzn. na pusty żołądek), czy też uda ci się przekonać kogoś innego, żeby coś ci postawił.

punkt 3: Właściwy partner do picia

Znalezienie tej właściwej osoby może okazać się trudne, ale dobry wybór jest kluczem do powodzenia całego planu. Musisz uważać, aby nie wybrać kogoś początkującego, bo okaże się, że będziesz musiała się nim zaopiekować i po nim sprzątać. Ale nie możesz też wybrać nikogo, kto będzie jeszcze funkcjonował, kiedy tobie urwie się film. Masz jak w banku, że wsadzi ci hot doga do spodni albo sklepi powieki pastą do zębów.

punkt 4: Toasty, kostki lodu

Pierwszy, brzemienisty w obietnicy łyk, pierwsze liźnięcie, które wprowadza nas w cudowny stan upojenia jeszcze przed nami. Czeka cierpliwie. Pijąc, zaczynasz czuć się coraz swobodniej, zrzucając skórę trzeźwości coraz grubszymi płatami wraz z każdym kolejnym drinkiem.

(Kolejnych osiem punktów może następować jeden po drugim lub równocześnie.)

punkt 5: Smutne wspomnienia

„Nic mnie nie obchodzi, czy widziałam go gołego w łóżku z tą dziewczyną z McDonalda. Wiem, że tak naprawdę kochał tylko mnie. Dlaczego mnie rzucił? Dlaczego? Czy ktoś może mi powiedzieć?” Najbardziej beznadziejny punkt z całej dwunastki. Zwykle dotyczy związków międzyludzkich i może prowadzić do potencjalnie ryzy-

49

kownych twu, czyli telefonów w stanie upojenia. Oznacza to, że odczujesz nieprzeparłą chęć zatelefonowania do każdego, z kim kiedykolwiek się umawiałaś, bo jesteś przekonana, że pomysł jest super.

punkt 6: Chęć rozebrania się do naga i przekonywanie obcych, żeby zrobili to samo

Zwykle następuje po twu i po ponownym odrzuceniu zalotów pijącego.

punkt 7: Rachunki

Zaczynasz liczyć, ile godzin upłynie do czasu, kiedy znów będziesz mogła w pełni funkcjonować. „Po-śpię piętnaście minut dłużej, jeżeli nie wezmę prysznic”. „Zostanę w tym samym ubraniu i nie będę musiała tracić czasu na szukanie czegoś czystego”.

punkt 8: Jest za dziesięć pierwsza – ocena sytuacji Szybka konstatacja, że bez względu na to, ile już wypijałaś, nie wystarczy ci i musisz wypić więcej, natychmiast, bo to najważniejsza misja, jaką kiedykolwiek w życiu podejmiesz.

punkt 9: A może byśmy coś przekasili?

Podróż do baru dla zmotoryzowanych, bo jesteś zbyt pijana, żeby usiedzieć na miejscu w restauracji. Mimo to uważasz, że możesz prowadzić. Za dwadzieścia dolarów kupujesz żarcie, które przypuszczalnie jeszcze przed wschodem słońca znów pojawi się na zewnątrz, chociaż w zupełnie innej formie. W tym stanie jesz rzeczy, których na trzeźwo nie podałaś nawet swojemu psu, jak frankfurterki z całodobowego sklepu albo tacos – trzy za dolara.

SP

punkt 10: Uwielbiam być sobą

Jesteś błyskotliwa. Zaczynasz czuć się piękna, seksowna i szczupła. Teraz naprawdę chcesz wystąpić nago i prawie wszyscy wyglądają świetnie. Nawet przez chwilę nie zastanowiłaś się, czy wsadzić język do gardła obcego faceta na oczach setki innych osób. Możesz także odczuwać potrzebę wyznawania różnym ludziom, że ich kochasz, co jest ostrzeżeniem, że czas już pójść do domu.

punkt 11: Niewidzialność

Sądzisz, że jesteś niewidzialna i możesz robić rzeczy, których nikt nie zauważy, jak na przykład wysikać się w krzakach albo wyrzygać się na chodnik. W tej chwili nie pamiętasz nawet tego, co mówisz, ani kiedy stwierdziłaś, że ulica to doskonałe miejsce, żeby uciąć sobie drzemkę.

punkt 12: Pętla

Tracisz zdolność do porozumiewania się, z wyjątkiem kiwania głową. Wyparowuje także cały proces decyzyjny oraz wszystkie pieniądze, tracisz władzę w kończynach i, na całe szczęście, przytomność.

Kiedy wreszcie odnaleźliśmy Jeffa siedzącego na ulicy, z powodzeniem wykonywał punkt nr 11.

– Chowaliśmy się przed wami – zachichotał, wsiadając do samochodu. – Widzieliśmy, jak przejeżdżaliście ulicą z pięć razy. Udało nam się, no nie? Byłam wściekła.

– A gdzie druga połowa bliźniaków z Marsa? – spytałam.

– Nie wiem – stwierdził. – Gdzieś mi się zapodziała.

– Zgubiłeś Jamie?

#?

– No. Myślała, że to już moja ulica i zaczęła biec. Często się przewracała – powiedział. – Chyba jej nie znajdziemy. Założę się, że gdzieś się schowała. Pojechałam kawałek tą samą ulicą. Potem zawróciłam. Ani śladu Jamie. Przeszukiwaliśmy okolicę przez czterdzieści pięć minut, sprawdzaliśmy w zaroślach, za płotami, w samochodach, słuchając wskazówek od rozmaitych ludzi, którzy w kilku różnych miejscach widzieli na ulicy pijaną, zataczającą się dziewczynę.

Wróciliśmy wreszcie na miejsce, w którym Jeff stracił ją z oczu. Każde z nas przeszukiwało inną część drogi.

– Stop! – krzyknął Joel. – Jest tutaj. Ale lepiej chyba, żeby założyła sukienkę.

Ach, ta zazdrość.

Myślałam, że żartuje. Modliłam się, żeby to był żart. Ale kiedy wyszłam z samochodu i przeszłam przez ulicę tam, gdzie stał Joel, zauważyłam Jamie leżącą w czymś ogródku. Przypominała zwłoki topless. Jediną rzeczą, jaką miała na sobie powyżej pasa, był czarny biustonosz, co wcale nie dodawało jej uroku.

– Teraz sobie przypominam – powiedział Jeff. – Powtarzała, że jej gorąco. Ponieważ Jamie wypijała przynajmniej tyle piwa, ile sama waży, zachowywała się jak worek z piaskiem obdarzony kończynami. Cała nasza trójka musiała sporo się namęczyć, podnosząc Małą Syrenkę na tyle, żebyśmy mogła włożyć jej piersi na miejsce. Całe plecy miała upstrzone kawałkami żużlu z ogródka.

Przeszła samą siebie. Niech się schowa tamto, kiedy zwymiotowała do torebki w jakiejś spelunie, ale i tak nas wyrzucili na zbity pysk. Albo kiedy straciłam ją z oczu w barze i godzinę później znalazłam nieprzytomną na

&

masce mojego samochodu zaparkowanego tuż przed głównym wejściem, a chłopcy zabawiali się rzucaniem w nią kamykami. Albo też kiedy tańczyła w innym barze, podeszła za blisko do sceny, przewróciła się na perkusję i całą pogruczotała. A nawet wtedy, kiedy poszła na imprezę do domu rodziców swojego ówczesnego chłopaka, Duńczyka, i zaczęła krzyczeć do innych duńskich gości:

– Szmorgedy borgedy norgedy! Tu jest Ameryka i ludzie mają mówić po angielsku, do jasnej cholery!

A kiedy chłopak starał się uratować choć resztki godności, jakie udało się im jeszcze zachować, i podniósł ją, zarzucając sobie na ramię jak worek owsa, Amerykanka posikała się do wtóru pełnych dezaprobaty okrzyków siedemdziesięciorga Duńczyków.

Ale dzisiaj zdobyła doktorat w programie „Schlać się jak świnia”. Niewątpliwie przekroczyła granice dobrej zabawy, chyba nawet za pomocą parapsychologicznej zapalniczki ciężowej – a zwłaszcza do wtóru kliknięć migawki aparatu fotograficznego Joela.

Koiyus

Kiedy moja najlepsza przyjaciółka Jamie wreszcie zerwała ze swoim koszmarnym chłopakiem o osobowości surowego ziemniaka, uznałam, że trzeba to uczcić. Był to związek, w którym musiała starannie ukrywać swoje zalety, czyli wszystko, co u niej najbardziej podziwiałam: przywiązanie do jednej paczki papierosów Benson & Hedges dziennie, rzadki talent, objawiający się tym, że potrafiła bez wysiłku nakreślić słowami istne arcydzieło bluźnierstwa, które mogło śmiało stawać w

szranki z przekleństwami każdego dokera, a także tę część osobowości, dzięki której zasłużyła sobie na przydomek Rozrywkowej Jamie. Dzięki niej po dwunastu piwach można było przekonać Jamie do wszystkiego. Jak wtedy, kiedy znaleźliśmy ją pijaną, topless i nieprzytomną w zapuszczonym ogrodzie sąsiada, czego dokumentacja fotograficzna mogła przyczynić się do uwiadu uczuć pomiędzy nią i Ziemiakiem.

Nie posiadałam się z radości, kiedy z nim zerwała, bo oznaczało to, że teraz ja będę razem z nią beneficjentką biletów na koncert Page'a i Planta, jakie sprezentował jej

?4

Ziemiak na urodziny oprócz weekendowej wycieczki--niespodzianki.

Na początku wyprawy ich awionetka wylądowała na jakichś bagnach. Jamie wyglądała na zdezorientowaną, chociaż Ziemiak zareagował promiennym uśmiechem opóźnionego w rozwoju dziecka w sklepie z zabawkami.

– Jesteśmy w Salt Lake City! – wykrzyknął radośnie. – Cały dzień spędzimy w świątyni mormonów! Najlepsze życzenia urodzinowe!

Dla ateistki, takiej jak Jamie, stanowiło to pewne rozczarowanie, ponieważ spakowała kostiumy kąpielowe i ubrania na plażę zamiast bielizny i bluzek z kołnierzykiem. Wycieczka zmieniła się jednak w prawdziwy horror, gdy Ziemiak zaproponował, by te urodziny były rzeczywiście szczególne i poprosił, by złączyła się z nim na całe życie, pełne szczęścia, spełnienia i wzajemnego oddania.

Uśmiechnęła się i wyciągnęła dłoń.

– To następny logiczny krok – oznajmił, a ona przytaknęła ze łąza w oku.

Potem poprosił ją, żeby się nawróciła. Powiedział, że cała wspólnota modli się za ocalenie jej duszy od mąk piekielnych, ponieważ było widać aż nadto wyraźnie, że osuwa się prosto w szeroko rozwarte ramiona szatana.

Po tym wszystkim zorientowałam się, że nie mam wyboru. Wsunęłam znane wam już zdjęcie topless do koperty i polizałam znaczek.

Kiedy mi powiedziała, że zerwali ze sobą na dobre, wskoczyłam do samochodu i popędziłam do niej do domu, zatrzymując się na krótko, żeby zatankować

36

w sklepie alkoholowym dla zmotoryzowanych. Lecz kiedy weszłam do jej domu, zauważyłam, że siedzi cała nadąsana na kanapie.

– Mam wszystkie składniki dla Rozrywkowej Jamie! _ powiedziałam, machając jej przed oczyma dwunastoma puszkami piwa.

Nie odezwała się.

– O co chodzi? – zapytałam. – Kupiłam importowane!

– Nie, to nie to – powiedziała gorzko. – Nie zostawił mi biletów! NIE ZOSTAWIŁ MI BILETÓW!

– Na Pagea i Planta? – zapytałam z niedowierzaniem. – Ziemiak nie dał ci biletów? Przecież nawet nie ma pojęcia, kim oni są! Jemu się wydaje, że śpiewają tylko Alleluja!

– Wiem, wiem – powiedziała Jamie. – Powiedziałam mu, że to chrześcijańska grupa rockowa i żeby kupił dobre miejsca. A plan się nie udał!

– Nie martw się – wystękałam szybko. – Znam kogoś, kto zna kogoś, kto zna

kogoś,

kto pracuje u organizatora trasy.

– Handlarz narkotyków, prawda? – zapytała.

– Myślisz, że to zły pomysł?

– Jak nam zorganizuje dobre miejsca, to nic mnie nie obchodzi. Dorzucę mu jeszcze odbitkę zdjęcia w wersji topless – powiedziała.

Dwa dni później odebrałam od Federal Express przesyłkę z dwoma biletami na koncert Pagea i Planta. Obdarowałam nimi Jamie, lecz pozostał jeszcze jeden

problem.

§5

Dawno temu, kiedy byliśmy w siódmej klasie, poszliśmy na naszą jedyną, jak dotąd,

potaćówkę. Jamie prześladował pewien konus, który, sądząc po aromacie, kąpał się w beczce pełnej wrzącego „Bruta” i wypalił przy tym kilka cygar. Łaził za nią przez całą noc, dopóki wstydlawie nie poprosił jej do tańca, kiedy grali Schody do nieba (Stairway to Heaven). Zgodziła się, uznając to za jałmużnę.

Przytulał ją mocno. Wstrzymała oddech. Położył jej na ramieniu swoją tłustą, przesiąkniętą dymem cygar głowę. Zobaczyła, że ma łupież. Potem dostał wzvodu. A

trzeba wam wiedzieć, że piosenka jest długa, bardzo długa. Do dzisiaj, kiedy ją grają w radio, przypomina jej się zapach cygar, taniej wody kolońskiej i czuje, jak coś małego ociera się o jej nogi. Męka w najczystszej postaci.

– Co będzie, jak zagrają Schody do nieba, a ja sobie wszystko przypomnę? – zapytała, kiedy pokazałam jej bilety.

Powiedziałam, żeby się o to nie martwiła. Byłam pewna, że Robert i Jimmy trochę się teraz wstydzą tej piosenki i – w odróżnieniu od Dona Henleya i Glenna Freya, którzy odstawili na bok całą dumę zespołu The Eagles i nagrali The Boys of Summer i Smugglers Blues – woleliby upić się benzyną, niż zagrać ją jeszcze raz.

Poza tym były jeszcze inne sprawy do omówienia.

– Pamiętaj – powiedziałam jej. – Masz się ubrać jak wtedy, kiedy jechałaś chevroletem camaro.

Ale kiedy znalazłyśmy się na miejscu, okazało się, że to ja nie jestem odpowiednio ubrana. Czy wiecie, że jeszcze produkują buty do kostek z frędzlami na cholewce? A w pewnych częściach miasta nosi się nadal obcisłe topy bez ramiączek? Ja nie wiedziałam. Wyda-

&

wało mi się, że guma ma jakąś datę przydatności albo metkę w szwie, na której jest napisane „zużyć do końca 1978 roku”. Byłyśmy jedynymi kobietami na stadionie, które nosiły biustonosze.

– Ktoś musi powiedzieć tym ludziom, że Stevie Nicks1 nie nosi już gazy, chyba że się skaleczy – skomentowała Jamie.

Postanowiłyśmy znaleźć nasze miejsca. Nie były za dobre: niby tuż przy scenie, ale w czernastym rzędzie obok schodów. Widziałyśmy wszystko, co się dzieje na zapleczu, tam, gdzie jest cały sprzęt i technicy.

Właśnie wtedy zauważyłyśmy dziwnego, obco wyglądającego człowieka w zielonych szortach i pod-kolanówkach, który starał się wejść na scenę. Po kilku nieudanych próbach wreszcie mu się udało.

Spotkał się tam z jakimś facetem z obsługi, obaj zaczęli kiwać głowami i żywo gestykulować. Konus wyciągnął coś z tylnej kieszeni spodni i podał temu drugiemu facetowi.

Nie mogłyśmy uwierzyć własnemu szczęściu. Właśnie stałyśmy się świadkami czegoś, co wyglądało na handel narkotykami. Patrzyłyśmy jak zahipnotyzowane.

Dopóki konus nie spojrzał w górę i nie zobaczył nas.

– Zauważył nas! – krzyknęła Jamie, spoglądając prosto przed siebie. – Widział nas! Widział nas! Nie patrz w tamtą stronę!

1 Właśc. Stephanie Nicks – autorka piosenek i wokalistka zespołu Fleetwood Mac (przytłum.).

S8

Przez całe pięć sekund patrzyłyśmy przed siebie, dopóki ciekawość nie zwyciężyła i musiałam zerknąć. Zobaczył mnie jeszcze z sześć razy, a ostatnim razem, kiedy konus przyłapał nas na akcie szpiegostwa, pokazał nam kciuki uniesione do góry. Kordialnie odwzajemniłyśmy pozdrowienie. Kciuki do góry.

– Gram na bongosach! – zawołał do nas.

– To fajnie! – odkrzyknęłyśmy.

– Gram na bongosach w Led Zeppelin – dodał.

– Pewnie – odkrzyknęłam. – A mój ojciec śpiewa. Spadaj, nie masz u nas szans, mały!

Właśnie wtedy światła zgasły, pierwszy zespół wyszedł na scenę i zaczęła się prawdziwa zabawa. Wszyscy na stadionie byli pijani w sztok albo na umór, a dzięki miejscom, jakie nam przypadły, widziałyśmy, jak kilka osób ląduje na ziemi. Im później się robiło, tym bardziej pili i tym gęściej padali. Niektórzy wcale nie wstawali.

Z wyjątkiem jednego faceta. Zataczając się, wgramolił się po schodach, z puszką piwa w ręce i całymi hektolitrami w brzuchu. Zaczął rozglądać się za miejscem, gdzie mógłby usiąść.

– Hej – wybełkotał, klepiąc chłopaka, który siedział za nami – posuń się. Posuń się, chcę tu usiąść. Muszę tu usiąść.

Ten za nami odmówił, więc gość poszedł dalej. Klepnął innego widza, kilka rzędów przed nami. Widziałam, jak facet wstaje, odwraca się, zgina rękę w łokciu i wali natręta prosto w szczękę z takim trzaskiem, że usłyszałam go mimo głośnej gry zespołu. Cios był na tyle mocny, że ofiara przeleciała w powietrzu trzy rzędy, opryskując

?9

wszystkich po kolei resztkami piwa. Byłam niemal pewna, że to jakiś sikacz. Ludzie zaczęli klaskać. Nie pojął aluzji. Wstał i jak zupełny dupek (zresztą był nim) chciał podać rękę mężczyźnie, który właśnie rozkwasił mu wargę. Chyba wydawało mu się, że cios, jaki otrzymał, to pewien sposób całowania.

– Hej, dupku – ostrzegł go facet. – Jak podejdziesz, dostaniesz jeszcze raz!

– Za co? – jęczał intruz. – Za co? Przecież to ty mi wylałeś piwo! Czy to sprawiedliwe? Moje piwo!

Właśnie miał dostać następny pocałunek, tym razem wymierzony w nos, ale ochroniarze szybko zbiegli ze schodów i zabrali go. Wrzeszczał i wierzgał nogami.

Wtedy zauważyłam, że Jimmy Page wygląda jakoś dziwnie. Przypominał mi dziadka Pop Popa ubranego w sukienkę babci, ale twarz miał szeroką jak mój tyłek. Gapiłam się na nią, gdy nagle zauważyłam drugą twarz wyłaniającą mu się zza pleców, zadowoloną i uśmiechniętą od ucha do ucha.

Kciuki do góry!

– Ojej, Jamie! – zawołałam. – Diler jest na scenie! Diler jest na scenie i gra na bongosach!

– Wiem – odparła, śmiejąc się. – Ale twój stary ma kłopoty z wysokimi dźwiękami.

Był tam, ten dziwny mały człowieczek. Śpiewał, tańczył, grał i machał do wszystkich. Nasz konus. Byliśmy naprawdę dumne, zwłaszcza wtedy, kiedy zagrał swoją krótką solówkę na bongosach, a kamera uchwyciła tę uśmiechniętą twarz i pokazała na trzech ogromnych ekranach nad sceną. To nasz konus!

??

Doskonale się bawił. Czuł się tak świetnie, że kiedy wszyscy zeszli ze sceny, on został, jakby tysiące ludzi klaskały tylko jemu.

Przynajmniej my klaskałyśmy. Klaskałyśmy jemu i Pageowi, i Plantowi, którzy mieli na tyle zdrowego rozsądku, że nie kazali nam wchodzić po schodach do nieba.

Konus został na scenie długo po zgaszeniu reflektorów. Tłum nadal grzmiał i ryczał, a on patrzył na niego, uśmiechnięty, z kciukami podniesionymi wysoko ku niebu.

Nie sądzę, żeby Ziemiak, który miał lepsze miejsca poniżej, bawił się tak zajebiście jak my.

Wier <??? od &??> \???

Pierwsza zwróciłam uwagę na duży brązowy znak, kiedy przejechaliśmy przez szczyt wzgórza i zanurzyliśmy się w dolinę po drugiej stronie. Rozwaliłam się na siedzeniu pasażera w isuzu trooperze, mając nadzieję, że Jeff go nie zauważy albo że ma już dość.

Tylko pokręciłam głową. To było jak zły sen. Odkąd wyjechaliśmy z Roswell w stanie Nowy Meksyk i zawróciliśmy w stronę Phoenix w Arizonie, na naszej corocznej letniej wycieczce poddawana byłam wymyślnym torturom. Moje przeżycie zależało od Jeffa, bo wydałam wszystkie pieniądze, ale nic na to nie mogłam poradzić. Bo jak można przejść obojętnie obok podkoszulków z nadrukami smutnych obcych, którzy zginęli w katastrofie w 1947 roku? Kupiłam po jednym dla całej rodziny w muzeum UFO w Roswell.

Nie mogłam też przepuścić okazji i nie odwiedzić muzeum w Quick Marta, które szczyliło się mumią jaskiniowego dziecka sprzed dziesięciu tysięcy lat, mimo że wstęp kosztował całe piętnaście dolców. Jeff, który stanowczo stwierdził, że w jego wakacyjnych planach nie figuruje

6Z

oglądanie zwłok, został na zewnątrz na drewnianej ławce i zapalił papierosa. Dziecko umieszczono w chłodni, w jakiej rzeźnicy zwykle wystawiają świeże steki. Miało ogromną głowę, pożółkłą skórę i było zwinięte w kulkę. Wyglądało na to, że cuchnie. Leżało w koszu z sianem, a jego złośliwe spojrzenie powiedziało mi, że jest wściekłe z powodu pobytu w muzeum. Tuż obok leżał, tylko trochę mniejszy, z mumifikowany płód jaskiniowego człowieka, który przypominał obcych na moich podkoszulkach.

Zanim wyszłam do Jeffa, popełniłam błąd i w sklepie kupiłam coś do zjedzenia. Gdy tylko otworzyłam pojemnik, odrzuciło mnie i nie mogłam pozbyć się wrażenia, że potrawa bardzo przypomina zapachem dziecko z epoki jaskiniowej. Pomyślałam sobie, że w smaku też zapewne je przypomina, i dostałam torsji.

Tak oto, w wyniku mojej niefrasobliwości, zostałam zmuszona do zrobienia jedynej rzeczy, jaką zrobić mogłam: wspiawszy się do troopera, podałam Jeffowi ostatnią

dwudziestodolarówkę z portmonetki i powiedziałam po prostu:

– Zatoszcz się o mnie.

To przypieczętowało mój los.

Jeffowi bardzo zasmakowały nowe, superostre burritos Wild Jungle, które Taco Bell wprowadził do menu jako czasową ofertę, i postanowił zjeść tyle placków, ile się da, zanim skończy się oferta. Oznaczało to, że zatrzymywaliśmy się w każdym barze sieci Taco Bell po drodze z Roswell do Phoenix, a ponieważ byłam teraz pod jego opieką, nie miałam wyboru i musiałam na to przystać. Zanim dotarliśmy do Tucson, zjadłam w Taco Bell więcej, niż Pan

63

Bóg przeznaczył dla jednego człowieka, i obawiałam się, że kiedy wrócę do domu, mój układ trawienny nie będzie w stanie uporać się z żadnym normalnym pokarmem. Gdy zajechaliśmy na parking, który Jeff zauważył mimo moich westchnień, wiedziałam, że już więcej nie dam rady. Po prostu nie. Przez ostatnie dwa dni nie jadłam nic innego oprócz Pintos Crispas z serem i cynamonem, podczas gdy Jeff wchłonał przynajmniej tyle superostrych burritos, ile sam waży, czasami zamawiając po pięć albo sześć naraz i pogryzając resztki, gdy jechaliśmy samotnymi wstęgami drogi przez pustynię.

Zatrzymał się przed podwójnymi drzwiami wahadłowymi ze znakiem firmowym Taco Bell i wyskoczył z samochodu. Ja nie ruszyłam się z miejsca.

– Chodź – zachęcił mnie gestem. – Jestem głodny!

– Nie – odpowiedziałam po prostu. – Nigdzie nie idę. Już nic więcej nie zmieszczę.

– To zgłodniejesz – powiedział z sarkazmem.

– Trudno – wydułam wargi. – Nie zjem już ani jednej fasoli. Ty też nie powinieś. W aucie śmierdzi jak diabli.

– Muszę tu coś zjeść. – Jeff nie dawał za wygraną. – Nie wiem, kiedy przestana sprzedawać burritos Wild Jungle. Może się to stać w każdej chwili.

– Więc proszę cię, daj mi trzy dolary, żebym sobie mogła kupić kawałek panierowanego kurczaka – poprosiłam, wskazując na przeciwległą stronę drogi. – Tam jest Kentucky Fried Chicken!

– Burrito z serem i z fasolą kosztuje tylko sześćdziesiąt dziewięć centów – nalegał Jeff. – Za te pieniądze możesz kupić trzy i pół.

64

– Jeff, błagam, czy mogę zjeść kurczaka w KFC? Wezmę tylko bułkę albo trochę kapusty. Muszę coś pogryźć!

– To kup sobie taco – nalegał. – Może powinnaś była o tym pomyśleć, zanim przepuściłaś wszystkie pieniądze?

– To daj mi pięćdziesiąt centów na bułkę – krzyknęłam. – Chcę tylko bułkę!

– Założę się, że załujesz tych piętnastu dolarów, które wydałaś, żeby pogapić się na martwe dziecko! – krzyknął.

Pokręciłam głową.

– To była mumia! Dziecko człowieka jaskiniowego to mumia i warte było każdego centa!

– A twoja matka nigdy przecież nie włoży podkoszulka z obrazkiem martwego obcego! – krzyknął. – Za te pieniądze mogłaś sobie kupić całe wiadro kurczaków! Przestałam zwracać na niego uwagę.

– Masz do wyboru – oznajmił Jeff z powagą. – Albo maszerujesz ze mną i zamawiasz burrito, albo zjesz to swoje świństwo z pojemnika. Jeszcze się gdzieś płacze po chłodziarce!

I rzeczywiście, jaki miałam wybór? Fasola albo dziecko jaskiniowców. Wolę fasolę.

Powłócząc nogami, podeszłam do lady i zamówiłam pintos z serem, a Jeff kolejnych pięć burritos Wild Jungle.

– Bardzo mi przykro, ale oferta skończyła się o północy – powiedziała dziewczyna za ladą. – Nie ma już burritos.

6?

– Mówiłem ci, że oferta jest ograniczona! – syknął na mnie Jeff, kiedy wracaliśmy do samochodu. Uśmiełam się serdecznie, podnosząc pierwszą łyżkę fasolki do ust.

^og, Kiedy &???? &???

W porządku. Oto, co się stało.

Były urodziny mojego kolegi Pattiego Piersona. W czwartek wieczorem wszyscy poszliśmy do naszego ulubionego baru, żeby to uczcić.

Dla mnie zapowiadał się wieczór długiego drinka. Miałam przy sobie tylko cztery dolce, co równało się jednemu samotnemu drinkowi, tak samotnemu, jak moja dusza. Zamówiłam go i odstawiłam, zanim wybiła dziesiąta. Usiadłam na krześle barowym i rozżaliłam się nad sobą.

Postanowiłam wypróbować parę sposobów na zdobycie czegoś mocniejszego. Przypomniałam sobie, że jestem kobietą. Znam kobiece sztuczki, a poza tym widziałam, jak to się robi na filmach. Pamiętacie Faye Du-naway w Ćmie barowej? Miała drinki na każde skinienie, bo wiedziała, jak wykorzystać estrogen, a przecież ubierała się tak, że musiało od niej cuchnąć.

„Mam szansę – przekonywałam siebie sama – dzisiaj popsikałam się dezodorantem, chyba nawet umyłam zęby”.

er

Oczywiście najpierw musiałam poćwiczyć, więc spróbowałam kroku z wybiegu pokazów mody. Wstałam i eksponując ruch biodrami, poszłam do toalety, powtarzając w myślach: prawa stopa, lewe biodro, lewa noga, lewe biodro, nie, prawe biodro, nie... lewe biodro.

„A niech to – pomyślałam – to nic nie da”. Wyglądałam jak wygłodzona mulica wlokąca wóz albo, co gorsza, jak emeryt oczekujący na endoprotezę stawu biodrowego.

Cholera! Powiedziałam sobie, że wiem, jak być sexy. Muszę tylko wypuścić z siebie seksowność. „Skup się. Pozwól seksowności wypłynąć z siebie, pomyśl o Greg-gu Allmaniel, pomyśl o bokobrodach, tak! Już nadchodzi, właśnie tak, zbliża się, długie blond włosy, piękne gównianobrazowe oczy. Jesteś uwodzicielska, Laurie, tak, otwórz wrota swojej urodzie, niech wypłynie, o tak, z rozłożonymi rękami jestem jak Laurie Kurewka”.

Wyśliznęłam się z toalety jak Sharon Stone w ciele Ger-* trudy Stein, szczyt powabu, i zauważyłam ofiarę.

Miał nią zostać mój kolega John.

Oparłam się o bufet, spuściłam głowę i spojrzałam na niego, kilka razy zatrzepotałam rzęsami, uśmiechnęłam się, jakbym mówiła: „mam na ciebie ochotę, kotku”, i mrugnęłam, rzucając się na ofiarę.

– Dziwnie wyglądasz – powiedział i wrócił do swojego piwa.

i Gregg Allman – piosenkarz, kompozytor, członek zespołu bluesowego The Allman Brothers Band. Nosi długie blond włosy i brodę (przyp. tłum.).

&

nie poddawaj się! – wołała kokietka w mojej głowie. – BĄDŹ SEXY! TU CHODZI O WHISKY! UDAWAJ, ŻE MA BOKOBRODY! TAŃCZYSZ NA RURZE!

Dmuchałam mu do ucha, tak delikatnie jak leciutki, prawie niezauważalny wietrzyk.

Odstawił piwo, odwrócił się i zapytał:

– Dobrze się czujesz? Zapomniałaś dziś zażyć lekarstwo?

– Jestem zmysłowa – poinformowałam go szeptem.

– Jesteś pijana – stwierdził John. – Starasz się mnie poderwać. Ale nie postawię ci drinka. Znajdź sobie pracę.

O suchym pysku wróciłam na krzesło przy barze. Tej ilości alkoholu, jaką wypiałam,

nie poczułby nawet embrion, a ja, jeśli nie postaram się lepiej, nadal będę spłukana, trzeźwa i spragniona.

Patti, którego od delirium dzieliły już tylko dwa piwa, oznajmił przez głośniki, że wszystkie sto pięćdziesiąt osób, które są w środku, zaprasza na kontynuację urodzinowej balangi po zamknięciu baru.

Jednak Chris – kolega, który z nim mieszkał – nie usłyszał z tego ani słowa, bo przyparła go do muru kobieta o włosach ułożonych w wijące się węże. Rozpoznałam w niej jego byłą dziewczynę, Meduzę.

Przypatrywałam im się. Ręce Meduzy wściekle latały dookoła, kilka razy zbliżyły się niebezpiecznie do jego twarzy, a usta poruszały się tak szybko jak dłonie klaszczącej małpy. On nie odzywał się ani słowem. Stał tylko w miejscu, oszołomiony i lekko zdezorientowany, czekając na sposobność ucieczki. Rzucił mi nagle pełne nie-

69

pokoju spojrzenie, a ja wzruszyłam ramionami. Niewiele mogłam zrobić.

Wreszcie Meduza musiała przerwać, żeby nabrać tchu, a on uciekł do toalety, co uznałam za sprytny wybieg. Ale kiedy wysunął stamtąd głowę, znów go dorwała, ożywiona, podenerwowana i rozwrzeszczana.

Wyszedł z baru. Podążała za nim krok w krok, krzycząc coś do jego pleców. Wraz z ostatnimi zamówieniami zniknęła szansa na łyk czegoś mocniejszego. Pogodziłam się z faktem, że nie dostanę następnego drinka. Laurie Kurewka nie sprawdziła się tym razem.

Bar powoli pustoszał. We mgle szarego dymu goście wykrzykiwali do siebie wskazówki, jak dojść do domu Pattiego, a ja skierowałam się do samochodu zaparkowanego po przeciwnej stronie drogi.

Kiedy wyjeżdżałam i zatrzymałam się na światłach, rzuciłam okiem w lewo i zauważyłam Chrisa, który desperacko kręcił głową. Meduza dalej wydzierała się na niego. Spuściłam szybę. Słyszałam ją teraz. Jazgot dziewczyny przypominał odgłos styropianu pocieranego po szkło, a z ust buchały jej płomienie. Zrobiłam jedyną rzecz, jaką zrobić mogłam.

– Hej, Chris! – krzyknęłam. – Podwieźć cię?

– Kurczę, no pewnie! – zawołał, przebiegł przez ulicę i wskoczył do środka.

Bynajmniej tym nie zrażona Meduza ruszyła do natarcia. Podeszła do samochodu od strony kierowcy i odważnie wsadziła głowę w otwarte okno, zalewając samochód potokiem wrzasków.

To

Chris ze stoickim spokojem nachylił się obok mnie i nacisnął przycisk. Meduza nadal wrzeszczała jak wampir w pełnym słońcu, lecz szyba nieubłaganie posuwała się coraz wyżej, wyżej i wyżej, dopóki nie zatrzymała się jej na gardle. Głowa dziewczyny została zaklinowana.

Nie przeszkadzało jej to, nie zniechęciła się ani trochę. Wydzierała się dalej. Nie mogła się ruszać, a Chris desperacko próbował dokończyć dzieła. Walczyliśmy o dostęp do przycisku, szyba przesuwiała się na przemian to w dół, to w górę, dopóki nie udało mi się wreszcie walnąć dziewczyny otwartą dłonią w czoło, usuwając jej czaszkę z okna samochodu.

Światło zmieniło się na zielone. Meduza wciąż uwieszona była u samochodu, a jeden z włosów-węży nadal wił się nade mną, przytrzaśnięty szybą. Nacisnęłam przycisk, żeby go uwolnić, ale ona skorzystała z okazji i wdarła się do samochodu jak wściekły grizzly. Z ust kapała jej ślina, a oczy przybrały kolor płonących węgli.

„Przecież ona nas zeżre”, pomyślałam, naciskając na pedał gazu i przejechałam na żółtym świetle. Meduza zamachnęła się po raz ostatni i uderzyła ciałem o karoserię.

Nie ujechaliśmy więcej niż dwadzieścia metrów, kiedy w lusterku wstecznym zobaczyłam koguta.

– No nie – to wszystko, na co było stać Chrisa.

Zjechałam na stację benzynową firmy Mobil przy najbliższym skrzyżowaniu i zatrzymałam samochód. Policjant Barney Fifel podszedł do samochodu i wsadził głowę w okno, które jeszcze ociekało wściekłą Meduzą.

i Barney Fife, Goober Pyle, Gomer Pyle – postaci z amerykańskiego serialu telewizyjnego The Andy Griffith Show (1960-1968), znani z plotkowania na tematy kryminalne (przyp. tłum).

?

– Wie pani, dlaczego panią zatrzymałem? – zapytał. Pokręciłam głową.

– Przycięła pani oknem głowę tamtej dziewczyny – poinformował mnie.

– Wiem – odpowiedziałam. – Chciała nas pożreć żywcem.

– Wstrzymywała pani ruch – dodał.

– Miała zamiar nas zjeść – powtórzyłam z naciskiem.

– Czy pani piła? – zapytał Barney.

– Tak, wypiałam. Jednego drinka. Miałam tylko cztery dolary, a puszczenie się niespecjalnie mi wychodzi.

– Proszę wysiąść z samochodu.

A niech to. Źle jest, kiedy każą ci wysiąść z samochodu – widziałam w serialu Gliny. Niedobra Laurie, gdzie się podziejesz, kiedy przyjdą gliny?

– Przeprowadzę doraźny test trzeźwości – powiedział. – Czy przeżyła pani kiedykolwiek uraz głowy?

„O Boże, pomyślałam – drapiąc się po głowie. – Co to znaczy uraz głowy?” Raz pijana wypadłam z samochodu i uderzyłam się o skałkę rzeczna na podjeździe. Nie – dwa razy. Kiedyś tracąc przytomność, rozwaliłam sobie głowę o sedes, w trzeciej klasie na wycieczce wpadłam na słup telefoniczny, bo nie patrzyłam, gdzie idę, mama walnęła mnie szczotką do włosów na jedenaste urodziny, bo ugryzłam siostrę.

– Chyba nie – odpowiedziałam.
– W porządku. Powiem, co ma pani zrobić. – Po chwili kontynuował: – Proszę wyobrazić sobie, że tędy biegnie linia prosta. Proszę zrobić krok lewą nogą, postawić ją tuż przed prawą, tak żeby pięta dotykała palców, wzdłuż wyobrażonej linii wiodącej na zachód. Tak, pięta

tz
do palców, dziewięć razy, nie dziesięć ani nie osiem, obrót na pięcie lewej nogi,

potem gwiazda, skłon w tył, palce do pięty, latający Holender, a potem salto w tył. Proszę zostawić papierosa w samochodzie.

Przećwiczyłam już chodzenie po wybiegu w barze, więc miałam wrażenie, że uda mi się przejść doraźny test trzeźwości kierowcy, chociaż wydawał się trochę bardziej skomplikowany. A jak mi się uda, to czy dostanę kontrakt na reklamę płatków śniadaniowych Wheaties? W końcu stwierdziłam, że nie czas teraz na wygłupy.

Podalam Chrisowi papierosa i zaczęłam wykonywać zadany układ choreograficzny, chociaż wolałabym to robić z towarzyszeniem jakiejś muzyki, na przykład Flirtując z kataklizmem (Flirtin with Disaster) Molly Hatchet albo cokolwiek zespołu Foghat. Zaczęłam iść, palce do pięt, na zachód, dziewięć razy. Przeszłam samą siebie, robiąc gwiazdę na jednej ręce i bezbłędnie wykonałam skłon w tył, chociaż końcówka nie wyszła mi nadzwyczajnie.

– Przykro mi – powiedziałam – ale mam dyskopatię.

Barney nie wierzył mi, wyczułam to.

Kiedy kończyłam, do zabawy dołączyło jeszcze dwóch innych policjantów, Goober i Gomer. Doraźny test trzeźwości na trzeźwej dziewczynie. Koguty na radiowozach w dalszym ciągu migaly, dzięki czemu stacja Mobilu zmieniła się karnawałową dyskotekę.

– Piła. – Widziałam, że Barney i jego uzbrojeni towarzysze, Goober i Gomer, kiwają głowami jak na komendę. – Jedzie od niej jak z browaru.

??

Nie zaliczyłam sprawdzianu z koordynacji ruchów. A byłam przecież trzeźwa, jak w dniu, kiedy się urodziłam. Przeszli więc do bardziej wyrafinowanego technicznie testu latarki, chociaż żaden nie miał uprawnień do jego stosowania. Postanowili mnie jednak wypróbować.

Właśnie wtedy zauważyłam samochody zjeżdżające do domu Pattiego. Ich kierowcy i pasażerowie gapili się na parking, na którym roilo się od glin, jak na miejscu krwawej zbrodni. Niektórzy z nich trąbili i machali do mnie przyjaźnie.

Goober wyjął wąski długopis-latarkę i kazał mi śledzić wzrokiem źródło światła, ale bez poruszania głową. Wolno przesuwał latarkę na prawo, potem na lewo i z powrotem, lecz nagle zaczął nią wymachiwać tu i tam, w górę i w dół, na boki, jakby naśladował lot zwiariowanego UFO. Wydawało mi się, że Goober dostał ataku, więc przerwałam tę grę i spojrzałam mu prosto w oczy.

– nie jestem pijana! – powiedziała szorstko. Gdybym była, test trzeźwości byłby znacznie bardziej zabawny.

Goober, Gomer i Barney odbyli krótką naradę. Zdaje się, że grali w marynarza i za trzecim razem zdecydowali, że chyba mówię prawdę.

– Dam pani ostrzeżenie – stwierdził Barney. – Proszę więcej nie wstrzymywać ruchu. Trzeci samochód za panią nie zdążył już przejechać.

– Szkoda – powiedziałam ze współczuciem.

– I proszę więcej nie pić! – dodał.

– Nawet nie mogę – odparłam. – Skończyły mi się pieniądze, urok osobisty i chyba też szczęście.

?4

Spojrzałam na Chrisa. Wyglądał, jakby stracił dobry galon krwi.

Wyjeżdżając ze stacji, zapaliłam kolejnego papierosa i dołączyłam do karawany samochodów zjeżdżających do Pattiego. Uznałam się, że mam szczęście, bo jestem zupełnie pozbawiona seksapilu. Gdybym miała go choć trochę, bez wątpienia okazałoby się, że jestem pijana i rozpocząłabym nowe życie w zawodzie więziennej praczki.

Chociaż może nie byłoby to takie złe. Może znalazłabym sobie jakąś fajną dziewczynę i ustatkowała się wreszcie.

UW-bgbj S^/????

Nienawidzę publicznych toalet.

Uwielbiam i szanuję świętość mojego domowego kibla. Może jest brudny jak zajazd

kierowców ciężarówek, ale przynajmniej wiem, że brud jest mój, i mogę robić to, co mi się podoba i kiedy mi się podoba. Strach przed korzystaniem z szaletów jest tak dojmujący, że zrobię wszystko, aby tego uniknąć.

W szóstej klasie matka kazała mi się zapisać na obóz skautek. Kiedy dotarłam na miejsce, wiedziałam, że czeka mnie droga przez mękę. W miejscu, które miało pretensje do nazwy „toaleta”, znalazłam tylko wyłącznik i gołą żarówkę dyndająca na drucie. Oprócz tego luksusowego wyposażenia był to po prostu ordynarny wychodek – długi rząd muszli klozetowych ziejących takim odorem jak pokazywane w telewizji eksponaty dla rolników na jarmarku w upalny dzień. Akustyka była niesamowita, niemal każdy dźwięk odbijał się echem. Jaki miałam wybór?

Wstrzymywałam się prawie przez całe dwa tygodnie, a po powrocie do domu pewnie powinnam była pójść do szpitala. Ból, który odczuwałam, kiedy

T6

moje wnętrzości się zablokowały, był niczym w porównaniu z perspektywą ulżenia sobie w towarzystwie pięćdziesięciu skautek.

Jako osoba dorosła zauważyłam, że nie wszyscy przestrzegają zasad korzystania z toalet i terroryzują innych. Dlatego sporządziłam opisy kilku rodzajów toaletowych terrorystów, którzy wielokrotnie dawali się we znaki mnie i innym zakładnikom toalety, zmuszając nas do zbyt długiego powstrzymywania, bądź co bądź, naturalnych odruchów. Jeżeli rozpoznałaś siebie samą w jednym spośród poniższych portretów, zacznij szukać pomocy. Bo jak nie, to ja ci pomogę. Naprawdę.

intruzka: Osoba ta wcale nie zalicza się do grupy przyjaznych sąsiadów.

Szczególną przyjemność sprawia jej aneksja przestrzeni zapachowej i akustycznej zajętej kabiny. Za nic ma zasadę: „jedna kabina przerwy między użytkownikami”. Z premedytacją wybiera sąsiednią, mimo że w pobliżu znajdują się całe grupy wolnych miejsc. Działanie to skutkuje natychmiastową przerwą w operacjach przeprowadzanych w zajętej kabinie, co powoduje bezpośrednie zagrożenie zdrowia, nie wspominając o zdenerwowaniu. Mówię wam otwarcie, że z własnego zaworu bezpieczeństwa korzystam jak najrzadziej się da, aby mi się nie zużył za wcześnie i nie przestał kontrolować czynności fizjologicznych na następne urodziny, bo z tego co wiem, jeszcze nie przeszczepiają tych narządów. Niech ci o tym przypomina rymowanka: „Nie działaj nikomu na nerwy, zostaw jedną kabinę przerwy”.

TT

bombowiec: Chyba po to, żeby nie tracić czasu na mocowanie nakładki ochronnej, a może po to, żeby zaznaczyć granice swojego terytorium, osoba ta nigdy nie dopuści, by jej pupa zetknęła się z sedesem, chociaż nie ma nic przeciwko temu, aby przytrafiło się to jej produktom ubocznym. Wiemy, że ładowisko miski klozetowej jest dość spore, więc przyczyny niecelnego odpalenia ładunku pozostaną dla mnie tajemnicą, chyba że strzelec stoi na baczność i stara się trafić do muszli z kąta. Postawa Bombowca jest nie do przyjęcia, chyba że wcześniej własnoręcznie wykopało się dziurę w lesie. Następnym razem, kiedy weźmie cię pokusa oparcia się pełnemu ładowaniu, pamiętaj: „Nie zostawiaj śladów,

po prostu siadaj i ładuj”.

gadula: Łatwo ją poznać, to biurowa plotkara. Siła jej oddziaływania wzrasta niepomiaralnie, gdy znajdziecie się w pułapce jednego pomieszczenia, a ty jesteś półnaga. Zaczynając od niewinnego: „co słychać?”, Gadula nie przerywa rozmowy, dopóki twój układ trawienny nie przejdzie w tryb turbodoładowania, a wszyscy inni w toalecie nie dowiedzą się, że twoja matka jest lesbijką, mąż odszedł, a na lewej ręce masz brodawkę. Ostrzeżenie: silencio! Kiedy zamkną się za mną drzwi kabiny, jestem bezimienną jednostką. Jeżeli jestem w pracy, nie istnieję jako Laurie koleżanka, Laurie z parku samochodowego ani jako Ta, Której Nikt Nie Znosi. Jestem po prostu anonimową pisiarką. Nie próbuj mnie wciągnąć w rozmowę, nie zadawaj pytań, zwłaszcza tych w rodzaju: „Ha! Znowu kuchnia indyjska, co?” Kiedy zastanawiasz się, czy nie otworzyć ust, przypomnij sobie: „W toalecie swoje rób, przede wszystkim – zamknij dziób!”

?8

oczekująca: Należy jej się współczucie. W odróżnieniu od pozostałych osób na liście, Oczekująca nie jest przestępcą, lecz ofiarą. Z reguły ma pilne sprawy do załatwienia, ale jest zbyt uprzejma i życzliwa, żeby złożyć depozyt w obecności innych. Oczekująca często cierpi ból, powstrzymując dłońmi narządy wewnętrzne przed eksplozją. Od śmierci dzieli ją minuty. Niestety, wiele osób nie

rozpoznaje tych objawów i wysiada w toalecie, jakby to była darmowa szatnia nad morzem. Jeżeli podejrzewasz, że znalazłaś się w towarzystwie Oczekującej, natychmiast wyjdź. Jeżeli sama nią jesteś i czujesz, że znalazłaś się w patowej sytuacji po porcji meksykańskiej sałatki, ogłoś rozejm, policz do trzech, spuść wodę dla spotęgowania szumu tła i ulżyj sobie. Staraj się wyjść pierwsza, ale tylko wtedy, jeżeli masz szansę nie trafić na rywalkę. Nie zapomnij: „Cisza to sygnał do wyjścia!”

kokietka: Jeżeli Oczekująca ma jakiegoś śmiertelnego wroga, to jest nim właśnie Kokietka, nienawidzę kokietek; Każdą Oczekującą śmiertelnie przeraża odgłos torebki kładzionej na blacie przed lustrem. Potem chrzest szponów Kokietki, starającej się odnaleźć kosmetyki, szczotki do włosów i perfumy. Uważam, że jeżeli nie potrafiłaś się umalować rano przed wyjściem z domu, nie masz prawa robić tego później. Straciłaś sposobność i tyle. Kiedyś siedziałam w kabinie ładnych parę godzin, czekając, aż jedna z nich wyjdzie z toalety. Jeszcze chwila i wnętrzności eksplodowałyby mi przez pępek. Zanim skończyła, na zewnątrz zrobiło się ciemno i wszyscy w biurze sądzili, że poszłam do domu. Więc następnym

79

razem, kiedy rzucisz torbę koło umywalki, pamiętaj: „Widzisz twarz gнома? Makijaż zrób sobie w domu!”

Więc wy wszystkie – Intruzki, Bombowce, Gaduły i Kokietki – miejcie się na baczności. Czekam i jestem gotowa zaatakować z ulubionej kabiny. Fakt, że nie widziałam waszych twarzy, nie ma znaczenia.

Poznam was po butach.

Niespełniony ^&wr\jfk

Była 6.17 rano. Niczym nie zasłużyłam sobie na taki los.

Nawet słońce chyba nie wstaje tak wcześnie, ale cóż, słuchałam radia, które włączyło się po budziku. Przetrzęsłam cztery puste paczki po papierosach. Zostało siedmiu żołnierzyków. Za mało.

Zapowiadał się długi dzień.

Poszłam do łóżka dopiero koło czwartej. Dwie godziny przewracania się i rzucania nie wpłyną korzystnie na sine wory pod oczami. „Co mi tam – pomyślałam – na kim mam zrobić wrażenie? Na reporterze kroniki sądowej? Na woźnym? Na sędzi?”

Wstałam, odpuściłam sobie makijaż, nawet nie nałożyłam tuszu na rzęsy.

Przejrzałam podłogę sypialni w poszukiwaniu najlepszego kostiumu w stylu Janis Joplin (odlotowa kamizelka, spodnie z dziurą wytartą na tyłku i wysokie buty posklejane taśmą izolacyjną), strząsnęłam z siebie większość kociej sierści i ubrałam się. Potknęłam się o kota, wypaliłam drugiego żołnierzyka, nakarmiłam psy i włączyłam się w poranny korek w fazie rozwojowej.

8\

Wyruszałam na posiedzenie ławy przysięgłych.

Wezwanie przyszło kilka tygodni wcześniej na adres rodziców. Mama nie posiadała się z radości. Machała do mnie kopertą, a poziom podekscytowania odpowiadała szerokości jej uśmiechu. Wiedziałam dlaczego. Nic, ani przesyłka z teledzakupów, ani nowy mop, który ma przesuwany uchwyt, by nie musiała ręką wyciskać gąbki, nie podnieca jej tak bardzo, jak perspektywa, że jedna z jej córek spotka wreszcie łysiejącego, seksualnie niewyżytego, dwudziestosiedmioletniego adwokata,

przyduszone-go krawatem firmy Perry Ellis. Nie rozumie, że do takiego stwora zbliżyłabym się tylko wtedy, gdybym zasiadła na ławie oskarżonych.

– Popatrz, co dzisiaj przyszło! – wykrzyknęła. – Laurie, wreszcie masz pracę! Jakieś zajęcie! Zarobisz dwanaście dolarów! A ile będziesz miała satysfakcji! Poza tym uważam, że gdybyś się uczesała, poznałabyś miłego młodego prawnika i wyszłabyś za męża za kogoś, kto ma pracę taką, jaką będzie miała twoja siostra! Wyrwałam jej z ręki kopertę.

– Zabierz coś na lunch – mówiła dalej. – W sądowej stołówce jedzenie mają wstrętne. Szynka ocieka tłuszczem. Okropność. Nigdy w życiu nie jadłam tak wstrętnej kanapki. Mówię ci, jak mają czelność tyle sobie liczyć za coś, czego nie dałabym psu ani twojemu ojcu. Tuńczyk wyglądał dobrze, ale kto wie, co oni tam jeszcze wsadzili? Pamiętaj, mnie też kiedyś wybrali do ławy przysięgłych. Przypomniałam sobie. Przez całe dwa tygodnie wydawało jej się, że jest postacią z poniedziałkowych kryminałów, uczestniczką najważniejszej sprawy sądowej w historii Ameryki. Co wieczór przy kolacji mówiła:

8Z

– Nie pytajcie mnie, co to za Sprawa. Nie pytajcie. Przysięgałam przed Bogiem. Podajcie mi popielniczkę. W tym cholernym sądzie nie wolno palić, a w tej Sprawie mam tyle rzeczy do przemyślenia! Razem z siostrami zgadywałyśmy, że Sprawa musiała dotyczyć czegoś naprawdę odłotowego, jak proces seryjnego mordercy-transwestyty cierpiącego na wielokrotne rozszczepienie osobowości albo siatki handlarzy pornografią dziecięcą z udziałem klaunów, którzy występują na urodzinach. Tymczasem nie było nawet jednego zabójstwa. W Sprawie chodziło o to, że jakiś facet potrafił starszą kobietę na pasach. Odbiła się ona od maski, samochód spłaszczył jej dwukołowy wózek na zakupy i na domiar złego złamał jej kość biodrową. Wszystkie byłyśmy rozczarowane. Ale nie tak rozczarowane jak ja, kiedy dowiedziałam się, że mam znaleźć się w sali spotkań ławy przysięgłych o godzinie 8.30 rano, co nakładało się na moją najgłębszą fazę snu REM, kiedy to marzę o głównej wygranej na loterii papierosowej lub że wypadły mi wszystkie włosy łonowe i nie będę się już musiała golić albo że Gregg AU-man prosi mnie, żebym wyszła za niego i zwierza mi się, że Cher ma więcej włosów na ciele niż stary goryl. Siedziałam tak, w korku, atakowana hard rockiem z radia, popalając trzeciego żołnierzyka i zastanawiając się, czy przypadkiem nie jest to powód, dla którego nie jestem w stanie znaleźć sobie prawdziwej pracy. Budynek sądu znalazłam bez żadnych problemów, chyba dlatego że byłam w nim wiele, wiele razy z powodów, o których teraz nie wspomnę. Kiedy zbliżałam się do schodów, z kombi przede mną wyskoczyła kobieta i pod-

83

biegła do mnie. W ręce trzymała brązową papierową torebkę. „Nieźle – pomyślałam. – Ktoś próbuje mi wcisnąć prochy przed samym budynkiem sądu najwyższego”. – Panienko! Panienko! – krzyczała, machając do mnie i biegnąc. – Czy jest pani głodna?

„Co za pytanie, no pewnie” – pomyślałam – i skinęłam głową. W zeszłym tygodniu zabrakło mi chipsów, ostatecznie trzy kromki chleba dałam psom i próbowałam napić się resztki mleka, dopóki nie zorientowałam się, że przez noc zmieniło się w ser brie. Pewnie, że byłam głodna.

– Proszę bardzo – powiedziała, podając mi torbę. – Tutaj jest coś do zjedzenia, kanapka i jabłko.

„Ha – powiedziałałam sobie – matka nic mi o tym nie mówiła. Nie potrzebuję ich stołówek, widać, że mama nie wiedziała o programie darmowych lunchów dla członków ławy przysięgłych. Wtedy nie uskarżałaby się na tłustą szynkę”.

– Dziękuję – powiedziałam, przyjmując torebkę. – To bardzo miłe. Uśmiechnęła się i skinęła głową.

– Bardzo proszę. Gdzie pani spała tej nocy?

„Co za dziwne pytanie – pomyślałam. – Pani może od Stróżów Moralności? Gdzie spałam w nocy? Co jeszcze? Poczęstuj mnie kanapką i oczekuj, że podniecę cię opowieściami z mojego życia seksualnego”.

– Chyba w łóżku – odpowiedziałam, lekko zadzierając nos.

– Nie pamięta pani? – zapytała łagodniej, kręcąc głową w subtelnym przypływie współczucia. – Naprawdę w łóżku? W schronisku dla kobiet?

84

O co jej chodzi? Nareszcie zrozumiałam.

– ojej, pani myśli, że jestem bezdomna! – powiedziałam, rzucając jej torebkę. – Nie jestem bezdomna, po prostu nie zdażyłam wziąć prysznic, to wszystko. Tuszu do rżęs też wolałam nie dotykać, OK? Nie jestem bezdomna. Jestem tylko brudna. Jestem tylko brudna. Moi rodzice mieszkają w Scottsdale, przysięgam. Mama chodzi do kosmetyczki. Kiedyś była tutaj, zasiadała w ławie przysięgłych, w tym budynku,

naprawdę. Nie jestem bezdomna, przecież popsikałam się dezodorantem.

A potem puściłam się biegiem po schodach tak szybko, jak pozwoliły płuca, wpadłam do budynku i do sali zebrań ławy przysięgłych. Usiadłam, wzięłam głęboki oddech i zastanowiłam się, czy przypadkiem nie czytam za dużo Bukowskiego1. I czy to mi się czasem nie udziela.

Potem rozejrzałam się dookoła. Sala wyglądała, jakby odbywały się w niej właśnie targi metamucilu lub poli-dentu2. Byłam tu jedyną osobą, której jeszcze nie było na świecie, kiedy Roosevelt był prezydentem. Ale będzie zabawa, warta tych dwunastu dolarów, jakie tu zarobię.

Musiałam wypełnić kwestionariusz osobowy i obejrzeć taśmę wideo, na której Linda Hurley z Kanału 13 poinformowała mnie, że jeżeli zostanę usunięta z ławy przysięgłych, nie powinnam brać tego do siebie, bo, jak mówiła, gdzieś, w jakiejś innej sali doskonale spełnię się w tej roli.

1 Charles Bukowski (1920-1994) – poeta, prozaik. Piewca trudów życia i negatywnej roli alkoholu w życiu człowieka (przyp. tłum.).

2 Metamucil – środek przeczyszczający; polident – środek do płukania protez dentystycznych (przyp. tłum.).

8?

„Właśnie – pomyślałam sobie – mój kolega Junior ma wyznaczoną rozprawę za to, że niby sprzedał tajniakowi trochę kwasu na koncercie zespołu Sonic Youth, napadł na policjanta, a potem stawiał opór przy zatrzymaniu. Taka sprawa bardzo by mi leżała”. A potem zastanawiałam się, czy Junior założy na proces wszystkie zęby, żeby zrobić wrażenie na przysięgłych. Uznałam to za dobry pomysł, szczególnie dlatego, że miałam okazję widzieć go bez zębów, które uważa za wyposażenie dodatkowe, ponieważ musi wyjmować protezę, kiedy je. Widok nie jest przyjemny. Przestałam myśleć o Juniorze i siedziałam. I siedziałam. I siedziałam.

Siedziałam, kiedy wszystkich po kolei wzywano do sali i rozdawano odznaki przysięgłych. Zajmowałam miejsce obok kobiety o imieniu Dottie, która nie przestawała paplać o tym, że jest niańką, że owdowiała i że dzieci są dla niej wszystkim, zwłaszcza teraz, kiedy jej syn, ożeniony z rzeczniczką prasową dużej firmy, już do niej nie dzwoni. Dottie cieszyła się, że została wezwana, bo czuła się dowartościowana jako obywatelka, mogła służyć krajowi, to przecież zaszczyt, i nie zna lepszego sposobu, żeby pomóc współobywatelom, niż usuwanie handlarzy narkotyków z ulicy. Spojrzała na mnie i pokręciła głową. Zaczęłam się modlić za Juniora.

O godzinie 3.47 po południu, kiedy byłam całkowicie pochłonięta talk show Jenny Jones na temat lesbijek, które odbijają mężom żony, usłyszałam swoje nazwisko dokładnie w chwili, gdy jakaś kobieta spośród widzów zapytała, czy wszystkie trzy strony kiedykolwiek uprawiały seks razem.

&5

„A niech to! – pomyślałam, wstając (zanim lesbijki zdażyły odpowiedzieć) – a niech to jasna cholera!” – i dołączyłam do pozostałych czterdziestu potencjalnych przysięgłych. Znow znalazłam się przy Dottie.

Półowa z nas weszła gęsiego do windy, stając ciasno obok siebie. Niebieska poliestrowa bluzka Dottie naelektryzowała kocia sierść na moim ubraniu.

Zauważyłam, że zapach Dottie do złudzenia przypomina woń działu maści w samoobsługowej aptece, na bazie którego wyczułam zapach eau de a-może-byś-tak-czasem-wypłukała-sobie--sztuczną-szczękę? Im więcej ludzi wciskało się do windy, tym odór stawał się intensywniejszy, w pewnej chwili wydało mi się nawet, że zwymiotuję. Kiedy jednak drzwi zaczęły się zamykać, Dottie wrzasnęła i podniosła rękę do góry:

– Ojej, ojej, ojej! – zaintonowała. – Nie mogę, nie mogę być w takim tłumie! Tracę oddech! Już nie mogę! Jest was tu za dużo! Mam klaustrofobię! Nie mogę oddychać! Ojej, ojej! Zaraz zwymiotuję!

„Nie, to niemożliwe – pomyślałam sobie – to nieprawda. Ta stara baba ze śmierdzącymi zębami nie zwymiotuje tu na mnie. Co jej tu nie pasuje, przecież sama cuchnie jak dom spokojnej starości”.

– Z panią to musi być fajnie na wycieczkach autobusowych – wymamrotałam jej do ucha.

W obliczu poważnego zagrożenia opryskaniem wymiocinami, cała nasza stłoczona w windzie dwudziątka rozdzieliła się na dwie części i moja wcale nie tak pomocna dłoń wypchnęła Dottie na sam przód. Oparła głowę o ścianę i oddychała głęboko w przerwach pomiędzy

8?

próbami ucieczki z windy, ilekroć ta się zatrzymywała, co zmuszało woźnego do wciągania Dottie z powrotem.

Nie do wiary, ale udało nam się dotrzeć do sali sądowej na sucho. Zajęliśmy miejsca, a ja utknęłam w ławie przysięgłych. Od razu wiedziałam, że prokurator mnie nienawidzi, wyglądałam za bardzo, no, bezdomnie. Ale obrońca z urzędu spojrzał na mnie i się uśmiechnął. Uśmiech ten mówił: „Tak, z wyglądu przypominasz mi dziewczynę, której facet siedział w pierdłu. Pokaż mi tatuaże. Ja mam na plecach Barta Simpsona. Jesteś dla mnie superprzysięgła”.

Potem wstała woźna. Miała zadanie podobne do zadań Paula Shaffera, i

przedstawiła sędziego. Dottie wyrwała się z burzą oklasków. Sędzia dumnie wkroczył do sali, usiadł i zaczął nam zadawać pytania, zupełnie jak David Letterman (przypominało to trochę talk show, ale nie było wśród nas lesbijek, przynajmniej nic o nich nie wiedziałam). Czy mieliśmy kiedykolwiek kłopoty z prawem? Czy którykolwiek z nich potraktował nas niesprawiedliwie? Czy ktoś z mojej rodziny pracuje w policji, jest szeryfem, zastępcą albo ochroniarzem w sieci K-mart? Czy kiedykolwiek byłam przysięgłą? Czy mój mąż pracuje w biurze prokuratora okręgowego? Nudy, nudy, nudy.

Nagle, ni stąd, ni zowąd, sędzia wypalił:

– Ten przypadek dotyczy prowadzenia pojazdu pod wpływem alkoholu. Czy znacie kogoś, kto ma problemy z alkoholem?

Ja nie znam nikogo, kto nie ma takich problemów.

i Szef zespołu muzycznego towarzyszącego talk show Davida Lettermana (o bardzo denerwującym sposobie bycia) (przyp. tłum.).

88

– Czy znacie kogoś, kto uczestniczył w programie Anonimowych Alkoholików lub w programie zwalczania uzależnień?

Tak poznałam mojego przedostatniego chłopaka.

– Czy znacie kogoś, kto prowadził pojazd mechaniczny pod wpływem alkoholu?

No tak.

Siedzący w ostatnim rzędzie schludny student prawa w wieku późnego liceum, podniósł rękę.

– Kilka lat temu uczestniczyłem w takim incydencie, ale zarzuty zostały zmienione i pracowałem społecznie.

„Co za miły chłopak – pomyśleli przysięgli – pracował społecznie. Odpokutował za swój grzech, kosząc przykościelne trawniki. Nie mamy do niego zastrzeżeń”.

Po chwili podniósł rękę nieco starszy mężczyzna, koło trzydziestki, w wykrochmalonej niebieskiej koszuli z kołnierzykiem z przypinanymi rogami.

– Mniej więcej dziesięć lat temu miałem incydent z prowadzeniem pod wpływem alkoholu, ale wolałbym porozmawiać o tym prywatnie.

„Trochę podejrzany – pomyśleli przysięgli – ale widać, że się wstydzi swego uczynku, bo nie chce o tym mówić. I tak zrobił to nieumyślnie, a poza tym wygląda tak szlachetnie. Musi być dobrym człowiekiem”.

Dziewczyna w pierwszym rzędzie podnosi rękę. Ubrana na czarno, spodnie podarte, nieuczesa i śmierdzi papierosami. Wygląda jak bezdomna nędzarka.

– Hm, trzy tygodnie temu zostałam zatrzymana w związku z podejrzeniem prowadzenia pod wpływem alkoholu. Nie zaliczyłam doraźnego sprawdzianu

89

trzeźwości, ale mnie wypuścili. Aha, i wcale nie byłam pijana.

Wszystkie siedemdziesiąt osiem oczu przysięgłych zwraca się ku ubranej na czarno dziewczynie, pijanej, to właśnie przez nią społeczeństwo chwieje się w posadach, to ona jest przykładem moralnej degrengolady. Chcemy wiedzieć, gdzie spała zeszłej nocy. Nie była pijana, pewnie. Ciekawe, co musiała zrobić, żeby ją puścili. Wiemy. My wszystko wiemy, pijaczko. A ty sobie myślisz, że możesz tutaj przyjść, ot tak sobie, i zasiąść w ławie przysięgłych ramieniem w ramię z nami, zwykłymi ludźmi? Zastanów się, ladacznico z Babilonu. Wracaj do baru – tam twoje miejsce.

Dottie, patrząc na mnie, pokiwała głową. Wiedziała, że nie pomyliła się co do tej dziewczyny już w chwili, gdy na nią spojrzała. Żałowała, że nie może mnie skazać, cóż mogłaby lepszego zrobić dla współobywateli?

Nie zależało mi, a kiedy moje nazwisko nie wypłynęło podczas pierwszej tury rozdziału obowiązków, niebyłam zaskoczona. Lecz obrońca z urzędu spojrział na mnie ze smutkiem w oczach. Wiedział, że Pijaczka głosowałaby za uniewinnieniem jego klienta.

Kto wie?

Pamiętam, co powiedziała mi Linda Hurley – że nie powinnam tego brać do siebie. Dottie nie miała o niczym pojęcia, bo gdzieś tam, w jakimś stanie, w jakimś hrabstwie i w jakimś sądzie byłabym doskonałą przysięgłą.

Tak, byłabym doskonałą przysięgłą.

Jeśli ubierałabym się w kostium od Ann Taylor, myłabym włosy i łągała jak z nut przez brudne zęby.

AiOW-ft.

Związki są bez sensu.

Nawet bardzo.

Czasami w środku nocy, kiedy w mojej sypialni robi się ciemno jak w grobie, a pościel na drugiej połowie łóżka jest tak zimna jak pięciodniowe zwłoki, myślę, że:

Od zawsze chciałam być czyjaś żoną.

Chciałabym zostać kulą u nogi.

Muszę być czyjaś przytulanka.

Przez minutę zanurzam się w tych myślach, w łóżku, które jest dla mnie za duże, i czuję się trochę samotna, kiedy nagle budzi mnie świszczący, rżący kaszel z płuc i wtrąca w rzeczywistość mojego obecnego związku i zdaję sobie sprawę, że: Pusta strona łóżka nie pierdzi przez sen.

Pusta strona łóżka nie próbuje odbyć ze mną stosunku analnego, kiedy śpię.

Pusta strona łóżka nie każe mi patrzeć na kupę wielkości mojej nogi i nie pyta na głos:

– Hej, myślisz, że zejdziesz za jednym razem?

9\

Pusta strona łóżka nie rzuca mnie na podłogę, nie przyciska do niej i nie siada okrakiem na mnie, żeby torturować mnie płuciem, mocząc mi całą twarz śliną, potem wsysając ją do środka, potem znów mocząc i znów wsysając, a potem wypływając ślinę tuż koło moich ust.

Pusta strona łóżka nie jest, powtarzam, nie jest

MĘŻCZYZNĄ.

I za to jestem jej wdzięczna.

Pragnę mężczyzny tak miłego jak mój upośledzony pies, ale żeby nie srał po podłodze. Chcę mężczyzny takiego, który będzie mnie tylko trochę oszukiwał i telefonował do mnie raz w tygodniu. Chcę mężczyzny, który sam będzie płacił za swoje drinki i będzie mi podtrzymywał włosy, kiedy rzygam. Chcę mężczyzny, który zna swoją tożsamość seksualną. Chcę mężczyzny, który nigdy nie ćwiczył ani nie słyszał mowy.

Nigdy takiego nie znajdę. Nigdy się nie urodzi.

Ostatnim razem, kiedy ktoś mnie rzucał, odbyło się to przez telefon. „To” trwało przez pięć miesięcy, najdłuższy notowany związek w tej dekadzie. W sumie nie był to nawet związek. Ja w każdym razie nazywałam go „sprawą”. On nie nazywał go wcale. Wydawało mu się, że jutro chce wyjść za niego za męża, mieć siedemnaścioro dzieci, kupić isuzu troopera, a potem przyszpilić mu krocze do kanapy w pokoju gościnnym. A mnie wystarczył tylko jeden telefon na jakiś czas.

Tak czy owak, rozmowa zaczęła się gładko. Nagle on odchrząknął i powiedział:

– Nie jestem gotów i nie będę gotów zaangażować się w żaden związek z nikim przez przynajmniej trzy do pięciu lat.

9Z

– Dlaczego? – spytałam. – Idziesz do więzienia?

– Nie. Mówię tylko, że w żaden sposób nie jestem gotów zaangażować się w pełni.

– To znaczy co? Możesz czy nie możesz się zaangażować czy też nie zaangażować?

– zapytałam. Narastała we mnie podejrziliwość i dezorientacja. – Chyba nie chcesz mi teraz palnąć „mowy”?

– Myślę, że powinniśmy się bardziej skupić na tej części naszego... no wiesz... przyjaźń i te rzeczy, sama wiesz.

Podejrzenia potwierdziły się. Westchnęłam.

– A jednak mowa! To właśnie była mowa! – krzyknęłam.

No więc wysłuchałam mowy, która automatycznie sprowadza cię w życiu do parteru. Stajesz się tak małą cząstką istnienia, że możesz nawet spółkować sama ze sobą, co w sumie byłoby całkiem niezłym rozwiązaniem.

Chyba przyjęłam to dobrze. Niczego nie podpaliłam, nie uciekłam się do sztuczek wudu ani nie słuchałam smutnych piosenek. Nie, tym razem siedziałam przy barze i piłam, warcząc i szydząc ze wszystkich mężczyzn oprócz mojego kolegi Dave'a.

– Jak leci? – spytał.

– Dzisiaj wysłuchałam mowy – powiedziałam.

– Nie. Tylko nie to. Czy użył słowa na „p”? Przytaknęłam.

– O Boże – westchnął Dave. – Słowo na „p” dołuje. I to bardzo.

– Tak – przyznałam. – Przyjaźń. Powiedział, że po prostu jesteśmy przyjaciółmi.

93

Nie wiem, skąd mężczyźni uczą się mowy. Czy w ósmej klasie na zajęciach z WF-u nauczyciel każe im je powtarzać pod prysznicem, żeby potem im się nie myliło?

– No, chłopaki, powtórzcie!

– „Jesteś świetną dziewczyną i lubię się z tobą spotykać, ale nie jestem

gotów... hmmm, to słowo... zaangażować się w trwały związek... i myślę, że powinniśmy zostać... zostać..."

– Chłopcy, przecież to najważniejsza część! Słowo na „p”, pamiętajcie! Na „p”!

– No przecież! Mówisz dziewczynie, że chcecie zostać przyjaciółmi! Ale przecież nie o to chodzi, nie?

– Nie. Dziewczyna nie pozwoli się złapać, jeżeli wie, że nie jest nawet przyjaciółką.

A może mowa to jakiś komputerowy chip, który wszczepiają każdemu chłopcu, kiedy się urodzi?

– Synu, musisz wiedzieć, że jest też taki model z macicą. Przyda ci się. Czy to pakiet hormonalny z bezpłatnym dodatkiem – kobiety dostają zespół napięcia przedmiesiączkowego, a mężczyźni – mowę z testosteronem? Nie rozumiem. Ale wiem jedno. Jestem zła na Pana Boga, że zrobił mnie hetero. Przysięgam sobie nawet, że następnym razem, kiedy usłyszę mowę, zaradzę temu. Mam już dość Przyjaciół, więc teraz postaram się być lesbijką. Jedyne problemy polegają na tym, że wszystkich mężczyzn fascynują lesbijki. Lesbijki są dla nich przysmakiem, a kiedy tylko dowiedzą się, że nią jesteś, chcą cię mieć z powrotem.

Może jest mi przeznaczone zostać samotną osobą, jeść pojedyncze porcje, takie jak Jedno Danie dla singla, kompletować porcelanowe figurki i łudzić się, że pies do mnie

94

mówi. O Boże. Jeśli będę miała szczęście, skończę w przyczepie na parkingu jako zgorzkniała, niezamężna alko-holiczka z sercem przepełnionym nienawiścią. O wiele bardziej wolę być sama i sama się unieszczęśliwić, niż dać tę satysfakcję komuś innemu. Umrę z wdziękiem, w płomieniach, gdy papieros zanurzy się w kosmatym dywanie, a ja stracę przytomność po ostatniej randce z Jackiem Danielsem, który spocznie obok wygodnie, wykończony, na poduszce po pustej stronie łóżka.

????!?\? s@Ks

Babcia zaczynała się irytować.

Nie mogłam jej za to winić. Znalazła się w szpitalu z zapaleniem woreczka żółciowego, podczas gdy jej leki przeciwbólowe toczyły się gdzieś po korytarzu na wózku pielęgniarki. Aby pogorszyć sprawę, za kilka minut miałyśmy oglądać przeprosiny prezydenta Clintona za to, że pieścił Monikę Lewinsky. Bezpośrednią relację nadawały wszystkie stacje telewizyjne.

– Zupełnie nie rozumiem, o co tyle zamieszania – powiedziała babcia, kręcąc głową z dezaprobatą. – Nic podobnego się nie działo, kiedy umarł Frank Sinatra, a przecież był o wiele ważniejszy dla tego kraju. Był prawdziwym Amerykaninem. Obok łóżka na krześle siedziała siostra babci, ciotka Ida, dokładna jej kopia: metr sześćdziesiąt wzrostu, falujące jasnobrązowe włosy, takiego samego koloru buty Easy Spirit, i wcale nie była zadowolona z ograniczenia wyboru programów w telewizji.

Osobiście bardziej mi zależało na tym, żeby babcia zachowała na nadgarstku opaskę z identyfikatorem, bo co

96

będzie, jak za trzy lata okaże się, że przywieźliśmy ze szpitala nie tę babcię i będziemy musieli opiekować się nią na zmianę z inną rodziną? Dzień wcześniej – na wszelki wypadek – wyciągnęłam jej z włosów spinkę i wydrapałam na polakierowanych paznokciach prawej ręki litery N-A-N-A, po tym, jak dostała zastrzyk przeciwbólowy i straciła przytomność.

– To wszystko to istne wariactwo – przyznała ciotka Ida. – Kto chce oglądać gołego prezydenta? A teraz wszystkie te obrazki stoją mi przed oczyma. I po co mi to?

Gdyby Monika Lewinsky zobaczyła wcześniej zdjęcia rozebranego Billa Clintona, zapewniam was, że nic podobnego w ogóle by się nie wydarzyło. Widziałam jego zdjęcia tylko bez koszuli i wystarczyło, żeby zrobiło mi się niedobrze. Sutki wielkości srebrnych dolarówek na zwisających cyckach starego dziada, a do tego fioletowe. Jak bakłażan.

– Co za dziewczyna trzyma sukienkę tak długo z tym tam...? – spytała babcia, pokazując na ekran telewizora. – Co za świnia! Nie słyszała o pralni? Byłam zbulwersowana. Moja babcia, osiemdziesięcio-dwuletnie wcielenie wszystkiego, co dobre i czyste, osoba która nigdy w życiu nie powiedziała o nikim nic złego, robiła się zgryźliwa. A co najbardziej przerażające, wiedziała o „tym tam”.

– Zdzira – skomentowała ciotka Ida, machając pogardliwie dłonią. – To jedna z tych dziewczyn... Laurie, jak się nazywają takie dziewczęta, które jeżdżą za rockand-rollowcami?

– Fanki – poddałam.

sfr

– Fanki! – dokończyła ciotka Ida. – One zrobią wszystko.

– Pewnie. Fanka. Jak Ava Gardner za Frankiem Sinatrą – dodała babcia, kręcąc głową i załamując ręce. – Ma przez nią kłopoty. Całą masę kłopotów!

– Babciu, nie baw się identyfikatorem – zwróciłam jej delikatnie uwagę.

– Co to znaczy „niewłaściwy związek”? – zapytała babcia, gdy prezydent przemówił na wizji.

– To znaczy, że się powygłupiali – wyjaśniła ciotka Ida. – Ale trochę... inaczej.

– To znaczy jak? – dopytywała się babcia.

„No masz. Teraz, Moniko Lewinsky, ty głupia dziwko, widzisz, co narobiłaś – pomyślałam. – Przez ciebie muszę wyjaśniać swojej babci, która jest w szpitalu z powiększonym woreczkiem żółciowym, co to jest seks oralny. Widzisz, do czego doprowadziło twoje grzeszne zachowanie?”

Z wielkimi oporami nachyliłam się i wyszeptalam dokładnie babci do ucha, w jaki sposób Monika poznała Clintona w sensie biblijnym. Kiedy skończyłam, spojrzała na mnie zdumiona.

– Nic a nic nie zrozumiałam z tego, co mi powiedziałaś – odszepnęła. – Wiesz, że na to ucho nie słyszę.

Zmuszona do dwukrotnego załatwienia diabelskiego zlecenia, powtórzyłam jej wszystko do zdrowego ucha. Skrzywiła się.

– To obrzydliwe – odparła, zastanawiając się. – Zupełnie nie rozumiem, dlaczego nazywają to moralnym seksem. To znaczy, że duchowni muszą się najpierw na to zgodzić?

,98

– Nie – odparłam powoli. – Tylko matka Moniki.

– Ten prezydent – powiedziała ciotka – nosi genitalia na wierzchu, jakby to były spinki od krawata.

– To nie jest dobra dziewczyna – przypomniała jej babcia. – To zdzira. Nawet prezydent Kennedy nie podrywał dziewcząt z ulicy. A co to jest – to wszystko, co mam wypisane na dłoni?

– To twój adres i numer telefonu – powiedziałam szybko. – Zmyjemy, kiedy wrócimy do domu.

– A ja mam odbitkę – dodała ciotka Ida.

– Ojej! – krzyknęłam zażenowana. – Chyba dałaś się złapać.

Do pokoju wkroczyła pielęgniarka uzbrojona w strzykawkę z demerolem i zaciągnęła zasłonę wokół łóżka babci.

– To musi panią uciskać – usłyszałam słowa pielęgniarki. – Może ją zdejmę?

– Nie, nie – powiedziałam w stronę zasłony. – Proszę zostawić babci opaskę. Przynajmniej jej z nikim nie pomyślę.

– Jest pani pielęgniarką. Czy wie pani, co to jest moralny seks? Moja wnuczka mówi, że jest paskudny – słyszałam pytanie babci po drugiej stronie zasłony.

– Dlaczego ma pani przyklejony do pleców pasek papieru, na którym jest napisane:

„Zostałam podmieniona i tęsknię za moją prawdziwą rodziną! Proszę wezwać policję!?” – zapytała pielęgniarka.

– Właśnie. Czuję, że coś mnie swędzi – odparła babcia.

Po zastrzyku i odsłonięciu zasłony pielęgniarka posłała mi dziwne spojrzenie i wyszła z sali. Właśnie wtedy

99

zauważyłam parę białych spodni babci złożonych w nogach łóżka.

– Czy te spodnie zdjęła ci pielęgniarka? – zapytałam, a babcia przytaknęła.

– Babciu – zaczęłam znowu – miałaś je na sobie przez cały czas?

– No – odparła.

– Ale jesteś tutaj już trzeci dzień. Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Chciałam być ubrana – odpowiedziała. – Bałam się, że jak będę szła do łazienki, to ktoś zobaczy moje nogi.

– Monika Lewinsky mogłaby się paru rzeczy od ciebie nauczyć, babciu – powiedziałam.

– Chyba nie. Byłam zamężna trzy lata, zanim urodziłam twoją mamę. Mam papier od

księdza. To przecież bardzo moralne, nieprawda?
Domyśliłam się, że demerol zaczyna działać. Skinęłam głową i uśmiechnęłam się.
Gdy odpłynęła w serii wyciągnęłam jej z włosów jeszcze jedną spinkę i wydrapałam
i l-o-v-e na paznokciach pięciu palców jej lewej dłoni.
(odu do ??????? ?^^?~-^)

Wczoraj wieczorem zostałam wystawiona do wiatru.
Znowu.

Wyczekałam się w barze prawie całą noc. Za każdym razem, kiedy ktoś wchodził,
czyli mniej więcej co piętnaście sekund, patrzyłam na drzwi. Kilka razy wydawało
mi się, że go widzę – grzywa włosów i uśmiezek, ale na powtórce to wcale nie
był on, tylko ktoś kilka cali niższy, z krzywymi zębami. A on ma proste.
Doskonale proste i białe, typowy uśmiech z reklamy pasty pepsodent, który bardzo
chętnie trafiłabym kopniakiem obutej stopy.

„Skurwiel” – pomyślałam. Zjadłam całą rolkę pasków do odświeżania oddechu, na
wypadek gdyby przyszedł, a ja bym go nie zauważyła. Mogłabym od razu zacząć
błyskotliwą rozmowę, zamiast najpierw zasłaniać twarz dłonią i wachać. Miałam
chłodny, miętowy oddech, nadający się do długiego pooocałunku.

Moim skromnym zdaniem, wyglądałam nieźle. Miałam tylko dwa pryszczki, kredka do
oczu wyszła świetnie, żadnych śladów po „workach”. Użyłam nawet konturów-ki,
żeby szminka rozsmarowana na wargach nie rozeszła

?

się w zaciekach po małych zmarszczkach powyżej. Uper-fumowałam się.

Przez parę godzin siedziałam na stołku barowym z wciągniętym brzuchem,
rozpaczliwie próbując wyglądać ponętnie. Za kwadrans pierwsza nie dałam jeszcze
za wygraną i wyobrażałam sobie, że wpada do baru, ledwo dysząc. Zepsuł mu się
samochód. Biegł. Nie szedł ani nie truchtał, tylko biegł, całe pięć mil, bez
przerwy, żeby zdążyć. Rozgląda się gorączkowo, przygląda twarzom w barze, gdzie
ona jest, nie spóźniłem się? Wreszcie mnie zauważa, uśmiech z kości słoniowej
rodem z pepsodentu rozciąga mu się na twarzy i jest tak przystojny, jak
myślałam.

Moja cierpliwość została nagrodzona. Trzyma mnie za rękę, a ja nie jestem
szalona. Wszystko jest w porządku.

Zamiast tego, światła zaczęły błyskać. Niedługo zamkną bar. Dopiłam resztkę
drinka, wsysając ostatnie krople whisky przez słomkę, aż zadzwieczyły kostki
lodu. Wyszłam, zbyt trzeźwa, i skierowałam się w stronę domu.

Budzę się następnego ranka.

Zaraz sobie myślę:

Wystawił mnie do wiatru, a niech to. Wiedziałam, wiedziałam, wiedziałam. Kurczę.
Kurwa. Jak mogłam być tak głupia! Wiedziałam, że nie przyjdzie, to po co
czekałam? Jakaż ja jestem głupia, jak bezdennie głupia! Co za osioł ze mnie. To
ja, to ja jestem osłem. Podnoszę dłoń. To ja. Czekałam przez całą noc,
powiedział, że przyjdzie, ale nie przyszedł, tak samo jak powiedział, że do mnie
zadzwoń, ale nie zadzwonił. No nie. Nie, nie będę, nie będę, nie będę siedziała
na tyłku przez cały dzień i czekała, aż zadzwoni ten cholerny telefon, nie ma
mowy. Stanowczo nie będę czekała i patrzyła na milczący te-

\0Z

lefon, nie, nie, nie, raz już mnie wystawił, więcej się nie dam, będę silna.
Cholera, niech ten telefon wreszcie zadzwoni i to teraz, zaraz.

Biorę oddech. Patrzę na telefon. Telefon patrzy na mnie. I mruga.

Zapalę. Zapalę papierosa, a zanim skończę, telefon zadzwoni. Na tyle zasłużyłam.
Zasłużyłam na wyjaśnienie, a kiedy je usłyszę, bez względu na to, jakie bzdury
zacznie wygadywać, nie będę wściekła. Będę udawać, że nie jestem. Tymczasem
policzę, ile razy zaciągnę się jednym papierosem. Nigdy wcześniej tego nie
liczyłam, a jestem ciekawa.

Pierwszy sztach.

Tylko jeden dzwonek, jeden mały dzwoneczek, chyba nie proszę o zbyt wiele.
Dzwon!

Siłą umysłu sprawię, że zadzwoni, każę mu zadzwonić. Jak dobrze się skupię, to
zadzwoni.

Drugi sztach.

Koncentruję się, koncentruję, uda mi się sprawić, żeby zadzwonił. No już,
odezwij się telefonie! No już, telefo-niku, dzwoni!

Telefon spogląda na mnie i kręci głową. Nie ma szans.

Ty draniu. Trzeci sztach.

Obiecuję, że nie będę wściekła, kiedy zadzwoni. Będę miła. Przyjemna. Czarująca. „Nie, nie, wszystko w porządku – tak właśnie powiem – nie przejmuj się tym, co było wczoraj. Wszystko rozumiem, naprawdę”.

Cztery sztachy. Kogo ja oszukuję? Wystawił mnie do wiatru! Za kogo on się uważa? Za Gregga Allmana? Bo jakby wystawił mnie Gregg, nie mogłabym się gniewać, \??

no nie, to przecież Gregg Allman! Do diabła. Nie pozwolę mu wprawić się w taki nastrój. Jestem kobietą. Kobiety są silne, znacznie silniejsze od mężczyzn. I wiecie co? Wcale nie chcę, żeby zadzwonił. Nawet jak zadzwoni, nie podniosę słuchawki. Będę siedziała i śmiała się, właśnie tak zrobię. Cha, cha, cha. Niech sobie dzwoni i milion razy – nie odbiorę. Dupek. Następnym razem, jak go zobaczę,

walnę go pięścią. W sam brzuch. Podejdę do niego i powiem: „Nienawidzę cię!” Nie, wtedy się zorientuje, że czekałam. W ogóle się nie odezwę. Nie dam mu poznać, że czekałam. Nie dam mu tej satysfakcji. Nie! Powiem mu, że mi przykro, że nie przyszedł! Tak, zadzwonię do niego zaraz i tak mu właśnie powiem.

Ósmy sztach.

Gdzie numer telefonu? Powinna zadzwonić do Jamie, będzie wiedziała, co zrobić. Powie mi, czy zatelefonować, czy nie. Powie, nie dzwoń. Nie dzwoń. O, jest, znalazłam ten numer, mam nadzieję, że obudzę drania. Wystukuję numer, kończę, jest połączenie. O Boże, dzwoni. Co ja robię? Dzwoni. Kurna. A jak odbierze dziewczyna? Odłóż słuchawkę, i to zaraz!

Walę słuchawką o widełki i odsuwam telefon, diabelskie nasienie. Łapczywie przekopuję się przez nocną szafkę i znajduję gruby czarny pisak, zdejmuję nasadkę i zwycięsko wykreśliłam jego imię i telefon z notesu i z życia.

ha; Wydawało ci się, że mnie wystawiłeś, ale nie. Nie zatelefonuję do ciebie, nie będę klaunem w twoim cyrku, nie ma mowy – stary – znajdź sobie inną idiotkę. Nie będę grała w twoje gierki, na mnie nie licz.

^04

Papieros się skończył. Straciłam rachubę. Energicznie gaszę niedopałek w popielnicze.

Właśnie. Jestem kobietą i pochodzę z długiego rodu kobiet. Moja matka była kobietą i tak samo moja babka, tak, ona też była kobietą! Lubię samotność, mogę robić, cokolwiek zechcę, nie potrzebuję go. Zresztą, kim on jest? Kimś, kto mnie unieszczęśliwi, będę przez niego płakać, to pies i tyle. Wszyscy mężczyźni to psy. Kocham siebie. Uwielbiam robić to, co chcę, i kiedy chcę. Nie potrzebuję nikogo innego, żebym poczuła się spełniona lub zadowolona! Szkoda, że nie mogę zadzwonić do siebie! Szkoda, że nie mogę umówić się ze sobą na randkę, jestem wspaniałą osobą, a to jego wina, że tego nie zauważył!

Zaraz, zaraz, nie pamiętam, czy w słuchawce był sygnał, kiedy ją podniosłam. Chyba jednak nie. Wiem, że spóźniłam się z zapłaceniem rachunku, jestem tego pewna, ale nie pamiętam sygnału. Może odłączyli mi telefon? Pewnie przez całe rano próbuje się dodzwonić i nie może się połączyć. No nie. Czuję się strasznie. Założę się, że odcięli mi telefon, dlatego nie... Głupia. Nie słyszałam sygnału, ale słyszałam ton połączenia, jak dzwonił w jego mieszkaniu. Idiotka. Mam za swoje. Miałam zamiar mu przebaczyć, ale nie teraz. Do diabła, nie ma mowy. Niech idzie do diabła. Prosto. Niech sobie z nim zatańczy, nic mnie to nie obchodzi. A jak coś się stało, wypadek, zatrucie albo rak jąder? A jak nie żyje? Jest w książce telefonicznej, białe strony, zaraz znajdę, F, F, F, G, Gr, Grs, Gri, tak,

okej, jest. Znów wykręcłam numer. Mam nadzieję, że nie umarł, niech nie będzie martwy. Jest połączenie, jest połączenie...

– Halo?

ao?

Odebrał, odłóż słuchawkę! Trzask!

Ty skurwielu. Ty draniu! Żyjesz! Niech cię szlag trafi! Nie, to nie do wiary! Chyba zwariowałam, chyba zupełnie postradałam zmysły. Jak mogłeś? Żyjesz i nie zadzwoniłeś? Jak śmiesz żyć i nie odezwać się ani słowem! żaden z ciebie Gregg ??????!

Zapalam kolejnego papierosa. Jeden sztach. Drugi. Trzeci.

Wytargam tę stronę z książki telefonicznej, właśnie tak, a potem ją spalę. Będę patrzeć, jak się pali. Ha, proszę, kurczy się w płomieniach, zjada ją ogień, teraz nie mogę nawet do niego zadzwonić, cztery sztachy, pięć, sześć. Nigdy więcej, przenigdy nie dam się na to nabrać. Mam nauczkę. Jeżeli tylko czegoś się

nauczyłam, było warto. Nauczka jest taka – nigdy mu nie ufaj. I nie ufaj mężczyznom. Nie ufaj nikomu. Jestem jedyną osobą, na której mogę polegać. Od dzisiaj, od teraz znienawidziłam wszystkich, wszystkich z wyjątkiem siebie. Jestem niezależna. Jestem samotną wilczycą.

Dzwoni telefon. Najpierw cichutko, niemal jak szept. Drugi dzwonek jest głośniejszy, przypomina krzyk. Trzeci to już wrzask, czwarty – ryczy, a ja, zamiast jak dobra kobieta wydrzeć wtyczkę ze ściany, podnoszę słuchawkę. Zgadnijcie, kto to.

- Czy to ty dzwoniłaś przed chwilą? – pyta.
- Nie – odpowiadam. – Spałam.
- Przepraszam cię za wczoraj – mówi.
- W porządku – kłamię. – Rozumiem. Naprawdę.
- Cieszę się, że nie jesteś zła – przyмила się.

\??

– Chcesz pójść dziś wieczór na mecz? – mówię cicho. – Mam dobre miejsca. Wszystkie bilety wyprzedane.

– Tak! Chcę – mówi.

Jest teraz podekscytowany. Naprawdę podekscytowany.

– Fajnie, spotkajmy się na miejscu koło ósmej – mówię dalej. – Poczekam na ciebie.

– No to do zobaczenia. O ósmej.

I przyszedł punktualnie, a nawet trochę wcześniej. Co piętnaście minut, czyli za każdym razem, kiedy przechodziła dziewczyna z brązowymi włosami, podnosił głowę. Wiem, bo widziałam, jak stoi przed głównym wejściem. Patrzyłam na niego i śmiałam się. Śmiałam się, siedząc w samochodzie Jamie zaparkowanym po drugiej stronie ulicy, w głębokim cieniu, gdzie nie miał szans mnie zobaczyć.

Tak, tak. To się nazywa karma, dzieciно.

Z majowym porankiem, po uroczystości wręczenia dyplomów w college'u, wiązałam wielkie nadzieje. Poprzedniego wieczoru wywaliłam z łóżka całe jedzenie, posprzątałam okruchy, porządnie sobie posłałam, a na nocnej szafce położyłam paczkę papierosów, zapalniczkę i butelkę pepsi. Na oknie sypialni rozpięłam dwa czarne prześcieradła, żeby słońce nie wdarło się do środka, zanim o trzeciej nie będę gotowa wstać.

Zapomniałam o jednym.

Wydało mi się, że gdy tylko wróciłam do domu, wtuliłam głowę w poduszkę, a oczy zamknęły się, coś zaczęło mi wyć wprost do ucha. Tym demonem z piekła okazał się telefon.

„Niemożliwe – pomyślałam natychmiast, gdy tylko mózg zaskoczył – nikt nie funkcjonuje tak dobrze o tej porze nocy, nie, nikt normalny nie pamięta nawet numeru telefonu, a co dopiero mówić o wykręceniu go”. Nikt nie śmie pogwałcić świętości Zasady Godziny Drugiej, która kiedyś nazywała się Zasadą Godziny Dwunastej, dopóki 75 procent moich znajomych nie po-

?8

stanowiło zostać bezrobotnymi. Zasada Godziny Drugiej, mniej więcej w pełnym brzmieniu, głosi: „Jest wbrew Świętej Zasadzie Nocy świadomie i rozmyślnie zakłócać niepożądanym telefonem lub nieproszonymi odwiedzinami zdrowy sen wszystkich, którzy nienawidzą i unikają światła słonecznego, zwłaszcza gdy osoby te znajdują się w stanie upojenia alkoholowego. Postępek taki stanowi bezpośrednie zagrożenie dla życia osób znajdujących się w stanie śpiączki ze względu na wysoką szkodliwość głośniejszych dźwięków, podobnie jak wszelkiego wysiłku związanego z mówieniem”. Jedynym wyjątkiem od tej reguły, jaki udało nam się wymyślić, były kłopoty kolegi lub koleżanki ze zorganizowaniem pieniędzy na zwolnienie za kaucją.

Nie zadaję się z nikim, kto ośmieliłby się wykonać gest tak odrażający w samym zamyśle, nie znam też nikogo, kto chciałby porozumieć się ze mną, kiedy mam kaca i zostałam nagle wytracona ze snu, bo wtedy jestem bardziej nieprzyjemna niż po pijaku. Nie mam takiego wroga, eks-chłopaka ani wierzyciela, który chciałby tego doświadczyć, zwłaszcza zanim wypalę pierwsze trzy papierosy i nie skorzystam z łazienki. Żadna zdrowa na umyśle osoba nie porwie się na to – z wyjątkiem mojej matki.

Jeszcze zanim zdążyłam wrzasnąć do słuchawki: co????!?, usłyszałam jej słowa:

– Na miłość boską, nawet mi nie mów, że jeszcze śpisz! Ja jestem na nogach od ośmiu godzin! Nie wypuściłaś psów? Nic dziwnego, że brudzą po całej podłodze,

skoro trzymasz je zamknięte tak długo.

– Mamo, dobijasz mnie.

\09

– Znalazłaś już jakąś pracę?

– Mamo, jestem prawie umierająca – powiedziałam, zastanawiając się, czy matka zaatakowała już moją siostrę, która poprzedniego dnia także skończyła college. Potem nagle przypomniałam sobie, że w odróżnieniu ode mnie moja siostra ma takie cechy charakteru jak odpowiedzialność, ambicję i instynkt przetrwania, podczas gdy mój instynkt składał się wyłącznie z odpalania papierosów jeden od drugiego, kiedy miałam tylko jedną zapalną.

– Złożyłaś już gdzieś papiery? Z czego się utrzymasz? Twoja siostra jest już umówiona na trzy rozmowy.

– Mam nadzieję, że uda mi się opchnąć resztę cracku dzieciom z podstawówki, a jak nie będę miała dość kasy, to dam się przelecieć paru klientom – wymamrotałam.

– Nie żartuj sobie ze mnie. Ojciec i ja nie będziemy cię wiecznie utrzymywać. Okej, lata college'u przetrwałam na zasiłku. Zapomogę w kwocie siedemdziesięciu dolarów odbierałam od rodziców co czwartek, wtedy też podkradałam im jedzenie, bo siedemdziesiąt dolców nie wystarcza na długo. Co czwartek matka wręczała mi trzy dwudziestki i dziesiątkę, zwinięte ciasno razem, i gdy tylko banknoty dotknęły opuszków moich palców, oświadczała:

– Tylko żebyś nie przepuściła wszystkiego na drinki dla kolegów.

Matka była przekonana, że żyję na takim poziomie jak ktoś, kto urodził kolejne dziecko Micka Jaggera.

– Co robisz z tymi wszystkimi pieniędzmi? – zapytała, kiedy złapała mnie, jak wpycham do torebki herbatniki ojca.

no

Odczytałam jej listę.

– Dwadzieścia dolarów na benzynę, siedemnaście na karton papierosów i dwadzieścia na jedzenie dla psów i kota – odpowiedziałam. – Zostaje mi wszystkiego trzynaście dolarów na życie.

– Widzisz, jakbyś nie wydawała tych wszystkich pieniędzy na benzynę, żeby szlajać się po barach, i na papierosy, miałybyś dość pieniędzy na jedzenie – podsumowała.

– Wtedy znaleźlibyście mnie z siedemdziesięcioma dolarami w rączce, kołysząca się tam i z powrotem na wiatraku pod sufitem z pętlą zaciśniętą na szyi – powiedziałam zupełnie szczerze.

Lato przeżyłam na zasiłku, próbując znaleźć jakąś pracę po godzinie trzeciej, a wieczorami rozglądałam się za tańszymi drinkami, żeby trzynaście dolarów starczyło mi do następnego czwartku. Uroki młodości!

Pracę znalazłam dopiero pod koniec lata. Kiedy powiedziałam mamie, że umówiłam się na rozmowę, wiedziałam, że z oczu popłynął potok łez wzruszenia, który zgasił jej papierosa.

– Dzięki Bogu – zatkała. – Dzięki Bogu. Praca jest na pełny etat, prawda? Na pełny?

– Tak, mamo.

– Jesteśmy z ciebie dumni. Twoja siostra jest też umówiona na rozmowę.

Właściwie na pięć.

Poszłam na rozmowę z życiorysem w dłoni, włożyłam nawet sukienkę i rajstopy z nietkniętym krocem. Siedziałam na sofie w recepcji i z zachwytem dostrzegłam na biurku popielniczkę pełną niedopałków. „Wspania-

\\

łe, święte miejsce – pomyślałam. – Ludzie tutaj palą. Moja krew”.

Mój nowy potencjalny szef otworzył drzwi i jego twarz wydawała mi się znajoma. Zaczęliśmy rozmowę i po chwili zorientowałam się, że dziwnie mi się przygląda – jakby też mnie pamiętał. Wtedy do mnie dotarło, chociaż nie wszystko od razu. Czwartego lipca tego roku. Jestem zalana. Idę do koleżanki, Katie, na grilla, energicznie otwieram drzwi, krzyczę: „Chcę coś podpalić!”, i rzucam siedmiokilową torbę tuż koło długowłosego mężczyzny, który ze skrzyżowanymi nogami siedzi na podłodze. Torba ładuje z łoskotem, a on zaczyna w niej grzebać i wykrzykuje: „Patrzcie tu, kurna! Została ci jeszcze ćwiartka Jacka Danielsa!”, i zaczyna wyrzucać z torby to, co uznaje za niepotrzebne: puste paczki po papierosach, kawałki papieru i sta-niolki po gumie do żucia. Od razu toczę pianę,

bo boję się, że chce pociągnąć z mojej butelki, więc wrzeszczę: „A kto ty, do diabła, jesteś, komisie?“, i z całej siły wymierzam mu kopa w nogę.

A konus siedzi teraz przede mną.

Patrzy na mnie lekko zdziwiony.

– Znasz Katie? – pyta.

– nie znam żadnej katie! – wykrzykuję.

– Czy przypadkiem nie wybierałem ci rzeczy z torebki, a ty...

Do diabła. To jest właśnie taki dzień w życiu, kiedy przeszłość powraca, żeby cię prześladować, pamiętasz? Matka mówiła ci, że tak będzie. Zawsze ci się wydawało, że to będą kompromitujące fotki, ale nigdy nie chciałaś zostać miss Ameryki. Nigdy nie wyjdę z zasiłku i czwart-

1?2
ków po siedemdziesiąt dolarów. Nigdy, nigdy, przenigdy. Nigdy nie dostaniesz roboty, w której możesz palić przy biurku, ty ofiarno. Po prostu przyznaj się.

– TAK, TO JA CIĘ KOPNEŁAM I NAZWAŁAM KONUSEM. ALE BYŁAM PIJANA I BYŁY WAKACJE. I dostałam pracę.

Jestem recepcjonistką.

Pracuję codziennie.

Parzę kawę dla konusa.

Zarabiam więcej, chociaż niewiele więcej niż siedemdziesiąt dolarów na tydzień.

Moja siostra też się zatrudniła i przyszła mi o tym powiedzieć. Zarabia siedemdziesiąt dolarów dziennie.

– Dostałam pracę! – krzyknęła.

– Ja też!

– Mam swój gabinet! – powiedziała.

– A ja mam fotel obrotowy!

– Mam własny numer wewnętrzny! – darła się dalej.

– A ja umiem zmieniać toner w kopiarce! – odbiłam piłeczkę.

– Mam swoje wizytówki! – wrzasnęła.

Uśmiechnęłam się tylko. Niech sobie ma te wizytówki, może mieć nawet automatyczną sekretarkę, ale nie ma szans na prawdziwy przywilej z górnej półki, jaki trafił się mnie.

– A pies z tobą tańczył! – odkrzyknęłam, ogłaszając zwycięstwo. – Ja mogę palić za biurkiem!

I właśnie to nazywam dobozem naturalnym.

Pudło pod wiatą na samochód babci było wyższe niż ona i dwukrotnie szersze.

– Chciałabym to tylko wnieść do środka – powiedziała, załamując ręce, podczas gdy moja siostra, jej mąż i ja gapiliśmy się na pudło. – Nigdy nic nie wiadomo, w okolicy pełno dzieciaków, które tylko patrzą, żeby coś skubnąć. A co ja wtedy zrobię?

– Nie wiem – powiedziałam. – Nie mam pojęcia, co jest w środku, ale sądząc po spółgłoskach Q, V, C, które widać na pudle, niedwuznacznie sugerujących te-
lezakupy, mam przeczucie, że moja matka ma z tym jakiś związek.

– No – przyznała babcia. – Powiedziała, że doktor uważa, że będzie mi to potrzebne, ale nic podobnego sobie nie przypominam.

Kilka tygodni wcześniej moja mama i babcia znalazły się na pogotowiu po pępkówce,
na której babcia złamała sobie rękę.

– Nie mam pojęcia, co się stało – wspominała później matka, kiedy wróciły ze szpitala. – Szłyśmy właśnie

\\4

na poczęstunek z małymi kanapeczkami, a kiedy się zorientowałam, babcia poszła na dno jak „Lusitania“. Nawet nie pisnęła.

– Nie chciałam sprawiać kłopotu – wyjaśniła babcia. – Myślałam, że jak będę cicho, to nikt nie zauważy.

– Ależ skąd – zgodziła się mama. – Kto zauważy osiemdziesięciodwuletnią kobietę ze złamaną ręką leżącą na podłodze w pokoju gościnnym pomiędzy enchi-ladą i dipem ze szpinakiem? Pewnie, mam, wyglądałaś zupełnie jak dywan.

Lekarze zrobili babci całą masę badań, żeby dowiedzieć się przede wszystkim, dlaczego upadła, chociaż żaden z profesjonalistów nie wydawał się podejrzewać, że mogły się do tego przyczynić buty na trzycalowych obcasach.

Potem jeden z lekarzy zrobił babci prześwietlenie kości i zapytał, czy się gimnastykuje. Nie mam pojęcia, co chciał od niej usłyszeć, może coś w rodzaju

„ależ tak, jestem kickbokserką w wadze lekkiej" albo „na ławeczce wyciskam więcej niż twój iloraz inteligencji", ale po zastanowieniu spojrziała na lekarza i powiedziała:

– No cóż, w centrum handlowym dużo chodzę. Od sklepu z butami Easy Spirit do Searsa jest dość daleko.

– To się nie liczy – miał odpowiedzieć i zalecić regularne ćwiczenia. – Musi pani być bardziej aktywna.

Pewnie, pranie, ścielenie łóżek, pielienie grządek w czterdziestopięciostopniowym upale, sześciokrotne odkurzanie całego domu i rozbijanie filetów z kurczaka na kotlety grubości kartki papieru nie zalicza się do „regularnych ćwiczeń fizycznych". U babci w domu jest czystiej niż w jakiegokolwiek aptece, a wytrzymałością

\\^

dorównuje sprawnym lekkoatletkom. Na jej kuchennym blacie można przeprowadzić operację potrójnego bypassu, używając do tego jej noża do pizzy i szczypców do sałatek bez najmniejszego ryzyka zakażenia. Dla mnie to więcej niż aktywny tryb życia, to „sporty ekstremalnie czyste".

Nie przesadzajcie. Przecież ma osiemdziesiąt dwa lata. Jeżeli ja dożyję tego wieku, planuję siedzieć sobie w fotelu, pluć na ludzi i przeżuwać kawałki czekolady, dopóki nie zmiękną na tyle, żeby je połknąć w całości. Męczyć się z odkurzaczem?

Tak czy inaczej, matka usłyszała, że zdaniem lekarza babcia musi odzyskać kondycję, a skoro nie umie prowadzić samochodu, siłownia powinna przyjechać do niej. I przyjechała.

W kształcie ogromnej brązowej paki.

– Nadal nic z tego nie rozumiem – powiedziałam, nie spuszczać oka z paczki. – Co to jest?

– To jedno z tych urządzeń – próbowała wyjaśnić babcia. – Nie wiem, ale staje się na tym, wkłada nogi w pętle i idzie przed siebie, nie dotykając ziemi, jak kosmonauci.

– Nie podoba mi się to – stwierdziłam, a moja siostra zgodziła się ze mną.

– Mam wrażenie, że to taka sama maszyna, jaką mi kupiłeś po tym, jak wszystkie flaki wyszły mi na zewnątrz, kiedy urodziłam ci syna – powiedziała, patrząc na męża, który tylko wzruszył ramionami. – Była prawie taka, jak pierścionek z brylantem, którego się spodziewałam. Raz weszłam na nią, raz spadłam, potem wieszłam na niej swetry, a wreszcie sprzedałam na na-

W5

szym kiermaszu za siedem dolarów. Ale świetnie nadawała się do suszenia staników.

Szwagier wtargał pudło do środka, rozciął i zaczął składać sprzęt. Do szkieletu maszyny do chodzenia „E-Z Gli-der" dołączona była kasetka z instrukcją, którą babcia od razu włożyła do magnetowidu.

Na nagraniu przysadzisty maniak z malutkimi rączkami tyranozaura zmierzał przed siebie w maszynie, pieprząc, jaka jest prosta w obsłudze.

– Po prostu wskakuj i idź! – wołał, machając nogami w przód i w tył. Maleńkimi wiewiórczymi rączkami pociągał za dźwignie w przeciwnych kierunkach. – Poznajmy się! Opowiedzcie mi coś o sobie! Dlaczego chcecie zmienić swoje życie „E-Z Gliderem"?

„O mój Boże – pomyślałam, a po plecach przebiegły mi ciarki. – Dlaczego nie mogę się oprzeć wrażeniu, że nazwa tej maszyny wpisana będzie w rubrykę: «przyczyna śmierci», na raporcie koronera z nazwiskiem mojej babci?" Oczywiście wyobraźni widziałam, jak rozpaczliwie walczy o życie, wywijając dziko nogami, cieniutkim głosikiem wołając do faceta na wideo: „mam

NA IMIĘ CONNIE! W CENTRUM HANDLOWYM SPACERUJĘ OD SKLEPU DO SKLEPU, ALE LEKARZ POWIEDZIAŁ, ŻE TO NIE WYSTARCZY! NIE MOGĘ ZNALEŹĆ WYŁĄCZNIKA! NIE MOGĘ ZNALEŹĆ WYŁĄCZNIKA!"

Tymczasem na ekranie zmienił się obraz. Zamiast cierpiącego na uwiad rąk człowieczka pojawiła się para kochająca się w spienionych falach jakiegoś wybrzeża. Chyba po to, żeby zmotywować babcię.

\\T

– ?? wstrętne – stwierdziła babcia, cmokając językiem. – Odrażające. Mam nadzieję, że to nie jest żaden z elementów ćwiczenia.

– W porządku, babciu – powiedział mój szwagier, dokręcając ostatnią śrubę. – Wszystko gotowe.

– Naprawdę uważam, że to nie jest dobry pomysł – zaprotestowałam. – Babciu, będę cię codziennie zabierać do sklepu, możemy chodzić od Easy Spirit do wielobranżowego JCPenney. A stamtąd do Searsa! Ale obiecaj, że nie będziesz tego używać!

– A pewnie, że będę – powiedziała babcia, przyglądając się maszynie. – Chyba uda mi się na tym zmieścić ze trzy staniki!

l S&K-atjO^y cfo ?ywoptotrU

Zwykle nie otwieram drzwi wejściowych, kiedy ktoś dzwoni. W zasadzie nigdy. Zmusiłam się do przyjęcia takiego zwyczaju, gdy nieprzeliczone mrowie mężczyzn w średnim wieku odwiedzało mnie, pytając o rdzewiejącego oldsmobila rocznik 1968, rozpadającego się w oczach pod moją wiatą, przykrytego konserwującą warstwą pyłu.

Wyjaśniałam, że to nie mój samochód. Proponowali pieniądze. Tłumaczyłam, że należy do mojego ojca. Pytali, dlaczego go nie myje. Dlatego, że chce go odrestaurować, kiedy przejdzie na emeryturę. Mówili mi wtedy, że też chcieliby go odrestaurować. Wyjaśniłam, że ojciec powierzył mi jedyne kluczyki do samochodu, abym mogła go prze-parkować na wypadek pożaru. Wtedy pytali, czy silnik odpala. Ja im na to, że nie mam pojęcia. Dla bezpieczeństwa wsadziłam kluczyki do starego słoika, ale nie wiedziałam, że na dnie były kryształki żelu krzemionkowego, które rozpuszczą każdy metal w przeciągu trzech lat, bo tyle czasu upłynęło, zanim ponownie otworzyłam słoik. Zobaczyłam wówczas, że kluczyki zmieni-

\\9

ły się w metalowe zapalczki, a ja nie miałam odwagi, żeby o tym powiedzieć ojcu.

Dopiero wtedy mężczyźni dawali za wygraną.

Zmęczyło mnie ciągle opowiadanie tej historyjki, więc przestałam otwierać drzwi. Pewnej soboty coś się zmieniło. Nie wiem co, ale zadzwonił dzwonek do drzwi i zanim mogłam się powstrzymać, przekręciłam gałkę i otworzyłam.

Przez drzwi z siatką przeciw owadom zauważyłam dwie niewysokie postaci, z których jedna ubrana była w fale różowego tiulu i cekiny. Kiedy się tak przyglądałam, starając się dostrzec, jakie stworzenie mam przed sobą, drugie przemówiło.

– Cześć – powiedziało.

– Cześć – odpowiedziałam, powoli poznając, z kim mam do czynienia.

– Mieszkamy na tej samej ulicy – mówiło dalej.

– Wiem – odparłam, domyślając się wreszcie, jacy goście stali na moim ganku. To były dzieci. Dziewczynki." Jedna była ubrana jak baletnica. A obie trzymały w dłoniach po parze sekatorów do żywopłotu.

Pokręciłam głową. Pomyślałam, że nikt mi nie uwierzy.

– Czy możemy ci przyciąć krzaki? – zapytała większa. – Lubimy to robić i działamy w branży od dwóch lat.

– Przycinacie krzaki, odkąd miałyście po dwa lata? – zapytałam.

– Mam osiem lat – jedna westchnęła z niezadowoleniem.

– A ja sześć – dodała baletnica.

020

– Czy wasz tatuś wie, że macie takie wielkie nożyce? – zapytałam, pokazując na sekatory, które sięgały ba-letnicy do ramion. – Mogą być niebezpieczne.

– Tak, wie – powiedziała starsza. – Sam nam kazał.

– Przykro mi, ale właśnie przycięłam krzaki – skłamałam. – Ale jeżeli zaczną wariować i wymkną się spod kontroli, zaraz po was przybiegnę. Po specjalistki od przycinania.

– W porządku – powiedziała większa trochę rozczarowana, odwracając się z wolna.

– A tak przy okazji, na ile mnie skasujecie? – zapytałam, nieświadoma tego, że mam w dłoni kij i właśnie szykuję się do szturchnięcia wielkiego śpiącego niedźwiedzia.

– Tyle, ile masz w portmonetce – powiedziała baletnica.

– A gdybym miała tylko pięć centów? – dopytywałam się.

– Pięć centów wystarczy – powiedziała większa. – W przyszłym tygodniu mamy dostać sześćset dolarów od mamy Amy.

Miałam mętlik w głowie.

– Ty jesteś Amy? – zapytałam baletnicy. Odpowiedziała, że ma na imię Staci, a ta większa to Casey.

- Amy to... taka nasza siostra - odpowiedziała Casey.
- Dlaczego mama Amy ma wam dać sześćset dolarów? - dopytywałam się. - Czy właśnie tyle miała w portmonetce, kiedy przycinałyście jej krzaki?
?
- Nie. To dlatego, że mamy przyznaną opiekę nad Amy - powiedziała Casey.
- Aha - odparłam i postanowiłam nie odezwać się już ani słowem.
- Vicki i chłopak, z którym mieszka, pobili moją mamę - powiedziała Staci, sześciolatka baletnica.
- No, a Vicki jeździ tam i z powrotem po ulicy, żeby zobaczyć, gdzie mieszkamy - dodała Casey.
Znów miałam mętlik w głowie.
- Kto to jest Vicki? - zapytałam.
- Mama Amy - wyrecytowały dziewczynki razem.
- To jak Vicki mogła pobić twoją mamę, skoro nie wie, gdzie mieszkacie?
- Nie pobiła jej w domu - wyjaśniła Casey. - Vicki napadła ją w sądzie. Uderzyła moją mamę w szyję.
- Cieszyliśmy się, kiedy mama Amy poszła do więzienia - dodała Staci. - Ale tylko na jedną noc.
Nie chciałam wiedzieć już nic więcej o Amy, jej mamie ani o sądzie. Usłyszałam wystarczająco, żeby stwierdzić, że to nie mój pieprzony interes.
- Czy możemy pogłaskać psa? - zapytała Casey, zaglądając do środka.
- Pewnie - powiedziałam, wpuszczając je do domu. - Ale sekatory zostawcie na ganku.
- Fajny dom - powiedziała Staci, rozglądając się, gdy sukienka z różowego tiulu znalazła się w środku.
- Dzięki - tylko tyle udało mi się wydobyć z gardła.
Pół godziny później dziewczynki siedziały na kanapie, jadły chipsy i popijały mrożoną herbatę. Opowiedziały mi ze szczegółami o innych wydarzeniach ze swojego życia: o tym, że Casey ma czterech ojców, a Staci tylko trzech, że muszą po południu wyprowadzić psa na spacer, bo ma przyjść pośrednik z nieruchomości, a gdyby go zobaczył, to wywaliłby ich wszystkich na zbity pysk, że są wegetariankami i czy nie mogłabym dać ich mamusi i tatusiowi trochę cukru, bo od jakiegoś czasu nie mają czym słodzić kawy. Siedziałam przy stole w kuchni, tak samo popijałam mrożoną herbatę i zastanawiałam się, jak mam się ich pozbyć z domu.
- Muszę się zaraz zabrać za obiad - oznajmiłam.
- Dla nas? - zapytały razem promiennie.
- Nie - odpowiedziałam. - Chyba nie będzie wam smakował.
- A co macie? - zapytała Casey.
- Hm, całą górę mięsa - skłamałam. - Wielkie kawały wiecha.
- Masz jakiegoś męża? - zapytała Staci. Chociaż wiedziałam, że rozumie pojęcie „chłopaka, z którym się mieszka”, znów skłamałam.
- Tak, mam - wyjąkałam. - Strasznie lubi mięso, ale myślę, że czas już, żebyście wróciły do domu. Mama pewnie się o was martwi.
- Założę się, że nie - powiedziała Casey.
- Cześć! - powiedziała Staci, głaszcząc psa. - Do zobaczenia jutro!
- Jutro pracuję - wtrąciłam szybko.
- Poczekamy, aż wrócisz - zaproponowała Casey. Staci przytaknęła.
Czułam się podle. Czułam się podle, bo nie chciały wracać do domu, bo nikogo nie obchodziło, gdzie są, a poczułam się jeszcze gorzej, kiedy zorientowałam się,
123
że najpewniej są bystrzejsze od swoich rodziców. Czułam się podle, gdy wychodziły z ogrodu z ogromnymi sekatorami w dłoniach, ale wiedziałam, że Casey i Staci to nie mój problem.
Myślałam o nich przez cały czas, dopóki mój chłopak nie wrócił do domu, a kiedy wszedł, od razu kazałam mu usiąść.
- Muszę ci o tym opowiedzieć, zanim zapomnę choćby jeden szczegół - nalegałam.
- Poczekaj - powiedział, oganiając się rękami. - Ja muszę opowiedzieć pierwszy.
- Ale nie uwierzysz, co mi się przydarzyło dziś po południu - naciskałam.
- A ty mi nie uwierzysz, co przed chwilą widziałem - przerwał.
- Moja historia jest zabawniejsza - licytowałam.
- Niemożliwe - odparł.

– Chciałbyś! – odparowałam.

– Przed chwilą widziałem dwie małe dziewczynki z naszej ulicy, jak przycinają krzewy sąsiada, a jedna z nich ubrana była jak wróżka! – wykrzyknął.

Roześmialiśmy się i wszystko wydawało się zabawne, dopóki następnego dnia nie zatelefonował do mnie do pracy. Był w domu, a w jego głosie pobrzmiwała nuta zdenerwowania.

– Twoje koleżanki-wróżki są tutaj i nie chcą sobie pójść – powiedział prawie szeptem.

Najwyraźniej odpoczywał sobie po pracy, kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi. Mając więcej rozsądku niż ja, nie otworzył. Więc dziewczynki dzwoniły, dzwoniły i dzwoniły. Aż wreszcie przycisk się zaciął.

?

– Nagle przestały dzwonić – mówił dalej – i wtedy usłyszałem ich kroki na żwirze w ogródku. Szukają cię, zaglądają przez okna, a ja jestem w samych slipach! Musiałem zamknąć drzwi do wszystkich sypialni i przez ostatnie pół godziny jestem w pułapce w korytarzu!

Wydawało mi się, że w słuchawce słyszę głosy małych dzieci krzyczących ile sił w płucach.

– Śpiewają? – zapytałam.

– Nie, to nie śpiew – stwierdził. – To głosy demonów z piekła rodem. Potem ustawił słuchawkę tak, że mogłam usłyszeć diabelski chór wrózek ścinających krzewy i wrzeszczących:

„PROSZĘ PANI! PROSZĘ PANI! PROSZĘ PANI!”

– Przepraszam – powiedziała, kiedy znów się odezwał. – Już nigdy nie otworzę nikomu drzwi.

– Nie, nie otworzysz – warknął. – Jak tylko sobie pójdą, wskakuję w jakieś spodnie i zaspawam je na amen!

„W porządku – pomyślałam. I tak ich prawie nie używam”.

?Ż&rru&S? ??????; ??>????1

Boję się klaunów i wcale się tego nie wstydzę.

Moja nauczycielka z trzeciej klasy, pani Lee, zaprosiła kiedyś wyjątkowo wściekłego klauna o imieniu Frostie, aby wystąpił na klasowym przyjęciu świątecznym. Była to, nawiasem mówiąc, ta sama nauczycielka, która stworzyła autorską metodę dyscyplinowania uczniów, polegającą na umieszczeniu przy biurku psiej budy, poprzednio[^]za-mieszkaną przez jej doga, i zamykaniu w niej niegrzecznych dzieci.

Już w momencie przybycia Frostie roztaczał charakterystyczną woń, którą obecnie mogę zidentyfikować jako zapach dżinu, a kiedy Sherry Pierce, wzorowa uczennica o włosach do kolan, wspomniała coś na ten temat, spojrział na nią i zachichotał. Następnie przystąpił do Klau-nowych Igraszek, polegających na tłuczeniu dzieci po głowach piszczącym młotkiem z plastiku, wyciąganiu z za ich uszu cętkowanego kawałka czerwonej pianki i nadmuchiowaniu balonów o nie przyzwoitych kształtach, które miały naśladować zwierzęta. Jego irytacja pogłębiła się, kiedy Michael Moorehouse, klasowy pul-

^6

pecik, oświadczył, że klaun wcale nie jest zabawny. Frostie, reagując błyskawicznie, huknął w talerzyk Michaela z okrzykiem: „Ja ci pokażę zabawę, grubasie!”, i odgryzł mu kawałek lukrowanego ciasteczka z reniferem.

To nie był koniec moich bolesnych doświadczeń z klaunami. Rok później, na przyjęciu urodzinowym mojej koleżanki, byłam świadkiem, jak wynajęty do zabawiania gości klaun opróżniał pęcherz przy drewnianym ogrodzeniu podwórza, w chwili gdy krojono urodzinowy tort. Właśnie wtedy zrozumiałam, że powinnam unikać klaunów, są bowiem podstępными stworzeniami i posłańcami diabła. Moja ciotka miała w salonie dwa obrazki z klaunami i te obrazki przypieczętowały moje przekonanie. Oba przedstawiały ponurych klaunów z obrzydliwymi, krwistoczerwonymi uśmiechami odsłaniającymi ostre, wyszczerbione, żółte kły. Na twarzy każdego z nich widniała pojedyncza ła. Byłam pewna, że przechodząc koło tych obrazków, usłyszałabym ich nawoływanie: „Laurie, jesteśmy twoimi przyjaciółmi. Dotknij nas. Pokażemy ci prawdziwą zabawę”.

Jako osoba dorosła jestem w stanie obronić się przed ulicznym mimem za pomocą fałszywego paralizatora albo jak najbardziej autentycznego kopa, a następnie rzucić się do ucieczki. Ale klauni to inna para kaloszy. Dysponują mroczną mocą, której nic nie pokona. Nadmuchaaj balon, a klaun zamieni go w jeszcze większy i groźniejszy. Zamknij go w bagażniku, a rozmnoży się w sześciu innych. Napluj na

niego, a on cię uściska. Moja nienawiść do klaunów jest tak wielka, że na widok każdego paraliżuje mnie strach. Uważam, że powinni iść do specjalnego więzienia dla klaunów za wszystkie krzyw-

?7

dy wyrządzone amerykańskim dzieciom. Lubią pasiaste stroje, więc więzienne uniformy będą im pasować, a zamiast puszek z mięsem strażnik mógłby rzucać im do cel balony i girlandy w spreju, krzyząc: „Macie, porąbańce! Zróbcie se z tego obiad!”

Wolę mieć do czynienia z całą zgrają pracowników urzędu skarbowego wyposażonych w wyciąg z mojego konta, niż zadrzeć z jednym klaunem. Jestem głęboko przekonana,

że istnieje Podziemna Sieć Klaunów i jeśli dopuścisz do konfliktu z jednym, to masz przerabane u wszystkich. Oni przekazują sobie informacje. Namierzają cię i jeśli znajdziesz się w promieniu pięciu mil od najbliższej tęczowej peruki, to jej właściciel niezmordowanie podaży twoim śladem, by cię odnaleźć i ofiarować niewidzialny kwiat. Przyjmij go, a ulegniesz Ciemnej Stronie Mocy Klaunów. W mgnieniu oka zaczniesz wpychać siedemnastu przyjaciół do swojej furgonetki oklejonej wielobarwnymi plakietkami o treści:

KLAUNI RZĄDZA!

Zupełnie nie mieści mi się w głowie, jak można chcieć zostać klaunem. Nie wiem, co kryje się za tymi obrysowanymi czerwoną kredką oczami i kredowobiałym pudrem. Może to i lepiej, że sekret pozostaje sekretem. Mam przecucie, że nie jest to widok stosowny dla ludzkich oczu. Są tacy, którzy płacą blisko pięćset dolarów za tygodniowy obóz dla klaunów i uczestnictwo w zajęciach typu: „Balony dla początkujących”, „Balony dla zaawansowanych” (Frostie na pewno przerobił ten kurs) i „Metody straszenia dzieci, by wyrosły na tchórzy i emocjonalne kaleki”. W ulotce reklamującej taki obóz można przeczytać, że przygotuje on swoich uczestników

?

do działania w sytuacji, kiedy ktoś podejdzie do nich na ulicy i zażąda: „Rozśmiesz mnie, klaunie”. Dalej ulotka obwieszcza: „by stać się wielkim klaunem,

potrzeba nie tygodnia, lecz całego życia”, a obóz „pomaga jedynie rozwinąć w sobie duszę klauna”. Znajduje się tam też zdjęcie anorektycznego mężczyzny odzianego w czarny, lśniący, mocno wydekoltowany trykot i demonstrującego Taniec Klaunów, oraz jeszcze jedno, na którym „Chichotek pokazuje uczniom, jak przechodzić przez drzwi”. Większość znanych mi osób nie potrzebuje wydawać pięćset dolców na naukę w Szkole Klaunów. Wystarczy im kilka piw na pusty żołądek.

Nie wiem, jak wy, ale ja nigdy nie czułam potrzeby poproszenia pasiastego demona,

by mnie rozśmieszył. To tak, jak poprosić kogoś z chorobą dziąseł, żeby użył twojej szczoteczki do zębów. To jak kręcenie bicza na samą siebie. Będąc studentką Uniwersytetu Stanowego w Arizonie, przeszłam koło klauna w centrum handlowym, celowo unikając kontaktu wzrokowego. On jednak zawział się i szedł za mną na drugi koniec kampusu, usiłując uszczęśliwić mnie balonami w kształcie pudli oraz nalepkami ludzików i próbując opryskać kwasem akumulatorowym z kwiatka przypiętego do klapy.

Wreszcie na schodach wydziału komunikacji obróciłam się i przyjąłam pozycję bojową, z ugiętymi kolanami i zaciśniętymi pięściami.

– Nie, klaunie! – ryknęłam. – Nie znaczy nie!!! Klaun zaczął udawać, że płacze, ale pogroziłam mu palcem.

– Trzymaj się ode mnie z daleka! – ostrzegłam go.

129

Myślę, że właśnie wtedy moje imię i rysopis zaczęły krążyć w Sieci, ponieważ dwa dni później, kiedy odwiedziłam dziadków, otrzymałam od dziadka prezent.

Była to lalka w kształcie klauna o wrednych żółtych oczach, odziana w spiczasty kapelusze i trykot w kropki. Sieć dorwała już i moją rodzinę.

– Weź to ode mnie – powiedziałam, zasłaniając się rękami. – Igracie z czymś, czego nie rozumiecie!

– Wynieś to na zewnątrz, Nick – powiedziała babcia do dziadka. – Wiesz, co się dzieje, kiedy Laurie się zdenerwuje. Nie będę po niej sprzątać.

– nie!!! – krzyknęłam, skacząc na równe nogi. – Nie wolno spuszczać klauna z

oka! Musi być pod kontrolą! Nie wolno odwracać się do niego plecami!

– Ale ona jest taka słodka – powiedział dziadek.

– Nie będzie już taka słodka, kiedy ożyje w nocy i na-faszeruje rynnę konfetti – zauważyłam ostrzegawczo. – A tak w ogóle, to skąd wiecie, że ten klaun, to ona?

– Ach – odpowiedział dziadek z uśmiechem – bo nazwałem ją Laurie.

^?aK p&żoŻYć iv& nowo

Z& J^dyr\Qr Sko ?&? <5?1????

Pamiętam, był to gorący czerwcowy wieczór. Boisko oświetlały przeszywająco białe reflektory, które sprawiały, że temperatura wydawała się o jakieś sto stopni wyższa. Widać było sylwetki ciem i owadów krążących wokół światła i kurz unoszący się w powietrzu, wzbijany przez kilka tysięcy ludzi. Siedziałam na rozkładanym metalowym krzeselku, jednym z 547 ustawionych na żwirze wokół boiska.

Miałam siedemnaście lat i tylko godzina dzieliła mnie od rozpoczęcia Własnego Życia. To był początek lat osiemdziesiątych. Nosiłam białe szpilki. Wachlowałam się programem uroczystości, próbując uchronić twarz przed roztopieniem i spłynięciem na kolana. Ktoś wywołał moje imię, przeszłam przez scenę, chwyciłam świadectwo ukończenia szkoły, nie przewróciłam się (wtedy jeszcze nie piłam), wróciłam na miejsce i wachlowałam się aż do końca ceremonii.

Opuściłam boisko już jako absolwentka, w roju Rodziców Szerszeni, jaki chwilę później zaatakował boisko, poznałam ojca i matkę, i zapaliłam papierosa na oczach

x&

dyrektora, który parę miesięcy wcześniej próbował mnie zawiesić za palenie na terenie szkoły.

Na dłuższy czas zapomniałam o tym wieczorze. Nie było żadnego powodu, by go wspominać. Zapomniałam o nim zupełnie, aż tu nagle nadszedł list od komitetu organizacyjnego zjazdu absolwentów.

„Słodki Jezu – pomyślałam, znalazłszy list w mojej nie otwieranej od miesiąca skrzynce. – Wracam do szkoły średniej!”

No cóż, zmieniłam się trochę od tamtego czasu. Wtedy sprzeciwiałam się używaniu i sprzedawaniu narkotyków, regularnie brałam prysznic i byłam wypłacalna. Z upływem czasu zwiększył mi się obwód ud, płuca wypełniła ilość smoły wystarczająca do remontu wszystkich autostrad w kraju, nie mogę zainstalować telefonu bez poręczenia taty, kompletnie zapomniałam, jak uprawia się seks z inną osobą, i jestem pewna, że gdyby miało dojść do takiej sytuacji, musiałabym wypucować intymne części ciała jakimś detergentem.

Taki list mogłam przeczytać tylko w jednym miejscu, czyli w ubikacji, i to z papierosem w ręku.

Otwarłam kopertę. „Najwyższy czas na zjazd absolwentów!” – krzyczały słowa, by poinformować mnie następnie, że 546 najbardziej znienawidzonych przeze mnie osób na świecie ma zamiar spotkać się w jakimś snobistycznym kurorcie i przez cały weekend wspominać stare dobre czasy. Za opłatą sześćdziesięciu dolarów mogłam w sobotę usiąść przy jednym stole z typami w stylu Jima Kroenera (który rzucał we mnie piłką do koszykówki, kiedy byłam w pierwszej klasie, starając się trafić w głowę), zjeść na kolację niestrawną potrawkę z kurczą-

^3Z

ka i próbować prowadzić kulturalną, dojrzałą konwersację. Była też opcja „koktajlu integracyjnego” w piątkowy wieczór, co oznaczało kolejny wydatek, po to, by mieć możliwość dalszego ćwiczenia silnej woli i jeszcze raz powstrzymać się od wyklucia Jimowi Kroenerowi oczu korkociągiem. Na niedzielę, w ramach Wielkiego Finału, zaplanowano rodzinny piknik („okazja do pochwalenia się potomstwem”). Istniała też możliwość nabycia pamiątkowej koszulki za dziesięć dolarów, albumu ze zdjęciami (do którego mogłam przesłać swoją aktualną fotografię) za trzynaście i Pamiętnika Klasowego, cokolwiek by to miało znaczyć, za kolejne dziesięć dolców.

Całkowity koszt tej sentymentalnej orgii wynosił niebotyczne sto trzy dolary, nie licząc udziału w turnieju golfowym (sobota, ósma rano, koszt pięćdziesiąt siedem dolarów) prowadzonym przez jedną sławną osobę z naszej szkoły (czyli kogoś, kto kiedyś grał przez jeden sezon w futbolowej reprezentacji kraju). Naprawdę znane osoby z naszego rocznika nadal odsiadują wyroki od piętnastu do dwudziestu lat w Więzieniu Stanowym Florence za nieporadny napad na bank, skąd chciały uciec niebieskim garbusem rocznik 1974.

Kolacja nie wchodziła w grę. Ani mi w głowie spędzać sobotni wieczór w towarzystwie tłumu państwa Wielkich Tego Świata, popisujących się pierścionkami z brylantem, zdjęciami dzieci i implantami w piersiach. Serdeczne dzięki. Piknik też wykluczyłam. Nie mam własnych dzieci (chwała Ci, Panie, za bezpłodność), ale mogłam za to przyprowadzić swoje wściekłe psy, żeby rzuciły się na bachory Jima Kroenera.

V\$3

Doszłam do wniosku, że jedyną godną uwagi częścią imprezy będzie koktajl integracyjny, gdzie zamiast bulić za drinki, mogłam pociągać z butelki ukrytej w torebce.

Do listu dołączono formularz ułożony na potrzeby Pamiętnika Klasowego, pełen wszystkich podstawowych błahych pytań: imię, nazwisko, zawód, stan cywilny, dzieci, próg podatkowy (odpowiedzi: Laurie, brak, brak, brak, nie mam pojęcia, zapytam tatę). Przez moment rozważałam, czy by nie wpisać zmarła, i to grubym, czarnym pisakiem, gdy mój wzrok padł na pytanie o „Twoje najmilsze wspomnienie ze szkoły”. W odpowiedzi wpisałam zdarzenie z lekcji biologii, kiedy razem z moją najlepszą przyjaciółką Jamie musiałyśmy przeprowadzić sekcję zwłok kota, więc obdarzyłyśmy go ze skóry, za pomocą sznurków i szczypiec przerobiłyśmy go na marionetkę, zabrałyśmy na spacer korytarzem i machałyśmy jego łapkami do przechodzących ludzi, aż wreszcie na ten widok jedna dziewczyna zymiotowała do kosza na śmieci. Formularz zawierał też prośbę o „Przesłanie do koleżanek i kolegów z klasy”, więc skrobnęłam mały, zgrabny akapit wypełniony zwrotami: „trójgłowe dzieci”, „odrzućcie wniosek o przyznanie kredytu”, „rak prostaty” i „zasrani nuworysze”.

Kolejnym dodatkiem do listu był test sprawdzający znajomość różnych szczegółów z życia szkoły. Zawierał pytania w stylu: „Kto był przewodniczącym klasy?”, „Kto był królem i królową balu maturalnego?” oraz „Kto wygłosił mowę pożegnalną?”, a ja, choć nie miałam zielonego pojęcia, jak brzmiały odpowiedzi, pamiętałam doskonale nazwiska dziewczyn, które miały chorobę weneryczną albo zaszły w ciążę.

^34

Na koniec list radził „wynająć opiekunkę do dzieci, przejść na dietę, umówić się z fryzjerem i manikurzystką i natychmiast wysłać swoje zgłoszenie!”

Prawdę mówiąc, moje psy nie potrzebują opiekunki, mowy nie ma, żebym zaczęła się głodzić na cześć zgrai łysiejących, otyłych agentów ubezpieczeniowych i higienistek, a jeśli chodzi o manikurzystkę, to musiałabym chyba zobaczyć Czterech Jeźdźców Apokalipsy palących marychę na moim podjeździe, żeby zdecydować się na wizytę w salonie piękności.

Mam natomiast zamiar urznąć się w trupa, wpłacić kaucję za mojego faceta, wyciągnąć go z pierdła i udać się na koktajl integracyjny. Przy odrobinie szczęścia może uda mi się po drodze znaleźć i zdrapać z jezdni martwego kota, dzięki czemu cały rocznik zapamięta stare dobre czasy, tak jak ja je zapamiętałam.

BożpieG&nb w &podr\F&ch

– Nie wejdę tam. Nie wejdę. Mowy nie ma.

Jeff zatrzymał samochód na samym środku parkingu i spojrzał mi prosto w oczy. Twarz miał błądą jak ściana, oczy zamieniły się w małe bryłki lodu, a głos brzmiał poważnie.

– Nie wejdę tam.

– Zamknij się i zaparkuj samochód – odpowiedziałam. – Jesteśmy na miejscu.

Mówię ci, zaparkuj ten cholerny samochód.

– Widziałaś te transparenty? – zapytał, wskazując na piracką flagę powiewającą niebezpiecznie blisko nas, a głosząca: witajcie po latach! – Widziałaś, kto tam jest? Blondynki w sukienkach z balu maturalnego! Jedna miała chińskie pałeczki we włosach! I chyba widziałem prawnika! Na pewno każą nam pokazać platynową kartę kredytową, zanim nas w ogóle wpuszczą!

Jeff był zdenerwowany. Tłukł pięściami w kierownicę, a strugi łez spływały mu po bladych policzkach. O tak, był zdenerwowany wyłącznie dlatego, że skończył tę samą szkołę średnią co ja, tyle że rok wcześniej. Wiedział do-

we

kładnie, co go czekało, co czaiło się, by nas osaczyć, kiedy tak wkraczaliśmy na okrutny, bezlitosny obszar nostalgii. A przecież był tylko moją osobą towarzyszącą, jedynym człowiekiem, który niechętnie zgodził się zstąpić ze mną do siódmego kręgu piekieł, czyli pojechać na zjazd absolwentów.

Ja też byłam zdenerwowana. Dłonie trzęsły mi się jak po piątym drinku, do czego przyczyniał się fakt, że nie wysłałam ani formularza zgłoszeniowego, ani opłaty za uczestnictwo w zjeździe. Krótko mówiąc, szliśmy na krzywy ryj. I szliśmy jak w dym. Pierwszy raz od lat miałam czystą twarz, a zęby umyłam jak najostrożniej, żeby nie krwawiły mi dziąsła.

– Jeff – powiedziałam z całą delikatnością, na jaką mogłam się zdobyć – czekałam na to przez lata, czekałam, żeby pokazać tym ludziom, co osiągnęłam i kim teraz jestem, wiesz, tak jak w tej piosence z reklamy statku.

– Chodzi ci o Gdyby przyjaciele mogli mnie teraz zobaczyć? – spytał z sarkazmem.

– Mówisz o piosence, w której przyjaciele zazdroszczą ci, ponieważ jesteś zapijaczną recepcjonistką, wyrzucaną co noc z każdego baru, ponieważ nie przyjmujesz do wiadomości, że o pierwszej w nocy można by już przestać pić? O piosence, w której przyjaciół zżera zazdrość, bo dzięki swojej niewyparzonej gębie i napadom agresji odstraszasz każdego faceta, z którym się spotykasz i w efekcie czeka cię życie bardziej samotne niż życie wszystkich sióstr Bronte razem wziętych? O tę piosenkę ci chodzi?

Nienawidziłam Jeffa, ponieważ miał rację. Od czasu ukończenia szkoły moim największym osiągnięciem było zbieranie liczby punktów promocyjnych z opakowań * &

marlboro, która wystarczyłaby chyba, aby otrzymać w nagrodę od firmy potężny samochód kempingowy z trzema sypialniami i gigantycznymi lustrami w złotej oprawie. W moim życiu nie było przesadnie dużo powodów do dumy i nie bardzo mogłam się czymś przechwalać, nie przypominając przy tym kogoś z rodziny Charlesa Man-sonal.

– Powiedz, Laurie, jak ci się wiodło w życiu od ukończenia szkoły średniej?

– Cóż, wydział antynarkotkowy przekopał mi dom w 1986, dwa lata później odebrano mi wszystkie karty kredytowe, a rok temu mój chłopak rzucił mnie, bo wpadł z jakąś smarkatą rudą hipiską.

Tak właśnie wyglądało moje życie.

– Dobra, Jeff – powiedziałam – dzisiaj ja stawiam.

– No, popatrz, a tu się właśnie zwolniło miejsce. Przymaszerowaliśmy przez parking, tuż obok tych

wszystkich wypasionych modeli toyoty. Musiałam uważać, bo podeszwę kowbojskiego buta poctkleiłam czarną taśmą. W końcu dotarliśmy do transparentu i stolika, gdzie rozdawano plakietki z imionami.

Długą kolejkę blokowali podstarzali, piskliwi członkowie rady uczniowskiej, więc szybko schowałam się za Jeffa, kiedy oni wymieniali wizytówki. Chwyciłam plakietkę ze stolika, odkleiłam papierek zabezpieczający i przymocowałam do mojej lewej piersi. Teraz nazywałam się Jens Hansen i włamywałam się na własny zjazd absolwentów.

1 Charles Manson – wielokrotny morderca, twórca grupy przestępczej noszącej nazwę The Family (Rodzina), która zamordowała m.in. Sharon Tatę (żonę Romana Polańskiego) (przyp. tłum.).

§38

– Jesteś pewna, że to tu? – wyszeptał Jeff. – Wygląda mi to na zjazd związku fryzjerów.

– Tak, to tu – syknęłam. – A to chyba Susan Woods próbuje dźwignąć swój dwustukilowy tyłek z Bogu ducha winnego plastikowego krzeselka.

Uznaliśmy, że potrzebujemy drinka, zanim zaczniemy z kimkolwiek rozmawiać, więc wysłałam Jeffa do baru, żeby sobie przyniósł piwo, a mnie – coś do rozcieńczenia whisky, lód i mieszadełko.

Nie zdążyłam nawet zmieszać swojego drinka w zaciszu krzaków, a już usłyszałam: „Cha, cha, cha! Laurie Notaro? To ona jeszcze żyje?“, i zobaczyłam jedną ze swoich najlepszych koleżanek pogrążoną w rozmowie z naszym ulubionym nauczycielem, który w rok po mojej maturze rzucił żonę i trójkę dzieci dla osiemnastoletniej przewodniczącej ekipy cheerleaderek. Chciałam wyciągnąć te stare brudy, ale wpadłam na inną przyjaciółkę, Joannę, gawędzącą z dziewczyną, która w szkole średniej była moim największym wrogiem.

– Wiesz, jaki numer? – krzyknęła Joanna na mój widok. – Urodziłam dziecko! Czuję się jakbym wydalala dynię i wcale tego nie polecam!

Joanna wyszła za mąż, urodziła syna, mieszka dwie mile ode mnie, a życie gospodyni domowej jej się spodobało, bo może całymi dniami palić papierosy i oglądać telewizję. Moja rywalka również wyszła za mąż, przeprowadziła się do

Ventury, wzięła rozwód, zniechęciła swoją pracę nauczycielki dla opóźnionych w rozwoju i z okazji zjazdu musiała wypożyczyć bawełnianą sukienkę w kwiatki, żeby mieć co na siebie włożyć. Twierdziła jednak, że jej życie „i tak było całkiem fajne”. Żywiła ja-

X&

kies dziwaczne, nastoletnie przekonanie, że ja i ona byłyśmy w liceum pokrewnymi duszami. Jedyne, co mi się w niej podobało, to jej grubszy od mojego tyłek i fakt, że stojąc przy niej, wyglądałam na laskę.

– Jakie fantastyczne włoskie spodnie! – krzyknęła, patrząc na moje ubranie. – Uwielbiam te nowe trendy!

– Wcale nie są włoskie – odparłam, zapalając papierosa. – To poliestrowe spodnie dzwony przetykane srebrną nitką, rocznik 1972. Dziewięćdziesiąt dziewięć centów w sklepie z używaną odzieżą.

Spróbowała zmienić temat.

– Ale masz wielką torbę! Pewnie też jesteś mamą.

– Za żadne skarby! – odpowiedziałam, odsłaniając na moment butelkę Jacka Danielsa. – Mam tylko problem z picciem.

Z Jeffem u boku, wmieszałam się w tłum, śmiałam się na całe gardło, wypaliłam paczkę papierosów. Zauważyłam, że im bardziej ktoś zapewniał, jakie cudowne ma życie, tym bardziej tego życia nienawidził. Zorientowałam się, że byłam jedyną osobą z naszego rocznika, która wciąż musi pokazywać dowód osobisty, kupując papierosy. Byłam też jedną z trzech wolnych kobiet, które nigdy nie zaznały ślubu, rozwodu, unieważnienia małżeństwa, zapłodnienia, lekcji w szkole

rodzenia, rozwarcia szyjki macicy i posady nauczycielki. Kiedy tak stałyśmy razem – ja, Kathy i Laura – doszłam do wniosku, że gdybyśmy miały nadwagę, jakkolwiek przyzwoity zawód albo przynajmniej inne pochodzenie etniczne, to mogłybyśmy występować w sitcomie pod tytułem Prędzej wpadnę w łapy terrorystów niż złapię męża albo sześć piersi do wynajęcia.

\4P

Pod koniec imprezy obiecałam Joannie, że do niej zadzwonię i zaczęłam przekopywać torebkę w poszukiwaniu długopisu. W akcie desperacji wyrzuciłam na okrągły stolik całą zawartość: paczki papierosów, papierki po gumie do żucia, niezapłacone rachunki, maszynkę do golenia, butelkę i na koniec długopis.

Zapisywałam właśnie numer Joanny, kiedy przewodnicząca naszego rocznika – kobieta wiodąca cudowne życie jako rozwiedziona nauczycielka – odwróciła się od swojej widowni i spytała z ironicznym uśmiechem, wskazując na moją golarzkę.

– Nosisz z sobą maszynkę do golenia? – jej ton był pełen tej samej wyższości, którą okazywała mi w czasach, kiedy obie miałyśmy na głowach trwałą a la mokra Włoszka.

– No wiesz – odparłam – nigdy nie wiadomo, kiedy trzeba będzie szybko się ogolić.

– A to? Co to jest? – spytała, wskazując na butelkę i wytrzeszczając oczy.

– Wiesz, pomyślałam sobie, że da mi ona więcej satysfakcji i będzie znacznie tańsza niż nieudane małżeństwo i spędzanie dziewięćdziesięciu procent czasu na kłótniach o to, kto zatrzyma komplet wypoczynkowy przy podziale majątku – podniosłam butelkę i umieściłam ją z powrotem we właściwym miejscu.

Potem przez całe piętnaście minut stałam obok królowej balu maturalnego, której kompletnie nie poznałam, bowiem kupiła sobie nową twarz. Myślałam, że ktoś przebrał się za LaToyę Jackson i dopiero Joanna wyprowadziła mnie z błędu. Mimo to nawiedziło mnie wspomnienie jej występu w szkolnej stołówce, kiedy to wskoczyła na stół i odśpiewała tytułową piosenkę z mu-

\A\

sicalu Famię, podczas gdy pozostali uczniowie usiłowali zjeść lunch. Poczułam taką litość, że nie mogłam nawet na nią zwymiotować.

Kiedy już wracałam przez parking do samochodu, trochę pijana i prawie bez papierosów, zaczęłam się śmiać i stwierdziliśmy zgodnie z Jeffem, że zjazd wcale nie był taki straszny. Nie musiałam zmyślać żadnych kłamstw na swój temat, ponieważ moje życie, skądinąd zdecydowanie żałosne, i tak jest tysiąc razy lepsze niż płacenie opiekunce do dzieci po powrocie do domu w niedzielę rano. No i wszyscy byli pod potężnym wrażeniem, że jakiś tajemniczy gość chodzi za mną krok w krok.

– Wiesz, Jeff – powiedziałam – naprawdę nie było tak źle.

– To prawda – zgodził się, otwierając mi drzwi samochodu. – Nie było źle. Gdyby

królowa balu maturalnego wydłubywała sobie teraz resztki twojej kolacji z włosów,
powiedziałbym nawet, że dobrze się bawiłem.
Wyjechaliśmy z parkingu i skierowaliśmy się w stronę najbliższego baru na dwadzieścia minut pica. Ostatniego papierosa zapaliłam bez wysiłku, zupełnie spokojnym gestem. Ręce przestały mi się trząść, a ja tego nawet nie zauważyłam.

<?S6?ORQ OtjW^tj-ft-

W zasadzie radzę sobie z chodzeniem do ginekologa, ponieważ jak każda kobieta powinnam go odwiedzać tylko raz w roku.

Teoretycznie.

Dzięki połączonym wysiłkom mojego pecha i moich narządów rodnych, musiałam w tym roku sporo się nachodzić. A pani doktor mogła mi się bardzo dokładnie przyjrzeć. Oczywiście nie jestem na tyle naiwna, żeby spodziewać się, że akurat ze mną cokolwiek pójdzie gładko i rutynowo. W takim przypadku byłabym normalna. Życie dziwadła natomiast wypełnione jest klęskami, gorzkimi rozczarowaniami i katastrofami, w związku z czym, niezależnie od moich starań, zawsze ładuję z ręką w nocniku.

Albo z uniesionymi nogami na fotelu ginekologicznym.

Podczas ostatniej wizyty zaginęło niezbędne narzędzie tortur, zabaweczka zwana wziernikiem. Dla tych z was, którzy nie są obeznani ze szczegółami czyścica

?43

badzeń cytologicznych, śpieszę z wyjaśnieniem. Wziernik to średniowieczny wynalazek złożony z połówek, które kiedy są zamknięte, tworzą kształt stożka. Ten stożek zostaje wepchnięty w okolice intymne. W stożku znajduje się chyba jakiś zaczep z przymocowanym pokrętłem. Potem lekarz obraca pokrętłem, które otwiera połówki stożka nienaturalnie szeroko na podobieństwo paszczy rozjuszzonego krokodyla. Całość wykonano z metalu i jestem niemal pewna, że moja pani doktor przetrzymuje wzierniki w zamrażarce.

Podczas badania mnie lekarka zauważyła zaginięcie wziernika, dopiero kiedy byłam już rozebrana i trzymałam nogi wyżej niż panienska lekkich obyczajów. Rozpoczęła gorączkowe poszukiwania w szafce pod fotelem, na którym siedziałam.

Bezskutecznie. Wziernika po prostu tam nie było. Zaczęłam wierzyć, że tym razem mi się uda.

Tymczasem pani doktor uniosła głowę spomiędzy moich nóg.

– Barbaro! – ryknęła do swojej asystentki siedzącej w recepcji. – Gdzie jest wziernik?

– W szafce pod fotelem – odryknęła w odpowiedzi Barbara, na co lekarka odparła, że przyrzędu tam nie ma.

Drzwi się otwarły i tak oto Barbara dołączyła do poszukiwań.

– Nie rozumiem – powiedziała. – Przecież go tam widziałam.

Nie miałam pojęcia, co się dzieje. Nadal leżałam na wznak, z dolną połową ciała odsłoniętą i uniesioną wy-

M4

soko do góry, a moje części intymne osłaniał jedynie dwuwarstwowy skrawek ligniny.

– Tu go nie ma – stwierdziły zgodnie. – Jeanie! Drzwi otwarły się ponownie i wkroczyła Jeanie, dziewczyna zajmująca się próbkami moczu. Ona również przyłączyła się do imprezy wydawanej przez moją pochwę, która nagle stała się postacią publiczną. Byłam pewna, że pani doktor szturchnie łokciem swoje małe pomocnice i zwróci się do nich tymi słowy:

– Spójrzcie tylko, mówiłam wam, że te okolice niejedno widziały.

Czułam się jak ktoś porwany przez kosmitów i bardzo źle przez nich traktowany.

„Nie powinno was tu być” – krzyczał cienki głosik w mojej głowie. – „To teren prywatny! Widzicie tu gdzieś tabliczkę: obiekt do ZWIEDZANIA?”

Nikt nie zaproponował nawet, że mnie okryje. Nie miałam wyboru, po prostu leżałam tam, potrząsając głową. Pani doktor, jej asystentka i dziewczyna od moczu zebrały się przy moich bardzo odsłoniętych biblijnych częściach. Dwie z tych trzech osób w ogóle nie miały prawa się tam znajdować, a musiałam jeszcze przecieź spojrzeć im później w twarz przy płaceniu za wizytę na Górze Gigantycznego Upokorzenia. „I co teraz? – zastanawiałam się – usłyszę pukanie do drzwi i pytanie:

– Czy ktoś zamawiał pizzę?

– Proszę wejść – odpowiedzą chórem trzy kobiety. – Tu jesteśmy!"
Do cholery, wyślijmy zaproszenia! Dlaczego ograniczać się tylko do personelu medycznego? Zaprośmy na lunch wszystkich z tego budynku!

?&

Ostatecznie lekarka wysłała Jeanie do drugiego gabinetu, żeby przyniosła wziernik z zamrażarki i to był koniec poszukiwań. Badanie toczyło się nadal, na szczęście już bez udziału Barbary i Jeanie.

Sami więc rozumiecie, że czuję się nieswojo przed wizytą u ginekologa; chodzę tam, ale jestem ostrożna. Tym razem jednak, pomimo zeszłorocznych doświadczeń z publicznym pokazem, żadną miarą nie mogłam się przygotować na to, co miało nastąpić.

Przyszłam, zrobiono mi wymaz, przebadano i było po wszystkim. Nic złego się nie stało, nikt nie wszedł do gabinetu, nie wciśnięto mi do pochwy żadnych dziwnych przedmiotów i nie musiałam pobierać opłaty za wstęp.

Przez tydzień czy dwa nic się nie działo, nie poinformowano mnie o wynikach, więc zdecydowałam się sama zadzwonić.

– O, pani Notaro, tak, tak, mamy już pani wyniki – powiedziała Barbara. – Pani karta zawieruszyła się na chwilę, ale mieliśmy zadzwonić przed końcem miesiąca. Bardzo pokrzepiające.

– Musi pani wpaść jeszcze raz. Kiedy możemy umówić się na biopsję?

– Biopsję? – spytałam. – Ale po co?

– Wyniki nie są najlepsze – odparła rzeczowo. – Ma pani zwyrodniałe komórki i musimy je sprawdzić w laboratorium. To może być rak.

Rak? Słowo, które w mojej rodzinie wypowiada się wyłącznie szeptem, bo jest zbyt przerażające? Rak? Nagle poczułam się bardzo śmiertelna.

??

– O! – i to było wszystko, co udało mi się powiedzieć.

– Może być przyszły wtorek o 14.30?

– Mhm. Jasne. Tak. Pewnie – odpowiedziałam i odłożyłam słuchawkę.

„To niemożliwe – myślałam – niemożliwe. Jestem jeszcze młoda. Dopiero co skończyłam dwadzieścia dwa lata. No dobra, skończyłam je siedem lat temu, ale przecież nie jestem taka stara”.

Ale potem przypomniałam sobie, że moja kuzynka przeszła podwójną mastektomię w wieku dwudziestu pięciu lat, a przyjaciółka miała dwadzieścia dwa lata, kiedy odkryto u niej raka płuc.

Zrobiono mi biopsję – co oznaczało wycięcie kawałka mięsa mniej więcej wielkości steku – i czekałam na telefon od Barbary.

Zaczęłam robić plany.

Skoro mam umrzeć, to urządzę sobie orgię zakupów i zapłacę kartami kredytowymi mojej mamy. Pojadę do Europy za pieniądze, które wycisnę z taty, żerując na jego litości. Będę jeść snickersy do każdego posiłku i jednocześnie chudnąć, pić czekoladowy syrop do lodów prosto z butelki, palić trzy paczki dziennie i pić whisky, dopóki nie zacznę sikać krwią. Krótko mówiąc,

BEĘDĘ SIĘ DOBRZE BAWIĆ.

Potem zadzwoniła Barbara i mogłam zapomnieć o Europie. Nie miałam raka. Okazało się, że to tylko moja pochwa wściekła się, bo lata przeznaczone na urodzenie dziecka spędziłam w knajpach, przewracając się i wymiotując na siebie, zamiast hodować w sobie owoc życia.

^4r

Aha, no i konieczna jest operacja, żeby pozbyć się zwyrodniałych tkanek.

Może być wtorek?

Mhm. Jasne. Tak. Pewnie.

Ponownie przyszłam do gabinetu na zabieg kriochi-rurgiczny, w czasie którego, jak wyjaśniła mi Barbara, złe komórki miały zostać zamrożone i zabite.

Nie spodziewałam się ujrzeć wielkiego metalowego zbiornika tuż koło stołu zabiegowego. Wyglądało na to, że lekarka ma zamiar napełnić mnie taką ilością helu, abym mogła odlecieć na paradę z okazji Święta Dziękczynienia jako Wesoła Wagina.

Pani doktor wyjaśniła mi jednak, że w zbiorniku nie ma helu, tylko ciekły azot, którego miała zamiar użyć podczas zabiegu.

„Super – pomyślałam – a jeśli wypięła dziś za dużo kawy albo ma kaca i ręka się jej omsknie i nagle będę miała zamrożoną macicę, która roztrzaska się na kawałki, jak tylko czegoś dotknie?”

– Proszę się rozluźnić – powiedziała lekarka.

» Spróbowałam.

Włączyła urządzenie, a ja marzyłam tylko o tym, żeby mocno zacisnąć nogi, i to szybko.

Zabieg się zaczął, usłyszałam wirowanie maszynierii, a potem nagle złowrogi łoskot ze zbiornika.

o boże! Mój umysł przełączył się na tryb awaryjny. Zamarznięta macica! Zamarznięta macica! Nie roztrzaskała się, tylko wybuchła! Moja macica eksplodowała!

– Ojej – powiedziała pani doktor. nie to chciałam usłyszeć.

– Odpadło – poinformowała mnie z prostotą.

??

– Co odpadło? – zastanawiałam się, czy na podłogę wypadały ze mnie właśnie jajowody, jajniki czy macica. – Która część?

– Ta – odpowiedziała, pokazując mi zaokrąglony kawałek czarnej gumy.

– To nie moje – zapewniłam ją. – Nie moje. Nigdy nie wetknęłabym tam sobie czegoś takiego.

– To końcówka od tego urządzenia – wyjaśniła lekarka.

Dzięki Bogu, moje wnętrzności nie zgniły jeszcze i nie są takie czarne.

– Chyba trzeba będzie przełożyć zabieg – westchnęła. – Nie jestem pewna, czy mam zapasową końcówkę, ale zaraz sprawdzę.

Skinęłam głową.

– Barbaro! – ryknęła.

pudto ? ???????\

Stwierdzenie, że w średniej-sypialni mojego domu panował bałagan, byłoby łagodnym określeniem.

Niektórzy zwali ją Upiornym Pokojem.

Inni twierdzili, że w porównaniu z nią złomowisko po przejściu tornada wyglądało jak schludnie zamieciony parking.

A jeszcze inni uważali, że ukrywam w nim zwtoki.

Ci ostatni bynajmniej nie byli w błędzie.

Upiorny Pokój powstał w chwili przeprowadzki, osiem lat temu. Tam właśnie składowałam wszystkie rzeczy, które nie znalazły sobie miejsca gdzie indziej. Pokój stał się niejako domem dla osieroconych rzeczy: maskotek z dzieciństwa zmumifikowanych śliną i wydzieliną z nosa, płyt modnych, kiedy byłam nastolatka, i wszystkich przedmiotów, na które nasikał mój kot i tym samym wykluczył je z użycia.

Upiorny Pokój służył też jako składzik moim dwóm siostrom, przyjaciółom i przeróżnym współlokatorom. Był tak zagracony, że można było tylko otworzyć drzwi,

^o

wejść do środka i rozejrzeć się wokół. Nic więcej nie dało się zrobić.

Aż tu nagle, po siedmiu latach, stało się coś niewyobrażalnego: spaliła się żarówka i całe niepotrzebne nikomu badziewie pogrążyło się w ciemności. Nie licząc opuszczenia ciała przez duszę oraz latania, nie było sposobu, żeby zmienić żarówkę umieszczoną na środku sufitu.

Dopiero gdy wylano mnie z pracy, postanowiłam zabrać się za porządki. Zaczęłam działać w sobotę, z silnym zamiarem opróżnienia pokoju przed końcem weekendu.

Każde otwarte, przejrzone i wyrzucone pudło to jak wycieczka do Przeszłości Laurie. Niektóre z tych doświadczeń były bardzo traumatyczne. Znalazłam parę starych majtek, świadectwo ukończenia liceum wieczorowego, należące do mojego byłego chłopaka, skamieniałą kocią kupę i stos czeków bez pokrycia.

Dotarłam w końcu do tej części pokoju, którą zajmowały stare, zniszczone meble, więc wytargałam je na zewnątrz i okleiłam informacją: do wzięcia. W przeciągu godziny wzorcowa rodzina mieszkająca przy tej samej ulicy przysłała swojego wzorcowego tatę, by załadował cały ten szajs na furgonetkę i przewiózł dwa domy dalej.

Pozbywszy się mebli, przeszłam do obskurnego pakunku wypełnionego rzeczami poprzedniego współloka-tora. Taszcząc pudła na stertę śmieci, zauważyłam jedno małe, brązowe, które wyglądało znajomo. Pamiętałam, co zawierało, i przez chwilę ludziłam się, że to inne pudło, ale wiedziałam, że tak nie jest.

Była w nim martwa kobieta.

A raczej to, co z niej zostało.

W

Kiedyś podobno przebywała w miejscowości wypoczynkowej, gdzie mój były współlokator pracował w charakterze kelnera. Zaprzyjaźnił się z damą, która była

bardzo zamożna. Pewnego dnia zmarła, a że nie miała żadnej rodziny, z którą utrzymywałyby kontakty, cały jej majątek przypadł jakiejś organizacji charytatywnej. Niedługo później mój współlokator znalazł w hotelowym koszu na śmieci paczkę z jej nazwiskiem i etykietką „Usługi Pogrzebowe”. Powodowany jedynym w życiu impulsem współczucia, zabrał paczkę do domu.

Właśnie ta paczka znajdowała teraz w moim Upiornym Pokoju.

Wychowałam się w rodzinie katolickiej. My, katolicy, chowamy naszych zmarłych. W całości. Nie miałam pojęcia, co zrobić z pakunkiem. Nie mogłam zadzwonić do mamy.

W ciągu kwadransa ściągnęłyby do mojego domu papieża uzbrojonego w kanister wody święconej i ogromny krucyfiks. Nie miałam pojęcia, co należało zrobić, ale wiedziałam na pewno, że błędem byłoby przechowywać pakunek pod moim dachem do końca świata.

Nie mogłam wyrzucić go z resztą rzeczy; wystarczy, że raz już ktoś to zrobił. Moja siostra zasugerowała, żeby ukryć pakunek w szufladzie komody, która miałyśmy zamiar wystawić na sprzedaż w następny weekend, ale niestety nikt jej nie kupił. Przyjaciółka Jamie wymyśliła, że można by wsunąć pakunek pomiędzy rzeczy, które chciałam wysłać do Czerwonego Krzyża, ale moim zdaniem był to zły pomysł. Łatwo namierzono by mnie jako nadawcę przesyłki, a z całą pewnością nie potrzebowałam Pudła z Trupem, które powracałoby do mojego życia jak bumerang.

1S2

I tak oto pakunek, zwany teraz „Evelyn”, tkwił na blacie w kuchni, która stała się jego czyścem. Przyszło mi do głowy, by pochować Evelyn w części podwórka przeznaczanej na grzebanie kotów, lecz doszłam do wniosku, że wykopanie przez mojego psa byłoby jeszcze gorszym losem niż pobyt w Upiornym Pokoju.

Rozważałam możliwość rozrzucenia prochów Evelyn. Nie miałam jednak pojęcia, gdzie rozrzuci się prochy martwej zamożnej kobiety. U jubilera? W luksusowej restauracji? W eleganckim sklepie obuwniczym? W gabinecie jej chirurga plastycznego?

A poza tym, kto miałby to zrobić? Czy musiał to być ksiądz, rabin lub pastor? Czy potrzeba było jakiegoś zezwolenia? Czy są jakieś grzywny za nielegalne porzucanie zwłok, a jeśli tak, to ile wynoszą? Nie wiedziałam, co zrobić ani kogo zapytać. Wiedziałam tylko, że uwięzłam w bardzo trupiej wersji filmu Woody ego Allena.

Tak mijały tygodnie, a ja prosiłam o radę każdą napotkaną osobę. Moja mama w końcu się dowiedziała i pełnym niesmaku tonem oświadczyła:

– Wiesz, takie rzeczy nie przydarzają się normalnym ludziom. Oto skutki przyjmowania szurniętych współlo-katorów. To po prostu jest chore.

Aż wreszcie, siedząc w kawiarni z moją przyjaciółką Michelle, spotkałam Mary, która jest jasnowidzem.

„A co mi tam” – pomyślałam sobie.

Powiedziałam jej, że mam problem.

Powiedziałam, że potrzebuję pomocy.

Opowiedziałam jej o Evelyn.

Mary pokiwała głową, wzięła głęboki oddech i zapytała:

^?3

– Jak myślisz, czego życzyłyby sobie ten pakunek? Nie miałam pojęcia. Miałam go w rękach wiele razy, ale nie otrzymałam od Evelyn ani jednej wskazówki.

Jako że Evelyn nie wyraziła żadnych życzeń, Mary zapytała, co ja chciałabym zrobić z pakunkiem. To akurat dobrze wiedziałam.

– Chciałabym wysłać pudło z powrotem sukinsynowi, który przywlókł je do mojego domu – odparłam.

– Zatem to właśnie powinnaś zrobić – orzekła.

– Ale nie wiem, czy prawo pozwala na przesyłanie zwłok pocztą – powiedziałam. Michelle obiecała zapytać swojego znajomego prawnika.

– Jeszcze jedno – dodała Mary. – Bardzo ważne jest, byś powiedziała pakunkowi, co i dlaczego masz zamiar zrobić. Musisz wyjaśnić Evelyn, iż nie chodzi o to, że jej nie chcesz, lecz że musi znaleźć się w miejscu, które jest jej przeznaczone.

– W porządku – skinęłam niepewnie głową, próbując wyobrazić sobie taką sceną i z trudem dławiąc śmiech.

– A jak już jej wszystko wytłumaczysz, wyślij ją w cholere jak najdalej od swojego domu. Igrasz z kosmicznym ogniem.

Zatem następnego dnia, w oczekiwaniu na telefon od Michelle i informację, czy

wolno mi zapakować Evelyn do paczki i wysłać pocztą umieściłam pakunek z powrotem na kuchennym blacie.

Zrobiłam sobie kawy i przyciągnęłam taboret.

A potem odbyliśmy miłą rozmowę.

— Słuchaj, Evelyn — zaczęłam — lubię cię, serio, i nigdy nie kazałam ci płacić czynszu, ale...

Vzń

I wtedy to zobaczyłam. Zobaczyłam, że naklejka „Usługi Pogrzebowe” jest przecięta na obu krawędziach pakunku. Podniosłam Evelyn. Spojrzałam uważniej.

Pokrywka nie była umocowana zbyt starannie.

Musiałam to zrobić.

Potrząsnęłam pakunkiem. Wybacz mi, Boże, ale potrząsnęłam martwą kobietą. I to całkiem porządnie.

Kompletna cisza.

Wiem oczywiście, że prochy nie ważą zbyt wiele — właściwie to prawie nic nie ważą — ale byłam cholernie pewna, że jeśli w pudle znajdowały się prochy całej Eve-lyn, to musiałabym usłyszeć ich ruch.

To miało sens.

Mój współlokator znalazł pudło w śmieciach. Evelyn zmarła znacznie wcześniej, pewnie dryfuje już w czystym, turkusowym jeziorze albo wraz z łagodnym podmuchem wiatru muska gałęzie sosen, a najprawdopodobniej leży w dużej, eleganckiej urnie.

Wszyscy wiedzą, że niezależnie od tego, jakim dupkiem jesteś, za wyrzucenie zwłok idzie się do piekła.

Ale czy również idzie się do piekła za wyrzucenie pudła, w którym zwłoki przebywały, zanim ich prochy zostały gdzieś rozrzucone? Jeśli Evelyn istotnie była majątną kobietą, to założę się, że miała drogiego prawnika, który spisał dla niej stosowny testament, opatrzony instrukcją dotyczącą sposobu postępowania z prochami, spoczywającymi teraz zapewne w podświetlonej porcelanowej urnie na marmurowym kominku w kwaterze głównej jej ulubionej organizacji charytatywnej. Założę się o milion dolarów.

*m

Nie czekałam zatem na telefon od Michelle; nie musiałam już czekać. Evelyn zostanie zaraz wysłana tam, gdzie jej miejsce — czyli z powrotem do sukinsyna, który ją przywłókł do mojego domu.

Włożyłam tylko pudełko do innego pudełka, zapisałam na nim adres i oddałam listonoszowi.

To, czego mój współlokator nie wiedział — i nie domyślił się, kiedy otrzymał coś,

co nie było prochami Eve-lyn — nie mogło mu zaszkodzić.

Jedno wiem na pewno.

Nigdy wcześniej naklejenie ośmiu znaczków nie rozbawiło mnie tak bardzo, że aż posikałam się ze śmiechu.

Oby się to więcej nie powtórzyło.

??- Kofi^jUjre- wiosny

Martha Stewart¹ powiedziała, że potrzebuję własnej przestrzeni.

Stwierdziła, że w ciągu jednego popołudnia mogę stworzyć własną, przyjazną przestrzeń. Wystarczy wybrać jakieś miejsce w domu i przystosować je do swoich potrzeb. Pokazała mi, jak to zrobić, przekształcając komórkę przy kuchni w olśniewający gabinet i w ciągu jednego popołudnia malując go, pokrywając ściany złotym wzorkiem, odnawiając podłogę i budując drewnianą etażerkę z drzew, które posadziła tego samego dnia.

Nie jestem idiotką; wiem, że Martha Stewart ma do dyspozycji cały magiczny arsenał telewizji, ale z pewną nonszalancją uznałam, że mogę dokonać tego, co udało się jej. Nie jest przecież lepsza ode mnie. Ja też mogę stworzyć gabinet w ciągu jednego popołudnia. Mogłabym zrobić zasłony z gałązek i płótna, gdyby tylko przy-

i Martha Stewart — popularna w Stanach Zjednoczonych gospodyni programów telewizyjnych i autorka poradników dotyczących gotowania, urządzania wnętrz itp. Jak twierdzą niektórzy, niemożliwych lub bardzo trudnych w realizacji (przyp. tłum.).

*fr

szła mi na to ochota. Gdybym miała piłę łańcuchową, byłabym w stanie wyrzeźbić szopkę z bloku lodu i upiec przepyszne ciasteczka truskawkowe z trocin i cukru

do zdobienia tortów.

Rywalizacja i zazdrość są do pewnego stopnia zdrowe, ale to nawet nie one mnie kierowały. Kierował mną raczej ogólny ton wypowiedzi Marthy. Był tonem pobłażliwej doskonałości, gdzieś na pograniczu szyderstwa. Wydawało się, że jej zależy, ale czy naprawdę tak było? Czy rzeczywiście uważała, że powinnam upleść dywanik z futra mojego psa, czy tylko się popisywać? Czy miałabym do siebie więcej szacunku, gdybym wypożyczyła walec i wybrukowała swój podjazd, czy też może Martha tylko zgrywa wszytkowiedząca? No i dlaczego właściwie oglądałam jej program?

Cóż, wiedziałam, dlaczego oglądałam jej program – nie miałam pracy, lecz miałam kablówkę. Nie był to wszakże jedyny powód. Coś mnie z nią łączy. Wierzcie lub nie, ale jestem z nią prawie spokrewniona.

Wskutek przedziwnego i niepokojącego zbiegu okoliczności jest to szczerą prawdą. Rzecz w tym, że mam daleką kuzynkę – siostrzenicę męża siostry mojego ojca.

Nigdy jej nie spotkałam. Właściwie nie wiem nawet, czy ona naprawdę jest moją kuzynką, ale brzmi to lepiej, niż gdybym opowiadała tę historię, powołując się na „jedną znajomą”. W każdym razie, kuzynka ta ukończyła Yassarl i została zatrudniona jako osobista asystentka Marthy Stewart. Jeśli liczycie teraz, że zaraz wyjawię jakąś od-

i Yassar – znany ekskluzywny college w stanie Nowy Jork (przyp. tłum.).

1?8

rażającą cechą osobowości Marthy (na przykład, że dłubie w nosie, prowadząc samochód, albo zostawia odciski na sedesie), mylicie się. Nic z tych rzeczy. Chcę natomiast ujawnić, że moja daleka kuzynka podobno wdała się w romans nie z Martha, a z jej mężem, wypisz, wymaluj podobnym do tego szpetnego Arystotelesa Ona-sisa. Facet ten rozwiódł się z Martha i podobno poślubił moją daleką kuzynkę,

zabrawszy ją następnie do Europy na potrójny miesiąc miodowy.

Ciotka, która opowiedziała mi tę historię, słynie ze skłonności do przesady, ale tym razem jej wierzę. Czasami nawet zupełnie mnie nie obchodzi, czy to prawda. Cieszę się po prostu, że mam powód, by litować się nad Martha.

Ta właśnie myśl przyświecała mi, kiedy postanowiłam przemienić Upiorny Pokój w nowy gabinet w ciągu jednego popołudnia, kiedy zrywałam zniszczoną wykładzinę, wymiatałam pajęczyny i pozbywałam się martwej kobiety, którą nieco wcześniej tam znalazłam. Kładąc pierwszą warstwę chabrowobłękitnej farby na ściany, chlapięłam nią sobie do oka i na jakiś czas oślepiłam. Po godzinie przepłukiwania oka ciepłą wodą wróciłam do pokoju, gotowa do pracy, ale zrobiło się już ciemno. Słońce zaszło. Jedno popołudnie dobiegło końca. Pomyślałam sobie, że to bez znaczenia. Nie udało mi się skończyć pracy w jedno popołudnie, wielkie rzeczy. Ale za to Martha Stewart jest rozwiedziona.

Następnego dnia skończyłam malowanie i zabrałam się za podłogę, polewając ją specjalnym żelazem, który miał usunąć z betonu wszelkie pozostałości starego kleju do wykładzin. Martha nie wspomniała jednak, że przy sto-

\^9

sowaniu tak silnych środków chemicznych bardzo przydałaby się odpowiednia odzież ochronna, na przykład kombinezon kosmiczny z NASA, ponieważ detergent równie dobrze radził sobie z rozpuszczaniem kleju, co skóry. Stało się to oczywiste, kiedy dostrzegłam jedynym sprawnym okiem, że żel wypalił mi dziurę w spodniach i właśnie dobierał się do mięśni łydki. Ale, co tam. Nawet jeśli doznałam oparzeń, które wymagały opieki medycznej, a może i przeszczepu skóry, jakież to miało znaczenie? Martha Stewart nadal jest rozwiedziona.

Kiedy podłoga była już gotowa, przystąpiłam do zdobywania mebli. Szczególnie zależało mi na wielkim, wspaniałym biurku. W pierwszym miejscu, które odwiedziłam, mężczyzna z potężnym strupem na głowie poprowadził mnie przez labirynt magazynów wypełnionych zardzewiałymi i zakurzonymi komodami i stołami. Pokazał mi jedno biurko. To było to: ogromne, zrobione ze złotego dębu, wykonane w latach trzydziestych, tak duże, że dałoby się pod nim spać. Byłam zachwycona, a kiedy wyraziłam swoje obawy co do możliwości przepchnięcia go przez drzwi gabinetu, facet ze strupem rozwiął je. Zapewnił, że jego pracownicy są ekspertami w tych sprawach. Mogli zmieścić wszystko i wszędzie.

Kupiłam biurko.

Dwa dni później na moim podjeździe zatrzymał się samochód dostawczy i wysiadło z niego dwóch „ekspertów”. Wyglądali mi nie tyle na ekspertów, co na pracujących przymusowo więźniów. Dałabym głowę, że słyszę motyw muzyczny ze Świata według

Bundych. Wśród stęknień i sapnięć, wyładowali biurko i ponieśli je do drzwi wejściowych,
???

gdzie huknęli kantem mebla o futrynę, zarysowując jedno i drugie.

Po kwadransie, z pomocą papieru i długopisu, eksperci wykombinowali wreszcie, jak pokonać drzwi frontowe. Moja wiara w słowa faceta ze strupem mocno się zachwiała, kiedy nieśli biurko przez przedpokój w stronę nowego gabinetu. Czuję już, co się zaraz wydarzy.

Obrócili biurko na bok i chcieli je wsunąć. Bez skutku. Postawili je na sztorc i spróbowali ustawić je pod kątem. Bez skutku. Wyjęli drzwi z zawiasów.

Wiedziałam,

że ten manewr również nie przyniesie efektów, kiedy jeden z nich zapytał, czy mam piłę.

– Gdzie jeszcze można ustawić to biurko? – zagadnął z kolei drugi.

Wzięłam głęboki oddech.

– Nigdzie – odpowiedziałam. – Tu jest moja własna przestrzeń.

– Nie możemy już pani pomóc – oświadczył jeden z nich. – Nie mamy pozwolenia od szefa.

Poczułam wściekłość.

– To właśnie szef panów powiedział mi, żebym się nie martwiła – zauważyłam. – Zapewniał, że są panowie ekspertami.

– No tak, ale nie mamy pozwolenia – odpowiedział mi, jakby to wszystko tłumaczyło.

– No to jak mam to wstawić do pokoju? – zapytałam, podczas gdy oni nakładali drzwi na zawiasy.

Wzruszyli ramionami.

– Widzi pani, musielibyśmy zadzwonić po pozwolenie, no wie pani, żebyśmy mogli tu zostać dłużej i wnieść to do pokoju, ale go nie mamy – wyjaśnił mi ekspert.

061

– Czego mianowicie? – spytałam.

– Pozwolenia – odparli chórem.

– Przestańcie się powtarzać i wynocha. Daję wam pozwolenie na opuszczenie mojego domu. Wynocha! – teraz już prawie krzyczałam. – Sami znajdziecie drzwi frontowe. To te duże, drewniane, które porysowaliście.

No i poszli sobie, a ja stałam koło biurka w przedpokoju i patrzyłam, jak odjeżdżają.

Wiedziałam, co na moim miejscu zrobiłaby Martha.

Ponownie zdjęłam drzwi z zawiasów.

Wyciągnęłam szuflady i śrubokrętem odkręciłam blat biurka.

Obróciłam biurko na bok i pchałam, kręcąc nim w różnych kierunkach, aż wreszcie znalazło się w pokoju pod oknem, a mój kręgosłup był tak powykręcany, że prawie przebijał skórę.

Przygarbiona, umieściłam blat na biurku i przykręciłam go. Nie mogłam się wyprostować ani chodzić, umierałam z bólu, ale co z tego?

Wiem, co na moim miejscu zrobiłaby Martha.

Kupiłaby sobie ciężarówkę środków przeciwbólowych, płacąc za nią pieniędzmi ze swoich nieprzyzwoicie wysokich alimentów i upiłaby się dżinem aż do zerwania filmu, jak każda rozsądna rozwiedziona kobieta.

Gdybym tylko dostawała alimenty...

ptrfrfó l ludzie

Prawda jest taka, że żal mi dwóch dziewczynek, które mieszkały przy mojej ulicy, Casey i Staci.

Nie wiem, może jestem frajerką, może jestem zbyt naiwna. Wierzę jednak głęboko, że jeśli sześciolatnie dziecko puka do moich drzwi i prosi o jedzenie, bo jego matka od dwóch dni nie wstaje z łóżka, to mam do czynienia z tragedią.

Dziewczynki (jedną w kompletnym stroju baletnicy) poznałam kilka miesięcy temu, kiedy zaproponowały, że za parę centów przytną mi żywopłot. Grzecznie odmówiłam.

Moim ogrodnikiem jest czterdziestolatek, który uważa, że krzaki należy przycinać,

dopóki nie zostaną z nich wyłącznie kikuty. Nie sądziłam, żeby ośmio- i sześciolatka były od niego lepsze.

Po historii z żywopłotem dzieciaki zaczęły przychodzić popołudniami i już po tygodniu od pierwszego spotkania ich wizyty stały się codziennym rytuałem.

Słyszałam dzwonek, ale przez szybką w drzwiach nikogo nie było widać. Wiedziałam

natychmiast, że krasnoludki (bo tak je nazwałam) są głodne.

063

Wkrótce jednak karmiłam już nie tylko dziewczynki. Zaczęły przyprowadzać swojego psa i przygotowywałam dla niego miskę Chappi albo Pedigree Pal. Za każdym razem, kiedy przekraczały próg mojego domu, któraś z nich namierzała jakiś interesujący bibelot, podnosiła go i pytała: „Czy mogę to dostać, jak już umrzesz?”

Żebraninę miały chyba we krwi lub nauczyły się jej od czwartego męża swojej matki. Któregoś dnia, pozbywając się z domu niepotrzebnych sprzętów, natrafiłam na zakurzony zagłówek łóżka, wykonany ze sklejki, a pochodzący z lat siedemdziesiątych. Należał niegdyś do ojca szefa mojej siostry, a po jego śmierci ni stąd, ni zowąd trafił w nasze ręce. Nie był mi do niczego potrzebny, więc wytaszczyłam go na podwórko, nakleiłam na nim informację: do wzięcia, i czekałam, aż ktoś go zabierze.

W ciągu pół godziny zagłówek przyciągnął uwagę czwartego męża, którego nazwałam „Jethro”, kiedy odwoził Casey i Staci na weekend do ich ojców. Wysłał do mnie krasnoludki z instrukcją, żebym zdjęła wywieszkę: do wzięcia, a sam cnił papierosa przy moim podjeździe.

Po tym wydarzeniu wymyśliłam całe mnóstwo sztuczek, na które mogłabym nabrać Jethro. Zabawiałam się pomysłem, że można by tak wynosić na podjazd śmieci, ściętą trawę czy zepsute urządzenia i naklejać na nich: do wzięcia, oszczędzając sobie trudu wywożenia tego wszystkiego na śmietnik. Jethro jednak przebił moje pomysły, kiedy wywlókł na swoje niechlujne podwórko zdewastowaną kozetkę bez poduszek w towarzystwie zepsutej suszarki na bieliznę.

064

Pewnego dnia Staci przepadła na kilka godzin, aż wreszcie zobaczyłam, jak jej starszy brat otwiera drzwiczki suszarki i wyciąga ją ze środka.

„Idę o zakład – myślałam sobie, przechodząc koło ich domu – że gdybym zawlokła tę kozetkę i suszarkę na moje podwórko i nakleiła na nich: do wzięcia, to czwarty mąż zabrałby je z powrotem”.

Miałam nadzieję, że szybko się wyprowadzą, ale mogłam sobie tylko marzyć.

Którejś niedzieli, wcześniej rano, zadzwonił dzwonek, a kiedy spojrzałam przez szybkę, nikogo nie było widać. To pewnie krasnoludki przyszły na śniadanie.

Choć miałam na sobie tylko piżamę, otwierałam drzwi w nadziei, że szybko pozbędę się Casey i Staci, ale natychmiast pojęłam, że wpadłam w pułapkę.

Stały tam sobie, ubrane tak samo jak dzień wcześniej, lecz tym razem na prawym ramieniu Staci siedział wielki, tłusty, brudny gołąb.

Poczułam dreszcze. Unikam ptaków. Unikam ich za wszelką cenę. Nigdy nie doświadczyłam miłego czy chociaż neutralnego spotkania z ptakiem i nigdy mi się takie nie przydarzy. Za wszystko odpowiedzialna jest karma. Kilka lat temu przejechałam ptaka i od tego czasu inne robią mi na głowę, więzną w moich szybach wentylacyjnych i ogólnie dają mi w kość. Widok ptaka jest dla mnie niczym widok antychrysta.

– Nie wniesiecie go do mojego domu – zapowiedziałam od razu.

– To jest Petey. Złamał skrzydło, a my się nim opiekujemy. Popatrz – tu Staci rozprostowała skrzydło gołębia, żeby zademonstrować, jak bardzo jest złamane.

”m

– W takim razie powinien być u was w domu i odpoczywać – odparłam.

– Ładny, prawda? – zauważyła Casey, głaszcząc jego łeb.

– Nic, co przenosi więcej robactwa i chorób niż szczury, nie może być ładne – poinformowałam dziewczynki. – A to właśnie robią gołębie. Są jak wielkie, grube latające szczury, które srają... to znaczy robią ludziom kupy na głowy.

Zabierzcie go do domu i koniecznie umyjcie ręce benzyną.

Zasmucone krasnoludki niechętnie odwróciły się i ruszyły przed siebie razem z Peteyem, a ja skierowałam się do kuchni, nieprzytomnie szczęśliwa, że udało mi się przeżyć spotkanie z ptakiem bez uszczerbku na zdrowiu.

Sekundę później usłyszałam krzyk dobiegający z podwórka. Po chwili zorientowałam się, że to krasnoludki przyzywają mnie przeraźliwym wrzaskiem. Miałam przemożną ochotę zignorować ich wołanie o pomoc, użyć argumentu w rodzaju: „Nie jestem waszą spią w trupa matką, same wywleczcie ją z łóżka”, ale otwierałam drzwi i dobrowolnie, choć z wahaniem, poddałam się krasnoludkom i brudnemu gołębiowi. Nie chciałam wychodzić na zewnątrz.

Na zewnątrz czaiło się niebezpieczeństwo.

Zaniepokojona, że gołąb oszalał i wydziobał oczy jednej z dziewczynek, wybiegłam na podwórko, gdzie krasnoludki kłębiły się pod jednym z ozdobnych krzewów.

– Pomóż nam, Laurie, pomóż nam! – wrzasnęła Casey. – Petey się nam wyrwał i schował pod krzakiem! Trzeba go ściąć!

?6

– Mowy nie ma – odpowiedziałam, kucając, by dojrzeć gołębia wiercącego się pod krzakiem i rozsiewającego dookoła robactwo. – Uspokójcie się. Niech jedna z was podejdzie od drugiej strony i jakoś go stamtąd wykurzamy.

Staci obiegała krzew, wkopała się pod niego i zaczęła krzyczeć: „petey; petey! petey;”, co naturalnie spowodowało, że przestraszony gołąb przydreptał do mnie. Złapałam go, choć wiedziałam, że nie powinnam.

– Macie to wasze ptaszysko – powiedziałam, wpychając Peteya w ręce Casey. – Teraz zabierzcie je do domu i tam trzymajcie.

Dziewczynki wzięły gołębia i ruszyły w stronę domu. Ledwo opuściły mój podjazd, a już zaczęły na nowo wrzeszczeć, więc obróciłam się i zobaczyłam jak Petey chybotliwym krokiem rozpaczliwie próbuje uciec na ulicę.

Dziewczynki rozszlochały się histerycznie, a ich lament stał się jeszcze głośniejszy, kiedy zobaczyły nadjeżdżający samochód jakieś osiem przecznic dalej.

– ooooo! On umrze, on zaraz umrze! – powtarzała Staci. – laurie! Musisz nam pomóc! On zaraz umrze!

I tak oto znalazłam się nagle na środku swojej ulicy, bez biustonosza i kapci, w podkoszulce i pasiastych spodniach od piżamy, zgarbiona, goniąc i próbując schwytać obrzydliwego ptaka, którego nienawidziłam. Im głośniej dziewczynki krzyczały, tym szybciej ptak uciekał, aż w końcu musiałam prawie za nim biec, z rozpostartymi ramionami i trzęsącym się biustem, którego nic nie trzymało na miejscu.

?&

Przez dwie przecznice goniłam środkiem ulicy ptaka, który desperacko dążył w stronę wolności lub nadjeżdżającego samochodu. Nie dziwiłam się mu. Ja też chętnie rzuciłabym się pod koła rozpędzonego pojazdu, gdyby czekała mnie przyszłość w pudełku po butach pod opieką tej rodziny. Casey i Staci biegły parę kroków za mną, jęcząc, a z ich oczu tryskały łzy.

W końcu udało mi się osaczyć ptaka, pogonić go w odwrotnym kierunku i zapędzić na podwórko należące do najbardziej niebezpiecznego z moich sąsiadów, Franka. Frank, w desperackiej, choć żalostnej próbie zaprzeczenia faktowi, że Boże Narodzenie należy już do przeszłości i jest luty, nadal trzymał na podwórku dekoracje świąteczne. Tworzyły one całą zagrodę Mikołajów, bałwanków i żółtookich elfów z dykty. Frank poinformował mnie, że okablował podwórko, by odstraszyć potencjalnych złodziei dekoracji, a kable były pod dostatecznie dużym napięciem, żeby „konia usadzić na dupie”. Chcąc uniknąć porażenia prądem, należało zachować ostrożność, więc kiedy zobaczyłam Peteya ukrytego między dwoma gargantuicznymi reniferami, podjęłam jedyną rozsądną decyzję.

– Dziewczynki, Petey jest tam! – krzyknęłam, wskazując na ptaka. – Idźcie po niego!

Zanurkowały pomiędzy Donner i Blitzenal i złapały Peteya, który bezradnie trzepotał złamanym skrzydłem.

– Mamy go! – wrzasnęły chórem, skacząc z radości.

i Imiona pierwszej pary reniferów z zaprzęgu Świętego Mikołaja (przyp. tłum.).
065

– Dobra robota – pokiwałam głową. – Teraz szybko weźcie go do domu. Biegiem! A jeśli jeszcze raz przyniesiecie jakieś zwierzę do mojego domu, poinformuję o tym opiekę społeczną!

Nie widziałam ich przez tydzień. Potem zadzwonił dzwonek; to musiały być krasnoludki.

Kiedy otwierałam drzwi, zobaczyłam smutne, zapłakane twarze.

– Co się stało? – zapytałam. – Coś z Peteyem?

– Tato powiedział, że Petey wyzdrowiał i odleciał – powiedziała Casey.

„A ja się założę, że jadłyście w tym tygodniu «kurczaka» na obiad”, pomyślałam.

– Wyprowadzamy się dzisiaj – powiedziała Staci. – W południe przenosimy się do nowego mieszkania.

– Chciałyśmy się pożegnać i dać ci buziaka – wyjaśniła Casey. – Będziemy za tobą tęsknić.

Gdyby zbliżał mi się okres, pewnie bym się popłakała. Ale i tak czułam się parszywie. Cholernie dobrze wiedziałam, co się stanie z tymi dziewczynkami. Każda z nich, jeszcze przed dwudziestką, będzie miała czworo lub pięcioro

dzieci,

każde z innym ojcem, bo nie przyjdzie im nawet do głowy, że życie może wyglądać inaczej. Ale przecież nie mogłam im pomóc.

– Nasza mama ma gazetę z twoim zdjęciem – powiedziała Staci – i my ją schowamy, żeby na ciebie patrzeć.

– Naprawdę? – zaśmiałam się.

– O tak! I jeszcze postanowiłyśmy, że też będziemy pisarkami – wyznała Casey. – Tak jak ty.

069

Co to jest, do jasnej cholery? Kino rodzinne? Kto napisał scenariusz? Danielle Steel? Jeżeli Bóg chce, żeby bolało mnie serce, to niech ześle na mnie jakąś chorobę, a nie przysyła dzieci, które odwalą za niego brudną robotę.

Nie miałam wyboru, musiałam wpuścić je do domu i dać im wszystko, o co poprosiły,

choć jeszcze nie umarłam. Trzeba było znaleźć dużą torbę, bo chciały wziąć mnóstwo rzeczy, na przykład starą, zakurzoną muszlę, śmierdzące mydełko, puszkę zupy pomidorowej i kostkę margaryny.

– Dziękujemy – powiedziała Casey – ale musimy już iść.

– Musimy się spakować przed przeprowadzką – wytłumaczyła Staci.

– Dobra, jeszcze jedno – przypomniałam im. – Kiedy będziecie kończyć dwanaście lat i mama zapyta, co chcecie na urodziny, macie jej powiedzieć... no, pamiętacie co?

Skinęły głowami.

– Powiedzcie jej, że chcecie dostać norplant1. Jasne?

– A co to jest norplant? – zapytały.

– To polisa ubezpieczeniowa – odpowiedziałam.

Obladowane torbami pełnymi moich rzeczy, krasnoludki poszły do domu. Wiedziałam, że najdalej za trzy miesiące zapomną o mnie.

Chciałabym mieć tyle szczęścia. Żeby sobie o nich przypomnieć, wystarczy mi rzut oka na zdewastowaną kozetkę i popsutą suszarkę, które ich czwarty tata zostawił na podwórku.

i Hormonalny podskórny implant antykoncepcyjny (przyp. tłum.).

pobili

Czekaliśmy na faceta od robali.

Znowu.

Była to już druga wizyta w naszym zapchlonym domu, ponieważ coś, czego użył za pierwszym razem, miało niszczącą moc świeczki zapachowej.

A jednak wciąż lubiliśmy Freda, naszego faceta od robali. Był prostym człowiekiem, niewysokim i przygarbionym, kolor skóry wskazywał, że tylko jeden nagły ruch dzieli go od wylewu, a zęby miał wielkości i koloru ziarenek kukurydzy.

Nasze pierwsze spotkanie z Fredem opóźniło się o siedem godzin, jako że nie przybył na umówione spotkanie o dziewiątej rano, aż do oficjalnego zachodu słońca. Zdażyłam już spisać go na straty, zdjąć biustonosz i wycisnąć parę pryszczu, kiedy usłyszałam pukanie do drzwi. Czoło Freda wyglądało jak pole naftowe i obficie się pociło. W miejscach, gdzie grube, trzyogniskowe szkła jego popękanych, brązowych okularów opierały się na policzkach, zgromadziły się słone kałuże. Twarz upodobniła się do genetycznie zmutowanej truskawki, ze skromnym wy-

\T\

jątkiem kukurydzianych zębów, a dyszał, jakby dopiero co wyszedł z kina porno.

– Może się pan czegoś napije? – spytałam, usiłując zdobyć się na uprzejmość. – Mamy herbatę mrożoną, wodę mineralną albo mogę zrobić panu lemoniady.

– Jasne – wyjąkał Fred pospiesznie. – Coś zimnego bym wypił.

– W porządku – powiedziałam, otwierając szafkę i sięgając po szklanekę. –

Skończył mi się lód, ale wszystko jest prosto z lodówki. Pasuje?

– Nie – odparł Fred natychmiast. – To musi być coś zimnego, koniecznie muszę wypić coś zimnego, nie ma mowy o ciepłym.

– Ale to będzie zimne – zapewniłam go. – Po prostu nie mam już lodu.

– Nie, nie, nie – potrząsnął głową – ja muszę coś zimnego.

„No dobra – pomyślałam, pojawia się, że oto spotkałam świra. – Fred najwyraźniej ma jakiś problem, i to chyba nawet nie jeden, ale przecież nie dam się sprowokować szurniętemu jakale, który siedzi w moim salonie i ma przy sobie zbiornik pełen trucizny”.

Wyjaśniłam zatem Fredowi, że mamy w domu pchły, a on zaczął otwierać pojemnik. Wycofałam się do sypialni i odebrałam telefon od przebywających na wakacjach przyjaciół, których miałam zabrać z lotniska następnego dnia. Zapisywałam właśnie informacje na temat ich lotu, kiedy poczułam, że ktoś klepie mnie w ramię. Obejrzałam się i zobaczyłam swojego chłopaka i Freda stojących tuż przy łóżku.

*tt

– Skarbie – powiedział mój chłopak. – Fred potrzebuje telefonu.

– W tej chwili? – szepnęłam. – To jest rozmowa międzymiastowa.

– Mówi, że to pilne – wytłumaczył mój chłopak. „W porządku – pomyślałam – może pchły tak się rozlazły i Fred musi wezwać wsparcie, a może rozlał truciznę w moim domu i trzeba zadzwonić po toksykologów”. Skończyłam rozmowę i wręczyłam mu słuchawkę.

Wykręcił numer.

– Halo – usłyszałam jego głos – tu Fred. Cisza.

– Fred. Fred od dezynsekcji. Trochę się spóźnię. Dzwonię, żeby powiedzieć.

Dobra. Na razie.

Mój chłopak i ja spojrzeliśmy po sobie.

– ?? było takie pilne? – spytałam.

– Pewnie dzwonił w sprawie swojej wizyty o dziesiątej rano – zasugerował mój chłopak.

Fred odłożył słuchawkę, skończył opryskiwanie domu i wyszedł bez pożegnania. Po prostu wskoczył do swojej furgonetki i zniknął.

Ale pchły nie zniknęły.

Kiedy tylko opuścił dom, całe ich gromady, które tymczasowo przebywały w schronieniu, powróciły w podskokach na dywan, w zemście kęsając nas po kostkach i nie tylko. Nigdy wcześniej tylu moich intymnych części nie pogryzł ktoś, kto nie postawił mi wcześniej kolacji.

Tydzień później miałam już dość i musiałam ponownie wezwać Freda. I znów umówiłam się z nim na dziewiątą rano.

^3

Nie spodziewaliśmy się, że przyjdzie punktualnie. Dlatego postanowiliśmy spędzić dzień w domu, czekając na Freda i oglądając telewizję.

Byliśmy właśnie w połowie programu Oprah Win-frey, kiedy zadzwonił dzwonek. Fred był zatem spóźniony o tradycyjne siedem godzin. Nie ma sprawy. Miałam na sobie biustonosz i dałam przyszczom spokój. Tym razem byłam gotowa na jego przyjście. Otwarłam drzwi, by ujrzeć Freda ociekającego potem.

– Wejdz, Fred – zaprosiłam go. – Mam dla ciebie lód.

Nalałam Fredowi dużą szklanę mrożonej herbaty z czterema kostkami słodziku, a kiedy opróżniał ją do dna, zauważyłam różnicę. Zęby Freda były nadal żółtawe, lecz tym razem mogłam je sobie obejrzeć w pełnej krasie. Fred się uśmiechał. Fred nas polubił.

Nie mógł uwierzyć, że w domu wciąż są pchły i pospieszył do furgonetki po pojemnik specjalnego środka owadobójczego, który miał je teraz, jego zdaniem, „już naprawdę wytłuc”. Usłyszałam gwałtowny syk, kiedy wycelował zbiornik w kanapę.

Skończywszy pracę w salonie, przyszedł do kuchni i stanął jak wryty na widok naszej suczki.

– Wie pan co? – zwrócił się do mojego chłopaka. – To nielegalne, ale mój syn poprosił mnie raz o spryskanie psa, bo ten miał pchły.

Myślałam, że żartuje.

– Nie, nie trzeba jej spryskiwać – zaśmiałam się. – Po prostu namoczymy ją w benzynie i wykurzymy z niej wszystkie pchły lampą lutowniczą.

#4

– Mówię wam – poinformował nas ze wzrokiem nadal utkwionym w naszej skowyczącej labradorce, która najwyraźniej wyczuwała jego niechlubne intencje – jak żem porządnie spryskał tego psa dianizonem, to już było po pchłach.

– Pewnie dlatego, że pies musi mieć skórę zanim dostanie pcheł – powiedział mój chłopak z niedowierzaniem.

– Dobra, róbcie, jak chcecie, a ja tu popryskam – oświadczył Fred, a my zdecydowaliśmy się iść gdzie indziej i dać mu pracować w spokoju. Na wszelki wypadek wzięliśmy ze sobą suczkę.

Siedzieliśmy w sypialni, paląc papierosy, czekając, aż Fred zabierze się za przedpokój i sypialnię. Trochę to trwało, ale nie chcieliśmy go popędzać, więc

zajrzałam do gazety, a mój chłopak – do książki, i paliliśmy nadal. Skończyłam lekturę i zorientowałam się, że Fred jeszcze jest w kuchni.

– Idź, sprawdź, co on tam robi – powiedziałam. – Może za dużo się nawdychał i zatrul albo połknął obłuzowany ząb i zakrztusił się na śmierć.

Mój chłopak wstał i cicho podążył w głąb przedpokoju, potem obrócił się i wrócił do sypialni.

– Nic mu nie jest – powiedział.

– Skończył spryskiwanie? – spytałam.

– Nie wiem – odpowiedział.

– Jak to nie wiesz? – nacisnęłam go.

– Siedzi tam – wyjaśnił – i ogląda Oprah.

– Ogląda telewizję? Fred ogląda telewizję? Myśli, że jestem niedorobiona? – wyszeptalam. – Bo ja myślę, że on jest. Ten gość jest opóźniony w rozwoju.

tfs

– Nie jest opóźniony w rozwoju – upierał się mój chłopak. – Nie może być. Przecież ma prawo jazdy.

– Ach, tak – odparłam, kiwając głową.

Poczekaliśmy więc do końca programu, Fred dokończył spryskiwanie i wyszedł bez słowa. Najzwyczajniej w świecie wsiadł do samochodu i odjechał.

To nie był koniec. Godzinę później, kiedy pchły powróciły, wiedziałam, że znów będę musiała po niego zadzwonić. Nagle ujrzałam na kuchennym blacie zbiornik pełen silnie trującego środka, który Fred po prostu zostawił nam za friko.

Z trudem złapałam oddech. Byłam niesamowicie podekscytowana. Środek pochodził wprost od producenta, czyli nie był rozcieńczony ani neutralizowany, a to oznaczało koniec pcheł. Koniec kęsania. Koniec swędzenia. Koniec strupów, najwyżej rak!

Popłakałam się ze szczęścia. Na samą myśl o tym moje serce śpiewało z radości. Życie bez pcheł wydawało się rajem. Postanowiłam spryskać wszystko, gdy tyl?o wyrwę się na jeden dzień z pracy. To było niczym Boże Narodzenie.

Dopóki następnego dnia nie zadzwonił dzwonek do drzwi.

Przyszedł Fred. Smutny.

– Cześć, Fred – powiedziałam. – Spóźniłeś się! Oprah skończyła się przed kwadrans!

– Zgubiłem sprej na robaki – obwieścił martwym głosem. – Nie zostawiłem go tutaj?

– nie – odparłam, próbując być dobrą aktorką.

– Jestem prawie pewny, że zostawiłem go w waszej kuchni – dodał. – Nie widziała go pani?

\7?

– nie – oświadczyłam.

– Bardzo go potrzebuję – powiedział. – Muszę go znaleźć. Zadzwoni pani, jeśli się znajdzie?

– Zadzwonię – obiecałam, nie proponując mu nic do picia.

Zamknęłam drzwi i pognałam do sypialni, gdzie czekał mój chłopak, ukrywający uprzednio pojemnik pod umywalką.

– Nie mogę zatrzymać tego spreju, prawda? – spytałam ze smutkiem.

– Kogo chcesz nabrać? – odpowiedział. – Umówiłaś się już przecież z Jamie i Jeffem przy bramie, kiedy wszyscy będziecie szli do piekła.

– Dobra, oddam sprej – powiedziałam z obrażoną miną. – Ale najpierw go sobie poużywam.

Wzięłam pojemnik spod umywalki i poszłam do salonu, gdzie wycelowałam i pociągnęłam za spust, pewnym i zdecydowanym ruchem. Spryskiwałam tak długo, aż zaczęłam się krztusić i musiałam otworzyć wszystkie okna w domu.

Dopiero kiedy dusząca chmura opadła i znikła, zdobyłam się na wykonanie telefonu do firmy Freda. Zostawiłam im wiadomość, że mój chłopak znalazł sprej, ale wziął go za lakier do włosów. Na szczęście lekarze liczą, że po kilku przeszczepach częściowo odzyska wzrok.

Czułam się parszywie, donosząc na siebie.

Wciąż nie miałam czystego sumienia.

Musiałam jeszcze trochę popryskać.

Spryskiwałam, dopóki mój chłopak nie zaczął krzyczeć, że powinniśmy zostawić choć trochę dla Freda, nawet jeśli miałby tego użyć wyłącznie jako grzechotki

\77

i jeszcze, że zaraz nas wszystkich pozabijam tym świństwem.

Cóż mogę powiedzieć, miał trochę racji. Zabiłam część z nas i bardzo mnie to cieszy.

Od tego czasu ani raz nie ugryzła mnie pchła.

od ???&??

W 1977 roku zaczęłam dietę. Głodziłam się, ale bez większych efektów, toteż gdy moi przyjaciele, Jeff i Jamie, zaczęli mnie namawiać, żebyśmy wszyscy zapisali się na siłownię, posłuchałam ich.

Wydawało mi się, że jedynym powodem, dla którego do tej pory tam nie poszłam, były wysokie blondynki o bujnych włosach, taliach osy i biustach za pięć tysięcy dolarów. Wyczynowcy z byczymi karkami, ubrani w jaskrawe trykoty, dyszący przy podnoszeniu ciężarów większych niż mój dom. Ludzie, którzy mieli po dwa komplety ubrań – jeden na co dzień, a jeden – do siłowni, prane natychmiast po przepoceniu.

Zdecydowanie nie mogłam stawić temu czoła. Przypomniała mi się szkoła średnia. Dziewczyny o idealnych kształtach, paradujące po szatni, szepczące, że mój biustonosz uszyty jest z dwóch beretów, a majtki nadają się na spadochron, improwizujące kankana i podśpiewujące: „Kto nosi szorty?”

To byłoby straszne. W szkole nienawidziłam WF-u i zapłaciłam najwyższej dziewczynie w mojej

\79

klasie, żeby sfałszowała dla mnie usprawiedliwienie od mamy: „Proszę zwolnić Laurie z wszelkich ćwiczeń fizycznych, które wiążą się z przegrzaniem ciała i poceniem. Laurie ma bardzo niesprawne pory i pot może wywołać u niej zawał. Znajduje się pod opieką lekarską. Dziękuję. M. Notaro”.

Ale ta siłownia była inna. Tak twierdzili Jeff i Jamie, którzy już ją odwiedzili.

Wcale nie przypominała lekcji WF-u. Nie trzeba było iść do szatni, jeśli nie miało się na to ochoty i nie było obowiązkowych strojów. Można było robić, co się chciało i jak długo się chciało i nikt się nie czepiał. Im dłużej Jeff i Jamie opowiadali mi o siłowni, tym bardziej przekonywałam się do tego pomysłu. W dodatku miałam iść z przyjaciółmi, więc nie mogło być tak strasznie. Oni też byli mięczakami. Wszyscy mogliśmy zostawić na sprzętach do ćwiczeń odciski naszych nie-wysportowanych ciał.

No i zapisałam się. Byłam z siebie strasznie dumna, kiedy umawiałam się wraz z przyjaciółmi na pierwsze diagnostyczne spotkanie przygotowawcze.

W umówionym dniu późno wróciłam z pracy i gorączkowo starałam się przygotować na „ten pierwszy raz w siłowni”. Jeff zadzwonił do mnie dokładnie w momencie, kiedy wchodziłam do domu, i zapowiedział, że przyjedzie po mnie za dziesięć minut. Przekopałam szafę i znalazłam jednego adidasa bez pary. Porwałam legginsy z podłogi i wciągnęłam je na siebie, by skonstatować, że są rozprute na szwie od krocza przez całe udo. Cholera. Potrzebowałam długiego, obszernego podkoszulka, który zasłoniłby dziurę w strategicznym miejscu. Znalazłam go w koszu na bieliznę

?8?

i narzuciłam na grzbiet, ale okazało się, że nie zakrywał odsłoniętych i niewydepilowanych okolic. W koszu, tuż pod podkoszulkiem, leżała para brudnych bokserów eks--chłopaka. Zawahałam się przez moment, a potem włożyłam je, psiknęłam dezodorantem na krocze i poczułam się cudownie świeża.

Musiałam jeszcze znaleźć drugi but. Udało mi się to dokładnie w momencie, kiedy Jeff wjeżdżał na podjazd. Wcisnęłam adidas, chwyciłam butelkę z wodą i wybiegłam.

Nasz instruktor nie był jednak równie punktualny, więc gość z obsługi wprowadził nas do małej sali, gdzie mieliśmy na niego czekać.

– Czujcie się, jak u siebie w domu – powiedział ze zdrowym uśmiechem na czerstwej twarzy.

– Jasne, dzięki – odpowiedziałam. – Mogę dostać popielniczkę?

Wytrzeszczył oczy i szczeka mu opadła.

– Yyyy – powiedział tylko.

– Ona żartuje, żar-tu-je! – wtrąciła się Jamie, rzucając mi ostrzegawcze spojrzenie.

Gość z obsługi uspokoił się i wyszedł. Teraz oboje spojrzeli na mnie wściekle.

– Obiecałaś, że będziesz się zachowywać przyzwoicie! – jęknęli chórem. –

Jesteśmy tu od trzech minut i już trafiliśmy na czarną listę. Mieliśmy nikomu nie mówić, że palimy!

– Dobra! – powiedziałam. – Nie wiedziałam, że przyszliśmy tu z taką misją. Po chwili zjawił się instruktor, pokazał nam film i wręczył ankiety dotyczące stanu zdrowia. Kiedy odpowie-

?

działam na wszystkie pytania, sięgnął po moją plakietkę z imieniem i nakleił na niej duże czarne P.

– Eeee... przepraszam – powiedziałam, zerkając na ten hańbiący znaczek. – Co to znaczy? Paskuda? Pasztet? Piotruś Pan? Podgatunek?

– Chodzi o plecy – wytłumaczył, wskazując na część mojej ankiety, w której opisałam problemy z wypadającym dyskiem. – Nie możesz wykonywać tych samych ćwiczeń, co inni. Musisz ćwiczyć we własnym tempie, powoli i ostrożnie. Innymi słowy, byłam kimś specjalnej troski. Byłam inna. Byłam w gorszej grupie. Jeśli trzeba będzie wybierać zawodników do drużyn, to mnie wezmą na końcu, tak jak w szkole średniej.

Już stałam się łamagą siłowni.

Po wypełnieniu formularzy inny instruktor, Brian, przyszedł pokazać nam, jak poprawnie korzystać ze sprzętu. Weszliśmy do sali ćwiczeń i moim oczom natychmiast ukazała się kobieta, choć ja wolę nazywać ją króliczką. Idealna. Miała piękne, bujne włosy, nienaganną, lśniąca opalenizną, prężne mięśnie i ramiona, na których na pewno nie kołysały się obwisłe worki skóry, kiedy machała do ludzi. Była ubrana w jaskrawy, wielobarwny, jednoczęściowy trykot i dopasowane do niego getry, skarpetki oraz ochraniacze na nadgarstki.

– Suka – stwierdziłyśmy z Jamie, spoglądając na siebie.

Brian zaczął od takiego urządzenia do rozciągania nóg, nie wiem, jak to się nazywa. Trzeba oprzeć stopę na czymś w rodzaju pedałów i naciskać na nie, prostując nogi, aż podniesie się przymocowane do nich ciężar-

132

ki. Jamie spróbowała pierwsza i wszystko wydawało się proste. Przyszła moja kolej.

Weszłam na urządzenie, postawiłam obutą w adidasa stopę we właściwym miejscu i zaczęłam pchać. Obserwowałam stopę, kiedy tak na przemian prostowałam i zginałam nogi i wtedy to zobaczyłam: brązową, owalną plamę na adidasie, dokładnie na jego czubku. Zatkano mnie.

Kocia kupa. Kot narobił mi na buta – nie po raz pierwszy, ale to zawsze jest okropne uczucie. Nie mogłam nic zrobić, najwyżej nalegać, by instruktor pokazał nam inne urządzenie, takie, które pozwoliłoby mi ukryć stopę.

– Tak nie można – wyjaśnił mi. – Trzeba robić wszystko po kolei.

– Chyba naciągnęłam ścięgno w kolanie – dodałam czym prędzej. – Jeśli będę dalej tak ćwiczyć, przyda mi się adwokat.

Brian poprowadził nas do kolejnego urządzenia. Tu trzeba było leżeć płasko na brzuchu z piętami pod sztangą i podnosić ją, zginając nogi w kolanach.

Brian zademonstrował nam ćwiczenie ze sprawnością zawodowca, którym zapewne był. Spróbowałam i ja. Ławeczka, na której mieliśmy leżeć, znajdowała się na wysokości pasa, za wysoko bym mogła się na nią wdrapać. Staralam się, jak mogłam.

Wyglądałam jak stary pies ze zwichniętym biodrem, próbujący nasikać do zlewu.

– Spróbuj z drugiej strony – poradził Brian. Przeszłam na drugą stronę i po omacku usiłowałam

wspiąć się na ławkę, podczas gdy Jamie i Brian obserwowali moje wysiłki.

?83

– Nie dam rady – oświadczyłam. – Czuję się, jakbym włąziła na żółwia morskiego. Brian pokiwał głową.

– Twoja koleżanka powiedziała mi, że masz się za komediantkę.

Mowy nie było, żeby mi się udało, chyba że z rozbiegu. Mogłam się rozpędzić, zrobić kilka okrążeń dokoła siłowni, nabrać prędkości i wreszcie wskoczyć na tę głupią ławkę.

– Spróbujmy czegoś innego – powiedział Brian, a ja zgodziłam się i podniosłam swój plecak, żeby przejść dalej.

I nagle coś wypadło na podłogę z bocznej kieszonki i potoczyło się po parkiecie, wyhamowując dokładnie przy nosku adidasa Briana.

W połowie opróżniona złocista paczka cameli.

– Aha – powiedział Brian, podnosząc paczkę i podając mi ją. – Palaczki. Palaczki-komediantki.

– To ona pali! – krzyknęła Jamie, wskazując na mnie.

– Daj spokój, czego się wstydzisz? – warknęłam. – To paczka papierosów, a nie heroina.

– Żadna różnica – westchnął Brian. – To chyba zły pomysł, żebyście dziś próbowały ćwiczyć na Super Schodach.

– Obiecałaś – szepnęła Jamie.

– Mam też na sobie brudne bokserki jednego faceta – wypaliłam.

„Trzeba było skserować usprawiedliwienie ze szkoły średniej”, pomyślałam.

Z)ob^ wyte-^Ku

Nie chciało mi się tam iść.

Nie miałam ochoty stroić się, czesać, robić makijażu i szukać odpowiedniej torebki.

Nie zależało mi na poznaniu Charlesa Barkleya, gwiazdy koszykówki.

Naprawdę nie.

Ale koleżanka bardzo chciała iść i tylko za jej namową zgodziłam się na tę całą kolację, choć wiedziałam, że trzeba będzie włożyć coś eleganckiego. W każdym razie czekał mnie posiłek za friko w szpanerskim hotelu.

Zaprosił nas mój kolega Huck, który wygrał bilety na loterii organizowanej przez zespół Phoenix Suns. Powtarzałam sobie, że to tylko kolacja, najwyżej godzina kulturalnej konwersacji, a do tego najprawdopodobniej darmowy deser. Zgodziłam się więc pójść z Sarą i zapo-

1 Charles Barkley – jeden z pięćdziesięciu najsłynniejszych koszykarzy amerykańskiej ligi NBA, zawodnik Philadelphia 76ers, Phoenix Suns i Houston Rockets, zaangażowany w działalność charytatywną, obecnie gospodarz popularnego programu rozrywkowego „Listen Up!” (przyp. tłum.).

?>

wiedziałam Huckowi, że przyjdziemy. Bądź co bądź, Huck był dobrym znajomym i fakt, że pomyślał o zaproszeniu właśnie mnie, sprawił, iż poczułam się wyróżniona.

Sara powiedziała, że przy naszym stole będzie siedział Danny Manning¹ i to miała być duża atrakcja. Skinęłam głową, choć nie miałam pojęcia, o kim mówi. A wcale nie przy wszystkich stolikach będą siedzieć znani koszykarze, dodała.

– Cóż, to naprawdę droga kolacja – rzuciła niedbałym tonem. – Gdybyśmy musiały zapłacić, wypadłoby po tysiąc dolarów za miejsce na balu.

– Powiedziałaś tysiąc dolarów? – spytałam głośno. – Tysiąc dolarów? Za te pieniądze mogłabym kupić sobie nową wątrobę i znowu zacząć pić! A w ogóle, to o jakim balu mówisz tak od niechcenia?

– To impreza dobroczynna – wyjaśniła. – Każdą imprezę dobroczynną nazywają balem takim czy owakim. Ale to zwykła kolacja. No, kolacja z tańcami. I dostaniemy w prezencie buty od firmy Nike!

– Słuchaj, kolacja z tańcami i biletami za tysiąc dolarów to bal! – upierałam się.

– No dobrze, to bal, ale jest za późno, żebyś mogła się wycofać – powiedziała stanowczo. – Huck wysłał już potwierdzenie zaproszenia w twoim imieniu, a firma Nike przygotowała dla ciebie buty.

Wiedziałam, że nie stać mnie na suknię balową, więc następnego dnia poszłam do sklepu z tkaninami, kupi-

i Danny Manning – amerykański koszykarz, w latach 1994-1999 zawodnik drużyny Phoenix Suns, obecnie – Detroit Pistons (przyp. tłum.).

136

łam trochę tafty, tiulu i szyfonu, odcięłam aksamitny gorset od starej sukienki i po prostu przymocowałam dół zszywkami, tworząc pieprzoną suknię balową, w której mogłam spożyć stek za tysiąc dolarów. Spryskałam się jeszcze odrobiną dezodorantu, nałożyłam na usta grubą warstwę szminki i byłam gotowa.

Kopciuch mógł iść na bal.

Sara przyjechała po mnie i ruszyłyśmy do Arizona Biltmore, najbardziej ekskluzywnego hotelu w mieście. Po przybyciu dostałyśmy nasze buty od przedstawiciela firmy Nike i znalazłyśmy swój stolik. Huck uśmiechnął się i przedstawił nas pozostałym gościom, czyli dwóm parom sióstr, które wyglądały mi na bliźnięta. Para A była czterdziestolatkami odzianymi w stroje z cekinami, których było więcej niż na ostatnim kostiumie Elvisa, bo gdy tylko odbił się od nich promień światła, czułam, że ślepnę.

Parę ? tworzyły barmanki z jakiejś snobistycznej restauracji w hotelu Biltmore, które zadzierały nosa w swoich różowych kostiumach od Ann Taylor i najwyraźniej uważały się za zbyt wyrafinowane, by z nami rozmawiać. Znienawidziłyśmy je

natychmiast, a ja chyba dałam temu wyraz, pytając kilkakrotnie, jakiego koloru fartuszki musiały nosić, pracując w „przemysle usługowym”.

Ale co mi tam. Czekałam na swój stek za tysiąc dolarów i nic mnie nie obchodziło,

nawet to, że kelner wylał mi piwo na głowę i kolana, a jakaś bogata kobieta nadepnęła swoim darmowym butem od Nike'a na brzeg mojej sukni i rozerwała ją w cholere. Ani to, że Danny Manning miał gdzieś swój obowiązek prowadzenia kulturalnej rozmowy z fanami koszykówki, a zarzumiała

vfr

barmanki zaczęły chichotać, a potem wychodzić do toalety z jego żoną.

Kiedy podano stek, okazało się, że jest to filet mignon, który śmiało można by serwować na kolacji za dwa tysiące dolarów od miejsca, więc wbiłam weń zęby. Był wspaniały, delikatny, soczysty, kremowy, jeśli można tak powiedzieć, i rozkoszowałam się każdym kęsem. Nie zwracałam uwagi na bliźniaczki w cekinach, które wychylały kolejne karafki białego wina i nie zauważyłam, że dokładnie w momencie, gdy wepchałam sobie do ust ćwiartkę dyni, stanął za mną Charles Barkley z ręką wyciągniętą na powitanie.

Spojrzałam w górę i zobaczyłam go. Lśniąca głowa koszykarza znalazła się tuż przy mojej, a ja gorączkowo próbowałam przełknąć całą ogromną ćwiartkę dyni, którą z trudem zmieściłam w ustach.

– Witam – powiedział, ściskając moją dłoń. – Dobrze się bawisz?

Przytaknęłam, zapewne z wytrzeszczonymi oczami, a on nadal czekał na moją odpowiedź uwięzioną tuż za dynią. Po chwili przeciskania się przez jamę ustną, odpowiedź wyrwała się wreszcie na wolność w postaci zduszonego jęku – jako że mój język przygnieciony był wciąż potężną porcją warzywa. Usłyszałam ten jęk od początku, powoli walczący o czystość artykulacji.

– dobra wyżerka – oto co powiedziałam.

Powiedziałam Charlesowi Barkleyowi „dobra wyżerka?” To była moja inteligentna i dowcipna odpowiedź? Te właśnie słowa podpowiedziała mi muza płasająca w moich ustach?

dobra wyżerka?

133

/

Uchodźca z Bośni, nie znający ani słowa po angielsku, wymyśliłby coś lepszego, wrzeszczałam na siebie w duszy.

Charles Barkley spojrzał na mnie i przechylił głowę na bok w geście zaskoczenia. Potem szybko uwolnił swoją dłoń, jak gdyby zauważył nagle, że moje ciało pokryte jest ropiejącymi strupami i zwrócił się do jednej z bliźniaczek.

Oszołomiona własną nieudolnością, zdałam sobie sprawę, że produkując odpowiedź, nie skorzystałam wcale z języka.

– Myśli, że jestem niedorozwinięta – usłyszałam swój głos.

O, jak to miło, pomyślał na pewno, przechylając głowę, że ktoś zabrał tę niedorozwiniętą dziewczynę na bal dobroczynny. To pewnie fundacja na jej rzecz, a ona występuje na plakatach.

– Myśli, że jestem niedorozwinięta – odezwałam się ponownie.

– Nie, wcale tak nie myśli – powiedziała Sara, próbując mnie pocieszyć. – Myśli najwyżej, że masz zdeformowane usta.

A bliźniaczki w cekinach bawiły się pysznie. Jedna z nich zrzuciła adidasy i paradowała po sali balowej krokiem striptizerki. Druga zajęła się śledzeniem Charlesa Barkleya, dotykaniem go w przesadnie poufały sposób i rozpaczliwymi próbami zwrócenia na siebie jego uwagi.

Chciała dostać autograf, a że alkohol dodał jej odwagi, pomaszerowała do najbliższego stolika i sprzątnęła z niego pięć zużytych serwetek, wpychając je sobie pod pachy.

0&9

Następnie podeszła do jakiejś Bogu ducha winnej kobiety i najzwyczajniej w świecie wyrwała jej z ręki długopis. Przez cały czas nie spuszczała oka z Sir Charlesa, którego widziała podwójnie.

Tańcząca bliźniaczka najwyraźniej się zmęczyła i wróciła do stolika, gdzie opróżniła kieliszek Sary. Natomiast jej siostra niczym dziecięciem pukała w ramię Charlesa Barkleya, dopóki się nie obrócił. Wręczyła mu serwetki i długopis. On uśmiechnął się uprzejmie, choć ze znużeniem, i zaczął składać podpis na poplamionym płótnie.

Tymczasem druga z bliźniaczek zapadła się pod ziemię. Miałam nadzieję, że poszła

do toalety, bo przydałoby się jej dużo zimnej wody na twarz. Zarozumiałe barmanki wyszły już dawno, wymieniwszy numery telefonów z żoną Dannyego Manninga i po raz ostatni odwiedziwszy łazienkę, w której – jak sądzę – poprawiły makijaż wspólną szminką.

Po zdobyciu autografu na wszystkich serwetkach bez-czelna bliźniaczka obwiązała je sobie wokół głowy i zaczęła nimi wywijać. Koszykarz grzecznie ją przeprosił i przyłączył się do swoich znajomych.

Nagle od strony stolika rozległ się głośny huk i naszym oczom ukazała się tańcząca bliźniaczka, która szybko wyskoczyła spod stołu, trzasnęła w niego ręką,

pomachała, powiedziała: „Cześć!”, i zachichotała.

– Trzeba będzie wezwać taksówkę – powiedziałam, uśmiechając się lekko ze współczuciem i kiwając głową.

Nie miałam zamiaru odwozić ich do domu i chciałam się wynieść stamtąd w diabły, zanim tupeciara znajdzie kluczyki od samochodu. Złapałam Sarę za rękę,

\9o

chwyciłam nasze prawdziwe buty i skierowałam się na parking.

Bal dobiegł końca, a mój stek za tysiąc dolarów zdażył już poddać się trawieniu i zamarynować w sokach żołądkowych.

Sprawdziłam rozdarcie w sukni i ruszyliśmy do domu. Żałowałam, że nie walnęłam tamtej bogatej kobiety albo nie zagroziłam jej przynajmniej pozwem do sądu za zniszczenie mojej oryginalnej kreacji. Już miałam naprawdę się wściec, kiedy zobaczyłam przy drodze połyskującą, błękitną postać, z czymś na kształt wielkich poduszek pod pachami, wyrzucającą zawartość torebki na ziemię, zapewne w poszukiwaniu kluczyków. Tuż obok połyskiwała druga postać, która straciła przytomność i padła na wznak na trawniku hotelu Biltmore.

Mogłam powiedzieć tylko jedno:

„DRINKI TEŻ NICZEGO SOBIE”.

N-?- ćfroćfee-

Będę brutalnie szczerą: nie znam się zupełnie na samochodach.

Wiem, gdzie jest popielniczka i jak tankować benzynę. To wszystko.

Gdyby ktoś spróbował nauczyć mnie, jak zmieniać oponę, zapomnę. Jeśli ktoś pokaże mi, jak sprawdzać olej, nie zrozumiem. Ustawienie zagłówka w siedzeniu zajmie mi trzy tygodnie. Po prostu nie nadaję się do samochodów.

Moja przyjaciółka Kate próbowała mi pomóc i nauczyć mnie, jak pompować opony.

Oczywiście nie mam tego przyrządu do mierzenia ciśnienia w kołach, więc strasznie się starała, żeby mi wszystko dokładnie wytłumaczyć.

– To znaczy, że nie mogę zostawić tego syczącego na kole, aż się napompuje? – spytałam ze zdumieniem.

– Pod żadnym pozorem – odpowiedziała – bo opona ci strzeli.

– I zedrze mi całą skórę z twarzy – powiedziałam, kiwając głową.

\9z

– Nie, nie – tłumaczyła – eksploduje na drodze, podczas jazdy. Wtedy trzeba się zatrzymać i wezwać pomoc drogową.

– Ależ skąd, słyszałam, że wszystko jest w porządku, jeśli nie wybuchną prosto w twarz – poinformowałam ją.

Kate zna się na tych rzeczach, ale byłam niemal pewna, że o oponach mówili w jakimś programie motoryzacyjnym. Kate wie, kiedy trzeba wymienić pompę paliwową, kiedy gaźnik wydaje dziwne dźwięki, a skrzynia biegów wypada spod maski.

Natomiast ja nie zwracam uwagi na dziwne dźwięki. Podkręcam tylko radio i udaję, że to nie w moim samochodzie.

W zeszłym tygodniu zauważyłam, że opony znów sflaczały i postanowiłam być samowystarczalna. Wrzuciłam monetę do pompy na stacji benzynowej, przy każdym kole policzyłam do trzydziestu i doszłam do wniosku, że to wszystko. Opony były duże, pełne i gotowe do drogi. Nie miałam żadnych obrażeń na twarzy. Kate byłaby ze mnie dumna. Był akurat poniedziałkowy poranek, a ja mknęłam autostradą, ponieważ u Nordstroma mieli wyprzedaż obuwia i musiałam zjawić się tam pierwsza. Wykonywałam właśnie skręt na najbardziej zatłoczonym odcinku, kiedy usłyszałam przeraźliwy odgłos, straszny zgrzyt, który zaczął się z przodu auta i świdrował mi w uszach. Radio by go nie zagłuszyło, choćbym ustawiła je na cały regulator. Od razu zorientowałam się, co się dzieje. W programie motoryzacyjnym gadali bzdury.

„Kate miała rację. Opony jednak wybuchają na drodze” – pomyślałam.

1&3

Przypomniałam sobie jej słowa i zatrzymałam samochód, podczas gdy stada innych aut przemykały koło mnie ze świstem. Ostrożnie wysiadłam, żeby sprawdzić, która opona strzeliła, ale okrążywszy samochód, ze zdumieniem stwierdziłam, że wszystkie wyglądają normalnie.

Wsiadłam do auta i ruszyłam ponownie, powtarzając sobie, że tym razem to naprawdę inny samochód wydawał te dźwięki. Wcisnęłam gaz i zgrzyt powrócił natychmiast.

„O Boże – pomyślałam – co to jest? Co się dzieje, kiedy wypadnie skrzynia biegów, kiedy zepsuje się sprzęgło albo wysiadzie pompa paliwowa?” Nie miałam pojęcia. Zadzwoeniłam po pomoc drogową ze swojej komórki i powiedziałam kobiecie przyjmującej zgłoszenie, że jestem bezradna.

– Potrzebuje pani holowania? – zapytała.

– Może – odpowiedziałam. – Co się dzieje, kiedy nawala skrzynia biegów? Myślę, że to może być problem.

– Nie da się wtedy ruszyć do przodu ani do tyłu – odparła.

– Aha. No, a jeśli to jest zepsute sprzęgło? Może to sprzęgło się zepsuło – zasugerowałam.

– A ma pani samochód z automatyczną skrzynią biegów? – spytała.

– Tak. No dobrze, a jeśli to pompa paliwowa? Chyba właśnie pompa mi wysiadła – kontynuowałam przerażona.

– Po prostu przyślę po panią pomoc drogową – oświadczyła.

§94

– Wie pani, ja się nie nadaję do samochodów – wyjaśniłam pokornie, kiedy odkładała słuchawkę.

Dziesięć minut później podskoczyłam na siedzeniu, bo ktoś zapukał do okna. Gliniarz. Zapomniałam włączyć światła awaryjne, głównie dlatego, że nie wiedziałam, które to są. Obniżyłam szybkość. Wiedziałam, gdzie jest pokrętło.

– Dzień dobry – zaczęłam szybko. – To moja pompa paliwowa. Albo skrzynia biegów.

Albo gaźnik. Albo tłumik. Wydaje mi się, że to tłumik. Wezwałam już pomoc drogową, będą tu za moment.

– Chyba nie potrzebuje pani pomocy drogowej – powiedział. – Wjechała pani na kanister.

– O! – odparłam.

– Jak długo ciągnęła to pani ze sobą? – zapytał. – Jakim cudem pani tego nie zauważyła? Kanister wielki jak telewizor! Ma pani lewarek?

Pomodliłam się, żeby go mieć i żeby wiedzieć, jak wygląda.

Otwarłam bagażnik (to też umiem zrobić) i pomogłam policjantowi wyjąć kilka lamp,

pudło z książkami i stertę brudnych ciuchów, o których zupełnie zapomniałam.

Byłam strasznie zawstydzona, kiedy znalazł lewarek, ustawił go na miejscu, dźwignął samochód, położył się na ziemi i wykopał spod auta największą puszkę, jaką w życiu widziałam. Ale prawdziwy wstyd poczułam dopiero, kiedy podniósł się z ziemi i spojrzał na mnie dokładnie w momencie, gdy podmuch powietrza z przejeżdżającej furgonetki podwiał mi spódnicę aż pod nos.

– Przyjechała pomoc drogową – powiedział, próbując się nie śmiać.

F&fYSWo pe-ti&^S&now^e-?

Wgryzałam się właśnie w najlepszą tortillę mojego życia w ulubionej meksykańskiej restauracji, kiedy ją zobaczyłam.

Zajmowała stolik obok, zaraz za plecami mojego przyjaciela Jeffa: moja nauczycielka matematyki z ósmej klasy. Wciąż miała kruczoczarne włosy, oczy w kształcie migdałów i wąskie, zaciśnięte usta.

O tak, to była ona.

Traciłam łokciem moją przyjaciółkę Jamie, która chodziła ze mną do szkoły od trzeciej klasy, a teraz siedziała przy mnie.

– To moja nauczycielka matematyki z ósmej klasy! – powiedziałam jej, kiedy podnosiła do ust kolejny kęs maślanej, złocistej, prawie przezroczystej tortilli.

– Pamiętasz, jak się nazywała?

– Ta sama, która kazała ci stać przy tablicy i dodawać ułamki, aż się rozplakałaś? – zapytała Jamie na użytek Jeffa i Kristin, naszych świeżo poślubionych przyjaciół, siedzących naprzeciw nas, jako że Jeffa poznałyśmy dopiero w szkole średniej.

\96

- Tak, ta sama – potwierdziłam. – Zatrzymała mnie kiedyś po lekcjach za karę, bo zapytałam, czemu nie można po prostu „zaokrąglić”.
- Miałaś bardziej przechlapane, niż wtedy kiedy ukradłaś z biblioteki wszystkie części Małego domku na prerii i bibliotekarka przyłapała cię z jedną wciśniętą w spodnie – dodała Jamie.
- Nie spodnie, tylko supermodne getry! – podkreśliłam. – Musiałam ją ukraść. Mało zarabiałam jako opiekunka do dzieci i nie miałam forsy nawet na karę za przetrzymywanie książkowej wersji Cudownych lat, którą dwa lata później znalazłam wśród zabawek mojej młodszej siostry. Wciąż nie mogę uwierzyć, że getry wyszły z mody!
- Mam jej nazwisko na końcu języka – przypomniała sobie Jamie. – Jej mąż uczył biologii w dziewiątej klasie... pani Petersen!
- pani petersen! – prawie wykrzyknęłam.
- A to jest pan Petersen – zauważyła Jamie z podnieceniem. – Pan Petersen siedzi razem z nią!
- Powinnyście podejść i przywitać się – powiedziała Kristin. – Na pewno ucieszyliby się na wasz widok.
- No, nie wiem... – odparłam, kręcąc głową. – Nie byłam najlepszą uczennicą...
- Wiem! – zaproponował Jeff. – Możesz teraz zrobić na niej wrażenie i dać jej poczucie nauczycielskiej satysfakcji, jeśli pokażesz, że umiesz już wyliczyć napiwek!
- Czemu nie uczyła was ta sama nauczycielka? – zapytała Kristin niewinnie.

\97

- No, wiesz – zaczęła tłumaczyć Jamie – w liceum uczyłam się przedmiotów ścisłych w takiej specjalnej grupie...
- Jak to „specjalnej grupie”? – ryknął Jeff. – To znaczy, że... że byłaś w grupie dla opóźnionych?
- Spojrzałam na Jeffa.
- To się nie nazywa „grupa dla opóźnionych” Jeff – syknęłam. – To się nazywa „kurs podstaw matematyki” i nie ma się czego wstydzić. Niektórzy są lepsi w przedmiotach humanistycznych niż ścisłych. Niektórzy chcą wachać kwiaty, a nie liczyć płatki! Niektórych nie da się dopasować do szkolnych rygorów! Niektórzy ludzie chcą ZAOKRĄGLAĆ!!!
- Byłam w grupie zaawansowanej – skończyła Jamie.
- A ja... – powiedziałam cichutko – byłam w... podstawowej.
- Przy stole zapadła niekończąca się martwa cisza.
- Wiesz co? – wystękał w końcu Jeff. – Teraz widzę cię w innym świetle. Dostajesz... jakąś rentę od państwa? Jakim cudem zrobiłaś prawo jazdy?
- Jak zakreślasz tylko odpowiedzi „C”, to w paru miejscach masz punkty jak w banku – warknęłam.
- Nadal uważam, że powinnyście do nich podejść – powtórzyła Kristin. – Pan Petersen na pewno się ucieszy, że Jamie jest teraz mikrobiologiem i prowadzi badania nad rakiem! A ty, Laurie, wcale nie potrzebowałaś matematyki, żeby pisać... no to, co pisziesz do gazety! Prawda? Idźcie się przywitać!
- Sama nie wiem... – zawahałam się, kręcąc głową.

?98

- No chodź! – szturchnęła mnie Jamie. – Pójdę, jeśli ty też pójdziesz!
- No dobra – poddałam się.
- W samochodzie są mikroskop i próbki – powiedziała Jamie, wyskakując z za stołu.
- Mam je przynieść?
- Ale ja nie mam przy sobie... tego, co piszę – zaprotestowałam. – To byłoby nie w porządku.
- Powoli podeszliśmy do stolika Petersenów, przy którym pani Petersen rozciągała usta, by upchnąć w nich dość spory kawałek taco. Natomiast pan Petersen, uzbrojony w nóż i widelec, zabierał się do ataku na swoją en-chiladę.
- Przepraszam – powiedziała Jamie, lekko się nachylając.
- Petersenowie spojrzeli na nas i gwałtownie zamarli.
- To ja, Laurie – pomachałam do pani Petersen. – Pamięta mnie pani?
- Zaokrąglanie!
- Oczy pani Petersen otwarły się szeroko, jej usta też były rozwarte na kształt litery „O”, jak gdyby ich właścicielka usiłowała przyswoić sobie przerażającą

nowinę.

– Laurie notaro! – powiedziałam z naciskiem, czując, że mnie nie rozpoznaje. – Byłam w klasie dla opóźnionych! Teraz piszę do gazety!

– To ja, Jamie – przedstawiła się panu Petersenowi moja uzdolniona naukowo przyjaciółka. – Pamięta pan, jak cięliśmy to krowie oko i Mikę Purcell zjadł siatkówkę, bo się założył, a pan kazał mu wymiotować do umywalki?

– Chce pani, żebym obliczyła dla państwa napiwek? – zapytałam panią Petersen. – Już umiem to zrobić!

\99

– Mam w samochodzie mikroskop i slajdy, ale ona nie pozwoliła mi ich przynieść – powiedziała Jamie, a potem dodała szeptem: – Była w grupie dla opóźnionych. Petersenowie zachowali milczenie, po prostu tam siedzieli, nic nie mówiąc i wpatrując się w nas.

– Emm... – powiedziała wreszcie Jamie. – Czy to państwo Petersenowie?

Na co oni, powoli i w pełnej synchronizacji, pokręcili głowami.

Pani nie-Petersen wskazała palcem na moją twarz.

– Ma pani fasolkę na policzku – powiedziała, wciąż trzymając tacy w drugiej dłoni.

Wycofaliśmy się do swojego stolika, a nie-Petersenowie nie odrywali od nas oczu.

– Nie uwierzycie – poinformował nas Jeff, kiedy wślizgiwałyśmy się z powrotem na swoje krzesła – ale tam siedzi wasza nauczycielka angielskiego ze szkoły średniej!

– Pani Gaio? – zapytałam i obie z Jamie obróciłyśmy się we wskazanym kierunku.

– Tak, to ona – stwierdziła Jamie.

Parę dni temu odwiedziłam duży dom towarowy, z wyłącznym zamiarem nabycia halki. W dziale z bielizną zauważyłam dwie nastolatki zajęte odwieszaniem całej góry biustonoszy, które pozbierały we wszystkich przymierzal-niach na piętnaście minut przed zamknięciem sklepu.

Przypinały ramiączka do plastikowych wieszaków tak szybko, jak mogły, rozmawiając przy tym dla zabicia czasu.

– Wyprzedaż, co? – zapytałam, na co one skinęły głowami z pochmurnym wyrazem twarzy. – Wiem, jak to jest. Ja też pracowałam przy biustonoszach.

I wykonując tę pracę, widziałam więcej piersi niż Lar-ry Flynt1.

Kiedy byłam młodsza i po raz pierwszy wyrzucono mnie z uczelni, moi rodzice wpadli na pomysł: powinnam znaleźć sobie pracę.

Złożyłam podanie w dużym domu towarowym, wezwano mnie na rozmowę kwalifikacyjną i natychmiast

i Założyciel i wydawca magazynu „Hustler” (przyp. tłum.).

2(XL

zaczęłam wyobrażać sobie, jak paraduję od przymierzal-ni do przymierzalni, udzielając bezcennych uwag przekarmionym ofiarom mody w rozmiarze xxl: „Zrób coś z tym ohydny brzuszykiem!”, „To są ręce czy salcesony?”, „Coś mi mówi, że znalazłaś się w złym dziale, mamuśka. Odzież ciężowa jest na drugim piętrze”.

Ale kierownik działu kadr spojrział na mnie i powiedział: „Co za szczęśliwy zbieg okoliczności! Potrzebujemy akurat kogoś do działu bielizny!”

Biustonosze i podwiązki. Moja wyobraźnia zmieniła kierunek i przywołała wspomnienie dnia, kiedy kupiono mi pierwszy biustonosz. Miałam wtedy dziesięć lat i mama zauważyła, że moje „groszki” (termin medyczny, którego używała na określenie moich nierozwinię-tych piersi) zaczynały kiełkować. I nagle znalazłam się w przymierzalni, gdzie starsza ekspedientka fachowo chwyciła moje piersi i opisała ich rozmiar jako „wi-nogronka na drodze do cytrynki”. Kiedy przymierałam biustonosz, wsunęła palce do miseczek, chcąc upewnić się, że winogronka mają wystarczająco dużo miejsca, by rozwinąć się w duże dzbany wina. – I jeszcze jedno – podsumowała, otwierając drzwi od przymierzalni. – Zanim się obejrzysz, będziesz kobietą, a jeśli zostawisz to czarne spaghetti pod pachami, to dostaniesz raka!

Lecz kiedy zaczęłam pracę w dziale bielizny, odkryłam, że klientki w momencie przekroczenia jego progu zmieniają się w prymitywne, dzikie bestie. Uważają, że znalazły się w swoistym azylu, gdzie wolno im rozpiąć bluzkę i bez uczucia wstydu czy skrępowania zaprezentować się sprzedawczyni i zapytać: „Czy ma pani ten roz-

%%

miar biustonosza?” Wydaje im się, że mają pełne prawo zabrać do przymierzalni

dwadzieścia biustonoszy i zostawić dziewiętnaście z nich nie na wieszakach, a na podłodze i kłamce. Uznają też za stosowne podchodzenie do osiemnastoletniej dziewczyny od biustonoszy w znacznym negliżu i zadawanie jej pytań: „Czy możesz mi to zapiąć?” „Myślisz, że to seksowne?” albo „Te majtki ściągające są za ciasne, pomożesz mi je zdjąć?”

Widziałam też mężczyzn kupujących jednocześnie uwodzicielskie, seksowne komplety bielizny w rozmiarze 36DD i maleńkie flanelowe koszule nocne, znajdowałam pozostawioną w przymierzalniach brudną bieliznę, podczas gdy jej właścicielki opuszczają sklep w nowej, a raz nakryłam nawet parkę bzykającą się w przymierzalni i musiałam wezwać ochronę.

Krótko mówiąc, dział bielizny był istnym piekłem. Wszelkie zasady moralne topiły się jak czekolada na widok metki Triumph. A najgorsze w mojej pracy było, że zawsze pakowałam się w kłopoty za to, że rozmawiałam z koleżanką przy odwieszaniu biustonoszy na piętnaście minut przed zamknięciem sklepu.

Tłumaczyłam, że mogę pracować i rozmawiać, ale i tak dostawałam naganę.

Patrząc na te dwie dziewczyny, gorączkowo miotające się między wieszakami, przypominałam sobie wszystkie doznane urazy psychiczne. Płaciłam właśnie za halkę, kiedy niska, krępa, siwa kobieta obcięta na pazia przedarła się przez wieszaki na podobieństwo rozjuszonej niedźwiedzicy i dopadła je.

– Może byście tak przestały kłapać i zabrały się do pracy! – ryknęła, a następnie skupiła swoją furię na

Z03

jednej z nich. – ty! Chodź ze mną! Znajdę ci coś do roboty!

Biedna dziewczyna odłożyła wieszak i podażyła za niedźwiedzicą przez labirynt szlafroków.

– Teraz to już na pewno tego nie skończymy – westchnęła druga praktykantka. – Nasza szefowa, Ei-leen, jest wredna! W zeszłym tygodniu jedna dziewczyna rozplakała się przez nią, bo biustonosze nie były powieszzone w porządku alfabetycznym.

Zrobiło mi się jej żal, bo aż nadto dobrze rozumiałam ich udrękę. Pokiwałam głową. A potem wpadłam na pewien pomysł.

Chwyciłam torbę z halką i wyszłam. Dwa razy obeszłam całe piętro wyprzedaży, sokolim okiem wypatrując celu, aż wreszcie zatrzymałam się przy dziale odzieży.

– Widziałyście tu może taką wredną siwą babę obcięta na pazia, podobną do nosorożca? – zapytałam dziewczyn.

Wzdrygnęły się.

– Chodzi pani o Eileen – powiedziały. – Słyszałyśmy przed chwilą, jak darła się w dziale spodni, ale na pani miejscu trzymałybyśmy się od niej z daleka. Podobno ugryzła jedną dziewczynę z działu bluzek, a nie była szczepiona na wściekliznę.

– Właśnie dlatego tu jestem – oświadczyłam i oddaliłam się we wskazanym kierunku.

Dojrzałam tę siwowłosą jędzę i postanowiłam, że nie dam jej uciec.

– eileen! – wrzasnęłam, a ona natychmiast zatrzymała się i odwróciła w moją stronę.

504

– Mogę w czymś pomóc? – zapytała z nagłym uśmiechem.

– Tak, może pani – odrzekłam moim najbardziej dorosłym głosem. – Słyszałam, jak okrzykała pani jedną dziewczynę z działu bielizny.

– No cóż, personel bez przerwy miele ozorami – roześmiała się. – Tylko zabawa im w głowie, pracować się nie chce! Cha, cha, cha!

– Myli się pani – powiedziałam stanowczo. – One bardzo ciężko pracują.

Wszystkie bez wyjątku. Oglądają potworne rzeczy, muszą dotykać obrzydliwych kreatur, być miłe dla grubych, prawie nagich kobiet i ich piersi. Codziennie napotykają nieprzewyciężone przeszkody, bo wiedzą dobrze, że biustonosze same nigdy się nie odwieszą na miejsce. A jak tylko to zrobią, ktoś je przymierza i zostawia na podłodze. Przecież to praca w nieludzkich warunkach!

– Ale... – zaczęła Eileen.

– Jeszcze nie skończyłam – przerwałam jej – może i te dwie dziewczyny rozmawiały, ale przy tym nie przerywały pracy. Niektórzy ludzie potrafią robić jednocześnie dwie rzeczy!

– Ja... – spróbowała wtrącić Eileen. Podniosłam palec wskazujący.

– Nadal nie skończyłam – kontynuowałam. – Bo pani się myli, Eileen. Nie miała pani racji, oskarżając je, i nie miała pani prawa na nie krzyczeć i jako klientka tego sklepu domagam się, żeby poszła pani teraz do działu bielizny i

przeprosiła je!

– Nie zdawałam sobie z tego sprawy – powiedziała Eileen, najwyraźniej zawstydzona. – Przepraszę je.

%*a

Po czym odwróciła się i chciała odejść. Zatrzymałam ją:

– Jeszcze jedno, Eileen. Ma pani ten rozmiar biustonosza? – zapytałam, rozpinając bluzkę.

????? w zębie-

Jestem pewna, że to był mój ulubiony ząb.

Solidny, lśniący, silny i krzepki: mały, biały kiel, umieszczony idealnie jako ostatni w rzędzie innych zębów z prawej strony mojej górnej szczęki.

Myślałam, że on też mnie lubi. Ze wszystkich sił starałam się być dla niego dobra, kupowałam mu czekoladę i gumę do żucia, a od czasu do czasu pocierałam go językiem, żeby wyrazić swoją miłość.

Ale bycie miłym nie oznacza wcale, że ten ktoś nie zbuntuje się kiedyś przeciwko tobie. Mój ząb zbuntował się tak, że krew ciekła mi po podbródku na dentystyczny śliniaczek.

W momencie wybuchu buntu nie robiłam nic szczególnego; jadłam żelkowe miśki i oglądałam telewizję, aż tu nagle ząb postanowił się uwolnić i odłamał się w postaci kilku ostrych, cienkich drzazg. Początkowo nie wiedziałam, co się stało – czułam się jakbym ugryzła grudę ziemi albo żwiru – ale kiedy wyplułam żelka, natychmiast dostrzegłam ślady masakry.

Zfr

Serce zabiło mi szybciej, bo w pierwszej chwili doszłam do wniosku, że w cukierkach był kawałek szkła. A to oznaczało wcześniejszą emeryturę i życie w dobrobycie dla panny Laurie No taro (po opłaceniu prawnika).

Postanowiłam przyjrzeć się dokładniej rzezonemu kawałkowi szkła, celem ustalenia, na jakie odszkodowanie mogę liczyć i czy będę mieszkać w willi na południu Francji, czy raczej w przyczepie kempingowej na parkingu, gdzieś w Missouri, i wtedy zobaczyłam coś, co złamało mi serce. Kawałek szkła był biały i wyszczerbiony. Rozpoznałam w nim fragment ludzkiego ciała i dotarło do mnie, że połowa mojego własnego zęba złamała się, pokruszyła i utkwiała w pomarańczowoczerwonej żelkowej masie, a ja mam problem.

Zdarzały mi się już takie sny, w których zęby były tak obluzowane, że jednym ruchem języka mogłam je wydłubać z dziąseł, niczym cegłę z przegniłych fundamentów. Miewałam sny, w których zęby wypadały po kolei tak szybko, że chowałam je do kieszeni i zaciskałam wargi, aby uchronić się przed następnymi stomatologicznymi poronieniami, aż wreszcie czułam się, jakbym miała pełno kamyków w ustach.

Przeraziłam się. W obliczu spełnienia najgorszych koszmarów, poczułam strach, od którego skóra zrobiła się lodowato zimna, za to wewnątrz płonął ogień. Szybko więc zdecydowałam, co powinnam zrobić w tej sytuacji.

Powinnam nic nie robić.

Za tą decyzją kryło się wspomnienie sprzed pięciu lat, kiedy to po raz ostatni odwiedziłam dentystę. Miałam ząb trzonowy, błyskawicznie przeżarty przez próchnicę, w stanie kompletnego rozkładu. W rezultacie na dziąśle

208

pojawił się paskudny ropień, który unieruchomił mi lewą połowę głowy pulsującym bólem.

Poszłam do dentysty mojej matki. Zbadał ząb i powiedział mi, że jest tylko jedno wyjście: ząb należało wyrwać. Po czym wepchnął mi rękę do ust i mocno go chwycił,

a ja zrozumiałam, że nie zamierza z tym zwlekać.

Nie miałam nawet czasu na myślenie, nie mówiąc już o jakiegokolwiek reakcji.

Poczułam tylko potężny nacisk na lewą szczękę, z której pan doktor – ani chybi pilny stażysta w obozie koncentracyjnym – wyrwał ząb.

Wydawało mi się, że wskutek tego nacisku szczęka pęknie mi na pół. Starałam się być dzielna, ale jakaś łezka wytoczyła się na policzek spod zaciśniętej powieki.

Nacisk ustał.

Otwarłam oczy.

Dentysta patrzył na mnie, z dłońmi opartymi na biodrach i szczerzył się w uśmiechu.

– A więc to tak? – powiedział, przechylając głowę na bok. – Beksa z nas dzisiaj,

co?

Ta uwaga tak mnie zszokowała, że nie ugryzłam go nawet, kiedy wepchnął mi rękę z powrotem do ust i zaczął naciskać jeszcze mocniej.

– No, jesteśmy już w połowie drogi! – zakpił.

Właśnie tam i właśnie wówczas zdecydowałam, że wolałabym wyrwać tego zęba własnymi rękami lub z pomocą piły łańcuchowej i wyciągarki, i chciałam już wyskoczyć z fotela, kiedy sadysta zaśmiał się i rzucił coś na srebrzystą tackę tuż przede mną. Spojrzałam w dół, by zobaczyć swój ząb, pokryty krwią i resztkami nerwów i pojęłam, że ten bydlak wyrwał go ze mnie gołymi rękami. Moja jama ustna została brutalnie sponiewierana.

20,9

Kompletnie mnie wtedy zatkało, ale pół roku później mogłam się śmiać, ponieważ zobaczyłam w wiadomościach, że mój dentysta-sukinsyn wylądował w więzieniu za niepłacenie podatków, posiadanie niedozwolonych substancji i próbę ich sprzedaży.

Wepchnięcie mi do ust całej ręki i wyrwanie zęba z mojej szczęki było niczym w porównaniu z talentami jego nowych sąsiadów z celi.

Tak więc ignorując najnowszą dentystyczno-żelkową katastrofę, działałam zgodnie ze swoim postanowieniem, wiernie je wypełniałam. Przestałam gryźć i pić prawą stroną i byłam bardzo ostrożna, używając szczoteczki do zębów.

Trwało to tak długo, aż poczułam pierwsze ukłucie bólu. Ukłucie przerodziło się w pulsowanie, pulsowanie – w rwanie, a rwanie – w ostre ataki. Wiedziałam już, że muszę coś z tym zrobić, i to szybko. Opowiedziałam o wszystkim koleżance z pracy. Zasugerowała, że być może czeka mnie leczenie kanałowe, które pozwoli ocalić ząb, a potem szczegółowo opisała całą procedurę, czyli wiercenie, śruby, igły wbijane w szczękę i na koniec, coś w rodzaju płynnej lawy.

Nie brzmiało to zachęcająco. Szczerze mówiąc, brzmiało jeszcze gorzej niż wyrywanie zęba gołymi rękoma kata, ale kiedy ból dotarł też do oczu i szyi, zadzwoniłam do nowego dentysty mojej matki.

Przyjęto mnie natychmiast i zaproponowano słuchanie muzyki przez słuchawki albo oglądanie telewizji, w której leciały akurat „Rozmowy w toku”. To miał być gabinet dentystyczny? Nie słyszałam krzyków ani jęków bólu i wreszcie dotarło do mnie, że jestem u dentysty bogatych ludzi.

Z?

Dwie asystentki, Mimi i Gigi, odziane w identyczne mundurki opatrzone plakietkami z imionami w kształcie zębów trzonowych, przedstawiły się i zrobiły mi zdjęcie rentgenowskie. Potem przyszedł dentysta i zbadał ząb. Oglądał zdjęcia i przedstawił mi możliwości, które i tak już znałam. Mogłam się zgodzić na wyrwanie (a to przywoływało oczywiście makabryczne wspomnienia) albo na leczenie kanałowe i założenie koronki, co z kolei wymagało dodatkowych zabiegów chirurgicznych na jakiejś kości w moich ustach.

– W którym wypadku zostanę najpierw uśpiona? – zapytałam, rozważając wady i zalety obu opcji.

– W żadnym – odparł dentysta. – Ale przy wyrywaniu dam pani zastrzyk z podtlenku azotu.

– Mam nadzieję, że ma pan chwyt zapaśnika! – zdecydowałam. – Proszę wyrwać to z mojej głowy!

Otwarłam szeroko usta, dentysta umieścił w nich kleszcze i kazał oddychać głęboko przez nos, w którym Gigi albo Mimi umieściła rurkę, jaką zwykle widzi się u zawałowców. Poczułam się szczęśliwa, choć mój ząb wyraźnie się obsuwał.

Tymczasem Sally, gospodyni programu, przeprowadzała wywiad z facetem oskarżającym swoją byłą żonę, że puszczała się na prawo i lewo oraz, cytuję, że „jej wnętrze było odwiedzane częściej niż wnętrze Statuy Wolności”.

Zanim jednak była żona zdążyła odpowiedzieć na zarzuty, dentysta wetknął mi coś do ust i kazał zacisnąć szczęki.

– Już po wszystkim – oświadczył radośnie. On był radosny, ja – w siódmym niebie.

3?

– Po fyfkim? – powtarzałam bełkotliwie, bowiem w ustach miałam opatrunek, a znieczulone nowokainą wargi były sparaliżowane jak po wylewie.

Delikatny dentysta skinął głową i pokazał mi resztki mojego zęba, czyste i lśniące. Na ten widok wybuchłam potokiem niezrozumiałych dźwięków, które miały oznaczać: „Pan nie jest dentystą, drogi panie! Pan jest artystą! Magikiem! Cudotwórcą! A jeśli da mi pan jeszcze te pigułki, które odbiera się apteki z

dowodem osobistym, to w razie potrzeby zapewnię panu alibi!"
Popatrzył na mnie zagadkowo i z lekkim uśmiechem na ustach wręczył mi receptę.
– To kodeina – powiedział – należy ją przyjmować z...
– Liii – lii! Liii-lii! – bełkotałam, usiłując wymówić słowo „whisky”.
– ..to znaczy, podczas jedzenia – dokończył. „No cóż – pomyślałam – trudno być dowcipnym z metrem gazy wciśniętym w usta i wargami sztywnymi jak u umarlaka”.
– Dajcie jej trochę tlenu – nakazał dentysta Gigi czy Mimi. – Jeśli pozwolę jej prowadzić w tym stanie samochód, będę musiał sfinansować jej wcześniejszą emeryturę.
Toteż Mimi (a może Gigi) otrzeźwiła mnie sporą dawką tlenu, na którą wcale nie miałam ochoty. Prawdę mówiąc, w tamtym momencie nie obchodziło mnie wcale, czy wyrwą mi wszystkie zęby, pod warunkiem, że będę mogła nadal oddychać podtlenkiem azotu. Mogłabym nawet wydepilować nogi woskiem, jeśli sprzedawano by go w zestawie z tym gazem.
Z&
Po powrocie do domu odczekałam chwilę, zanim odważyłam się to zrobić.
Poczekaj, aż rana się zasklepi, a przede wszystkim – aż podwójna dawka kodeiny zacznie działać.
Przesunęłam językiem po dźwięk, dotarłam do miejsca, w którym kiedyś był ząb, zbadałam je z boku i z tyłu, by wreszcie wsunąć go w wilgotną dziurę – była siedzibą mojego ulubionego zęba.
– I niech to będzie dla was ostrzeżeniem – zwróciłam się do pozostałych zębów. – Jeśli któremuś z was przyjdzie do głowy, żeby się wygłupiać, niech sobie popatrzy na tę dziurę. Zadrzecie ze mną i już was nie ma. Nie dostaniecie następnej szansy.
Tak się traktuje buntowników.
Bućfc&rtfe» Ar\&Il
Do niedawna nigdy nie mieszkałam w bloku. Nie wiedziałam, jak to jest słyszeć sąsiadów spuszczejących wodę, myjących naczynia czy rozmawiających przez telefon.
Ale sześć miesięcy temu przeprowadziłam się do Tucson, żeby zacząć nową pracę, znalazłam sobie maleńkie mieszkanie i od razu poczułam, że nie jestem sama. Moi sąsiedzi z mieszkania piętro niżej, zwani pieszczotliwie trollami, mieli skłonność do głośnych, namiętnych kłótni. Awanturowali się wściekle przed domem o piątej nad ranem, spierając się, które z nich ma kluczyki do samochodu, a dla podkreślenia wagi swoich słów walili w ścianę ciężkimi przedmiotami.
Poczułam więc ulgę, kiedy gospodarz domu powiedział mi, że nie odnowiono z nimi umowy, ponieważ „wyglądali jak ćpuny”. „Kto nie wygląda jak ćpun?” – pomyślałam, ale ucieszyła mnie ta nowina.
Zdażyłam już prawie zapomnieć o ich wyprowadzce, aż tu nagle, wczoraj wieczorem, usłyszałam pukanie do drzwi. Nie zamierzałam ich otwierać – do budynku
204
nie można się dostać, nie używając klucza lub domofonu. A poza tym nie miałam na sobie biustonosza.
Lecz kiedy szurałam kapciami w kierunku drzwi, a z mojego nosa ciekł alergiczny katar, ciekawość wzięła nade mną górę i nacisnęłam klamkę.
Stała tam.
– Dzień dobry – powiedziała niepewnie. Skinęłam głową.
– Czy to mieszkanie od podwórza? – spytała. – Narożne?
Znowu skinęłam głową.
Była wysoka. Smukła. Opalona. Miała włosy blond, czadowe okulary, krótką, postrzępioną fryzurę i ogolone nogi.
– To dobrze trafiłam – skonstatowała. – Właśnie się wprowadziłam, mieszkam piętro niżej. Jestem Angela.
Wcale nie, pomyślałam. Jesteś Urna Thurman. A ja, z chusteczką przyciśniętą do lewej dziurki w nosie, papierosem w drugiej ręce, szopą skręconych na barana włosów, których nie potrafię okiełznać, i bez biustonosza – ja byłam Janeane Garofalol. Cała prawda o żyrafach i hipopotamach. Natychmiast poczułam się beznadziejna.
Ona była Anty-Laurie.
– Późno... eee... chodzę spać – powiedziała (ponieważ upewniłam się, że jest modelką, mój umysł zaskoczył) – a ty pewnie wstajesz o ósmej?

i Janeane Garofalo – aktorka grająca z Umą Thurman w filmie Jak pies z kotem, w którym Thurman jest niezwykle piękną kobietą, a Garofalo – jej mało atrakcyjną i zakompleksioną koleżanką (przyp. tłum.).

#?

– O siódmej – odpaliłam. – Mam pracę.

– No więc rano... pewnie przez ten parkiet... kiedy chodzisz po pokoju, ja wszystko słyszę.

– Jestem na diecie – powiedziałam obronnym tonem. – Staram się zrzucić parę kilo.

Chwila milczenia.

– To te buty na wysokich obcasach. Robią straszny hałas. Czy mogłabyś je wkładać dopiero na korytarzu?

Wiedziałam, że powinnam powiedzieć: „Chcesz w zęby?” Mogłam oczywiście zaciągnąć ją na parking i spuścić jej łomot. Mam jaja i refleks, a nienawiść daje mi siłę orangutana.

Zamiast tego powiedziałam: „Jasne”, chociaż praca Angeli wcale nie była ważniejsza od mojej, chociaż moi przyjaciele powiedzieliby, że jestem większą laską niż ona, chociaż czułam się jakbym wróciła do siódmej klasy, a szefowa cheerleaderek przyszła na moją lekcję angielskiego i oświadczyła, że zajmuję jej miejsce i że zostawiłam na nim plamy potu.

Angela uśmiechnęła się i wróciła na dół, ale nie pozwoliłam jej odejść w spokoju.

Wrzasnęłam:

– Masz szczęście, że już nie piję, laluniu. Dokopałabym ci! A jutro o świcie obudzę cię – oczywiście już po zamknięciu drzwi – stepowaniem!

Wiem. To było żenujące. Ta lałunia po prostu mi się wyrwała.

Znalazłszy się z powrotem w swoim przestronnym, akustycznym mieszkaniu, chodziłam w kółko po pokoju, mamrocząc do siebie i gestykulując.

– Późno chodzisz spać, co? Ja to dopiero późno chodziłam spać! Jak myślisz, kto stworzył Zasadę Godziny

z&

Dwunastej? To byłam ja! Ja! – i tu wskazałam na siebie. – Otóż to! Jeśli przyszłam do domu przed siódmą rano, to jeszcze było wcześniej! Wstawałam, kiedy otwierano bary! Jadałam śniadanie po południu! I co ty na to, Panno Późno Chodzę Spać?! Nie wiesz nawet, co to znaczy późno! AMATORKA!!!

Rano, po przebudzeniu, byłam już spokojniejsza. Na palcach przeszłam przez pokój do ubikacji. I tam zamarłam. Jeśli Angela słyszała, jak chodzę, to mogła też usłyszeć każdy inny głośniejszy dźwięk. Odkręciłam kran z wodą, żeby zagłuszył moje odgłosy, ale nie mogłam się spokojnie załatwić, wiedząc, że Angela i tak usłyszy każdy plusk czy chlupot.

Nie mogłam włączyć telewizora, w obawie, że to ją obudzi. Umyłam się pod ledwo ciekącym prysznicem, żeby dźwięk płynącej wody nie był zbyt głośny. Wypiłam zimną kawę, ponieważ przyszło mi do głowy, że dzwonek w mikrofalówce mógłby obudzić Angelę. Jedyną rzeczą, którą mogłam zrobić w ciszy, było zapalenie papierosa. Liczyłam na to, że dym nie przedostanie się przez klepki parkietu, uruchamiając jej alarm przeciwpożarowy.

Na koniec, w nagłym przypływie brawury, użyłam suszarki do włosów, ale tylko przez moment. Postawiłam buty w holu, wzięłam plecak i papierosy i wyszłam z mieszkania.

Wcisnęłam buty na nogi dopiero na korytarzu i zaczęłam szukać kluczy.

Nagle poczułam na włosach podmuch wiatru z okna na tyłach mojego mieszkania i mogłam już tylko stać i patrzeć, jak przeciąg zatrzasnął drzwi, tak głośno, że aż

z&

brzęknęły szyby, tak głośno, że przestraszył gołębice, tak głośno, że obudziłby umarłego.

Uśmiechnęłam się, odwróciłam na pięcie i w podskokach podążyłam do wyjścia.

Ł&mStr^ ?????

Usłyszałam pukanie do drzwi.

Ciche, subtelne pukanie, zupełnie jakby ktoś nie chciał, żeby ktokolwiek usłyszał.

– Ktoś do mnie puka! – wyszeptalam do mojej przyjaciółki Dionne, która zadzwoniła do mnie między jednym a drugim programem telewizyjnym, żeby poplotkować. – Nie otwieram!

– A kto to może być?– zapytała szeptem Dionne. – Myślisz, że...
– Nie! – krzyknęłam prawie. – To nie może być ona! Kupiłam kapcie na wyprzedaży u Nordstroma za trzy dolary! Są różowe, z kokardkami i udało mi się znaleźć tylko dwa lewe, ale za to jestem cicho! To nie może być Angela!

Angela, moja doskonała, piękna sąsiadka mieszkająca piętro niżej, przyszła niedawno do mnie, by obwieścić, że każdego ranka budzę ją, tupiąc po salonie niczym słoń. W związku z tym kupiłam kapcie, nauczyłam się czytać z ruchu warg prezenterki porannych wiadomości, a do łazienki szłam dopiero w pracy, tak, by żaden hałas

#,9

Wiedziałam już, że (jeśli to w ogóle możliwe) wyglądałam jeszcze gorzej niż za pierwszym razem. Znowu nie miałam na sobie stanika, więc mój biust kołysał się jak na huśtawce. Włosy, rozczochrane niczym u stracha na wróble, kłębiły się wokół mojej twarzy. Zanim zadzwoniła Dionne, zajmowałam się wyciskaniem pryszczu,

rozmazana konturówka tworzyła czarne smugi na moich policzkach, ponieważ w drodze z pracy coś mi wpadło do oka, w ustach miałam papierosa, a z przodu podkoszulka wielgachną plamę po mleku z płatkami czekoladowymi, które jadłam na kolację. Wyglądałam jak Zelda Fitzgerald przed pożarem.

– Zawsze zastajesz mnie, kiedy wyglądam najlepiej – dodałam z wymuszonym, nonszalanckim uśmiechem, choć tak naprawdę miałam ochotę powiedzieć: „Możesz tu poczekać jakieś pół godzinki, bo jestem prawie ładna i potrafię to udowodnić”, „Chcesz wejść i zobaczyć, jakie mam stroje?”, „Tu, z dołu, widzę, że masz śpi-ka w nosie” albo „Jesteś prostytutką, prawda?”

Ale nie powiedziałam tego. Podziękowałam jej tylko, kiedy wręczała mi kartkę. Potem zabrałam swoją krostowatą twarz, zrujnowane poczucie własnej wartości i nową roślinkę z powrotem do mieszkania.

– Zabiję cię – wyszeptałam do roślinki.

– To była Angela, prawda? – zapytała Dionne, kiedy tylko podniosłam słuchawkę. i Zelda Fitzgerald – utalentowana żona Francisa Scotta Fitzgeralda, pisarza, autora m.in. powieści Wielki Gatsby. Cierpiała na depresję i często przebywała w ośrodkach zamkniętych. Zginęła w pożarze Highland Hospital ? marca 1948. (przyp. tłum.).

z&

– ??? – potwierdziłam ze smutkiem. – Znowu nie mam na sobie biustonosza i znowu wyciskałam pryszcze, chociaż mi tego zabraniasz. A ona wyglądała jak reklama domu mody Prada.

– Pokazałaś jej swoje ubrania? – spytała. – Co zostawiła pod twoimi drzwiami?

– Jakaś smrodliwą roślinę doniczkową – odparłam – i kartkę.

– Przeczytaj – zażądała Dionne.

Otwierając kopertę, zauważyłam, że Angela napisała na niej moje imię i nazwisko.

– Dionne, to dziwne – powiedziałam. – Nikt nie jest w stanie napisać poprawnie mojego imienia i nazwiska, nikt, nawet moja babcia. A jej się udało.

– Skąd wiedziała, jak? – zastanowiła się Dionne. – Nie mogła wiedzieć. Chyba, że gdzieś je zobaczyła. Może na twojej skrzynce na listy?

– Nie, tam jest tylko numer mieszkania. Gdzie ona mogła je zobaczyć? Chyba, że czytała...

– Chyba, że czytała artykuł, który o niej napisałaś – dokończyła Dionne ze spokojem. – Rządzisz, siostró!

– Niezupełnie, siostró – sprostowałam, spoglądając w dół. – Założyłam spodnie na lewą stronę.

SwthSbW-b i zboażerńcy

Moja mama zaczęła korzystać z poczty elektronicznej.

– Daj mi swój adres mailowy – zażądała, kiedy zadzwoniła do mnie. – Będziemy sobie korespondować w sieci.

Przeszył mnie nagły, lodowaty dreszcz.

Korespondować z mamą? W przestrzeni wirtualnej? To moja mama zna się na nowoczesnej technologii? A mały właśnie przejęły kontrolę nad światem?

Nie tak dawno temu moja mama zainteresowała się nowym, jasnoczerwonym światłem, które mrugało w jej kuchni.

– Twój ojciec chyba chciał mi zrobić niespodziankę – szepnęła, pokazując mi je.

– Wyobrażasz sobie, że robią teraz takie małe mikrofalówki?

– Mamo, to jest twoja automatyczna sekretarka – wyjaśniłam. – A ta wiadomość musi być ważna, bo zaprogramowałaś sekretarkę, żeby włączała się dopiero po

czterdziestu sześciu sygnałach. Chcesz odsłuchać?

– Nieee – odpowiedziała – jeśli to rzeczywiście takie ważne, to zadzwoni znowu.
?Z3

– Aha – powiedziałam – to pewnie wiadomość, którą nagrałam, kiedy ktoś próbował mi się włamać do domu w 1995 roku. Posłuchaj, jest naprawdę niezła. Mnóstwo płaczu i krzyku, i w ogóle.

Mama ma też telefon z opcją drugiej linii, ale w życiu by z niej nie skorzystała.

Kupiła magnetowid, którego nie da się uruchomić bez użycia magicznego bębna, starożytnego zaklęcia i szczypty czarodziejskiego proszku.

A teraz zachciało jej się zabaw z pocztą elektroniczną.

– Mamo – powiedziałam najłagodniej, jak mogłam – twoje największe techniczne osiągnięcie to przewidywanie numeru karty kredytowej operatorowi w telezakupach i to tylko dlatego, że nie przerwała ci właśnie rozmowa na drugiej linii. Nie umiesz nawet obsługiwać sprzętów domowych. Najpierw naucz się, jak włączyć kamerę wideo, a potem zajmiesz się Internetem.

– Ależ to dla mnie nic trudnego – zapewniła mnie – kupię sobie podręcznik Internet dla opornych.

– W porządku, a jak już będziesz w księgarni – dodałam – kup jeszcze Kompletny poradnik internetowy dla idiotów, Wyczerpujący poradnik internetowy dla matołów i Wielką księgę umarłych w Internecie. Może wystarczy.

– Nie bądź bezczelna – ostrzegła mnie. Następnego dnia dostałam maila.

„Cześć, Laurie. Tu mama, idę o zakład, że nie sądziłaś, iż uda mi się wysłać maila. Nie podoba mi się wcale strona telezakupów, wolę oglądać je w telewizji. Koniecznie odpisz!” Dwie godziny później zadzwonił telefon.

334

– Gniewasz się na mnie? – zapytała. – Czemu nie odpisałaś? Czekałam!

– Nie mam nic do napisania – wyznałam.

– No to napisz mi o tym! – powiedziała podniesionym głosem. – Uwielbiam, jak na ekranie pokazuje się komunikat: „Masz wiadomość”. Czuję się wtedy jak Meg Ryan. Nawiedziło mnie mroczne przeczucie. Wyobraziłam sobie mamę wykorzystującą Internet do załatwiania swoich Brudnych Maminych Interesów, ponieważ w jej internetowym świecie ja nie miałam głosu. To było jej marzenie, groźne i magiczne. Oczywiście wyobraźni zobaczyłam natychmiast lawinę maili, w których mówiła mi różne rzeczy bez ryzyka, że jej odpyskuje.

„Cześć, Laurie. Tu mama. Posprzątaj swój odrażająco brudny dom. Mama”.

„Cześć, Laurie. Tu mama. Idź do kościoła, bo pójdziesz do piekła. Wybór należy do Ciebie. Mama”.

„Cześć, Laurie. Tu mama. Wydepiluj te kłaki pod pachami, bo inaczej znowu zostaniesz sama. Mama”.

„Cześć, Laurie. Czemu nie odpowiadasz na moje maile? Mama”.

Okazało się jednak, że poczta elektroniczna jej nie wystarczała. Po programie Rosie O'Donnell zadzwoniła do mnie znowu.

– Co to jest eBay? – zapytała. – Czy może coś nieprzyzwoitego? Zobaczyłam to w Internecie i nie rozumiem, o co chodzi.

1 Rosie O'Donnell – prowadzi talk show koncentrujący się na tematach z życia gejów i lesbijek (przyp. tłum.).

z&

– Pamiętasz tę aukcję internetową, od której się uzależniłam w zeszłym roku? – przypomniałam jej. – To właśnie eBay.

– Chcę tam coś kupić – oświadczyła stanowczo. – Rosie prowadzi tam jakąś akcję dobroczynną, chciałabym się przyłączyć. Jeśli nie jest to coś związanego z pornografią albo forum dyskusyjne dla zбочeńców. Nie życzę sobie, żeby ktoś przyczepił zdjęcie mojej głowy do czyjś nagiego ciała, tak jak zrobili z Sophią Loren. Nie podoba mi się to. Możesz przyjść i pomóc mi z tym całym eBay?

– Tylko pod warunkiem, że pokażesz mi nagie zdjęcie Sophii Loren – odparłam.

– Nie pozwalaj sobie – ostrzegła.

Poszłam więc jej pomóc i znalazłam stronę, na której miała się zalogować.

– Musisz się zarejestrować jako użytkownik – wyjaśniłam. – Jakiego imienia chcesz użyć?

– Na pewno nie mojego własnego – zastrzegła. – Nie chcę, żeby ktoś wiedział, kim jestem. Oglądałam taki program i wiem, że inni mogą zdobyć mój adres i przesyłać mi... różne rzeczy. Ktoś na pewno spróbowałby umieścić moje nagie zdjęcie w Sieci. Niektórzy tak robią, widziałam to w telewizji! Internet jest

pełen świństw i zbrojeńców!

– Mamo – powiedziałam, usiłując wyperswadować jej te bzdury – to nie zawsze jest tak, że jakiś starszy gość weźmie cię za nastoletniego chłopca i prześle ci bilet na Florydę, żebyś go tam odwiedziła. To tak nie działa. Samo włączenie komputera nie jest równoznaczne z otwarciem miliona stron pornograficznych.

326

– A co by powiedział twój ojciec, gdyby jego przyjaciele zobaczyli w Internecie moje nagie zdjęcie? – odpaliła mama.

– Pewnie byliby dla niego milsi, ale to naprawdę tak nie działa. Ja osobiście rozdawałabym moje fotki wszystkim dokoła, gdybym miała pewność, że ktoś przyczepi moją twarz do zdjęcia gołej Pameli Anderson i jeszcze umieści to na stronie. W Kodaku nie nastarczyliby filmu. Proszę bardzo, bierzcie moją głowę, postraszcie mnie nią! Gdyby ktoś przyczepił zdjęcie mojej stopy do zdjęcia nagiej Pameli Anderson, byłabym w siódmym niebie, a wybrana część mojego ciała czułaby się niesłychanie wyróżniona.

Mama spojrzała na mnie z ukosa, a potem zamyśliła się na dłuższą chwilę.

– Hmm... Córy! Nadaje się na imię?

– Imię twojego psa? – zapytałam, wpisując je w formularzu. – No, nie wiem, mamo.

Jeszcze zainteresuje się tobą jakiś program rozrywkowy. Ale i tak nie możesz go użyć, jest już zajęte. Wybierz inne.

– Jak może być zajęte? – zapytała kłótniwie. – Córy to mój pies! Właśnie to imię chcę mieć w adresie! To przecież musi być imię łatwe do zapamiętania! A potem kazała mi wpisać imiona wszystkich zmarłych już psów, które kiedykolwiek należały do naszej rodziny, na przykład Bambi, Pookie, Ginger i Brandy.

– Mamo, to się robi niebezpieczne. Podświadomie nadajesz swoim psom imiona striptizerek – powiedziałam, ale zignorowała mnie. – Będiesz przyciągać samych zbrojeńców.

zfr

Przekonawszy się, że te imiona były również zajęte, zgodziła się ostatecznie na kolejną możliwą wersję imienia „Córy”, czyli „?????4”.

– No i jak ja mam to teraz zapamiętać? – zapytała nadasana. – Będę musiała zmienić imię psa! „Chcesz ciasteczko, ?????4?” „Patrzcie, Cory34 nabrudziła na podłogę!” Tak, rzeczywiście to świetnie brzmi. Pokaż mi wreszcie tę aukcję Rosie!

Kliknęłam na dyniowatą głowę Rosie i otwarła się nowa strona z ofertami aukcji na cele dobroczynne. Mama przyglądała się im, po czym z wściekłością rzuciła myszą.

– Rosie postradała chyba wszystkie zmysły, jeśli wydaje jej się, że zapłacę tysiąc dolarów za autograf Madonny! – powiedziała z niedowierzaniem. – Ja nawet nie lubię Madonny! To nie jest żadna pomoc! Chcę komuś pomóc, pewnie, tu mam pięć dolarów! Ale coś takiego? To jak prośba o nerkę! Wyłącz mnie z tego! I przestań się ze mnie śmiać, Laurie!

Tego wieczoru, po powrocie do domu, sprawdziłam pocztę. Dobrze wiedziałam, co przeczytam w mailu od mamy, ale i tak go otwarłam.

„Cześć, Laurie! Tu mama. Jeśli napiszesz o tym do gazety, to Cię zabiję. Mama”.

– Słońce już weszło – powiedziała moja przyjaciółka Jamie, kiedy wspólnie z jeszcze jedną przyjaciółką, Krysti, mknęłyśmy autostradą w stronę Pasadeny, do której wybrałyśmy się na zakupy. – Czas coś zjeść!

Ja też umierałam z głodu i ślinka mi ciekła na myśl o wielkim jabłku w czekoladzie, które zawsze kupuję w starej części Pasadeny, kiedy jedziemy tam na zakupy. To najlepsze jabłko na świecie. Najpierw zanurzają piękne zielone jabłko w kleistym karmelu domowej roboty, potem w białej czekoladzie, następnie obtaczają w pokruszonych herbatnikach, a na koniec ponownie spryskują je całe białą czekoladą. To jak kawałek nieba na patyku i jedyną rzeczą, która mogłaby je jeszcze ulepszyć, jest odrobina prozacu.

Wizja jabłka w czekoladzie tańczyła w mojej głowie, kleista, chrupiąca i niemalże zdrowa (ze względu na zawartość jabłka).

– Kupię sobie niebo w gębie – oświadczyłam. – Jabłko w czekoladzie wzywa mnie do Pasadeny! Już to czuję!

^9

Jamie i Krysti spojrzały po sobie.

– Nie ma mowy – powiedziały niemal zgodnym chórem. – Jak dotrzemy do Pasadeny,

nie myśl nawet o jedzeniu tego jabłka, przynajmniej dopóki stoisz koło nas. Nie mamy zamiaru brać udziału w Cyrku z Jabłkiem w Czekoladzie.

Zaparło mi dech w piersiach.

– Myślałam, że mogę wam zaufać! – krzyknęłam. – Nie powinnam była mówić żadnej z was o tym Wypadku z Jabłkiem w Czekoladzie! To nie był żaden cyrk, to był zwykły wypadek!

Do Wypadku z Jabłkiem w Czekoladzie doszło kilka miesięcy wcześniej, kiedy podczas zakupów natknęłam się na cukiernię. W jej oknie wystawowym lśniło zielone jabłko oblane karmelem i obtoczone w okruskach herbatników. Nie zrobiłoby na mnie większego wrażenia, nawet gdyby miało na sobie moje imię wypisane białą czekoladą. Poczułam, że musi być moje, ale postanowiłam zjeść je dopiero w domu, by rozkoszować się jego smakiem w zaciszu czterech ścian, które jest właściwym schronieniem dla takiej namiętności.

Wracając na autostradę, zauważyłam filię swojego banku. Chciałam zdeponować czek,

który miałam w torebce, więc włączyłam się do długiej kolejki dla zmotoryzowanych i czekałam. Czekając, zerkiałam na jabłko połyskujące z siedzenia pasażera. Podniosłam je, chwytając za brzeg torebki, patrząc i podziwiając, a potem rozerwałam celofan jak dzikie zwierzę i zatopiłam w owocu moje okazałe siekacze.

I nie mogłam ich wyciągnąć. Problem w tym, że przed atakiem nie wyliczyłam sobie dobrze siły nacisku,

?30

a zagłębiwszy zęby w jabłku, nie miałam ich jak z niego wydostać.

Utkwiły tam na amen.

– Eeee! Eeee! – charczałam, mocując się z jabłkiem i próbując wyszarpnąć je z ust. Nie mogłam jednak zrobić tego zbyt energicznie, ponieważ moje dziąsła krwawią i obawiałam się, że zamiast wyrwać zęby z jabłka, wyrwę sobie zęby razem z dziąsłami. – o uu oei – jęczałam (tłumaczenie z pustymi ustami: „O mój Boże!”),

bezsukutecznie manewrując przy patyku, na którym osadzone było to чудо. I wtedy wpadłam na pomysł. Rozwarłam szczękę najszerszej, jak mogłam, przekonana, że jeśli uda mi się wgryźć w jabłko dolnymi zębami, to rozerwę ją na części i wyswobodzę siekacze.

Wgryzłam się. Mocno. I w tym samym momencie pojęłam jednak ogrom popełnionego błędu, ponieważ uderzyła mnie fala bólu. Zrozumiałam, że naciągnęłam jakiś wielki, niechętny do współpracy mięsień twarzy i szyi i zostałam chwilowo sparaliżowana.

– aaaaaaa! – krzyknęłam z bólu, naciskając hamulec i wczepiając się w jabłko obiema dłońmi. Dzięki tym zapasom udało mi się w końcu odgryźć potężny kawałek i uwolnić zęby. Kawałek był jednak tak wielki, że nie mieścił mi się nawet w ustach. Próbowałam go pogryźć, a tymczasem sok ściekał mi po brodzie, a małe odgryzione kęsy wypadały z ust. Wtedy właśnie podniosłam wzrok i zobaczyłam zespół złożony z matki i syna, gapiących się na mnie przez okno swojej białej furgonetki, zaparkowanej tuż obok mnie. Szczęki opadły im do kolan.

Co mogłam zrobić? Pomachałam im i gryzłam dalej.

z&

Poprawiłam lusterko wsteczne, by zetrzeć sobie sok z twarzy i zobaczyłam, jak wyglądam. Na podbródku, nosie i szyi miałam rozmazane okruszyny, sok i karmel. Jedna smuga ciągnęła się niemal do ucha. Kiedy próbowałam zetrzeć je za pomocą celofanu, zauważyłam, że ludzie w furgonetce śmieją się ze mnie. Matka ocierała łzy z oczu.

Postanowiłam wówczas, że w przyszłości będę wystrzegać się Wypadku z Jabłkiem w Czekoladzie, nosząc przy sobie zawsze nóż i widelec i to właśnie próbowałam powiedzieć Jamie i Krysti, kiedy parkowałyśmy samochód. Ale one nie wierzyły mi za grosz.

– Mowy nie ma, niedojdo – powiedziała Krysti. – Bóg raczy wiedzieć, co zrobisz z taką bronią. Jeszcze pokaleczysz tym nożem którąś z nas, jak ci zwróci uwagę, że masz zatkany nos.

– A drugą zakłujesz widelcem, bo powie ci, że wyglądasz trochę jak prosiak z rożna, taki z jabłkiem wetkniętym do pyska – dodała Jamie. – Wiesz, czasami myślę, że gdyby przebadał cię ktoś z opieki społecznej, to zakwalifikowałabyś się jako upośledzona.

– Serio? – zapytałam, próbując nie cieszyć się przedwcześnie.

Dotarliśmy do sklepu z jabłkami. Jamie i Krysti poczekały na zewnątrz, a ja weszłam i nabyłam swój smakołyk. Jabłko w czekoladzie, opakowane w ładną celofanową torebkę i przewiązane wstążeczką. Było piękne. Podniosłam je do światła, by podziwiać jego doskonałość, i obracałam patykiem, zyskując pełny obraz.

?

– A co to jest? – zapytała Krysti, wskazując palcem dziwaczny szczegół na jabłku. Wyglądał jak duży, biały kawałek kokosa.

– Hmm – odparła Jamie, przyglądając mu się uważnie. – Chyba masz konkurencję. Ale bohater tego Cyrku z Jabłkiem w Czekoladzie stracił ząb.

«foS&&& tj^Ochę ptOG^yW^

Zobaczyłyśmy je przez okno, stojąc przed restauracją i czekając na stolik.

Były lśniąco, parujące i lekko przypieczone na wierzchu.

Małe bułeczki posmarowane masłem czosnkowym. Niebo na talerzu.

– Oczu nie mogę od nich oderwać – wyznałam mojej przyjaciółce Jamie, z twarzą przyciśniętą do szyby. – Myślisz, że gdybym poprosiła tych ludzi przy stoliku, to daliby mi jedną do spróbowania?

– Poproś o dwie – odparła Jamie z naciskiem.

– Halo, przepraszam – zawołała kelnerka, wyglądając do nas na ulicę. – Halo, proszę pań!

– Do nas pani mówi? – zapytała Jamie. – Jest już dla nas stolik?

– Nie – odpowiedziała ostrym tonem. – Przestańcie się ślinić przed oknem, odstraszcacie klientów!

Jako że stałyśmy przed najmodniejszą restauracją w Los Angeles – a tuż za rogiem było nowe mieszkanie Jamie – goszczącą wyłącznie klientów na topie, mia-

Z34

łyśmy poważnie przechlapane. Wprawdzie uniknęłyśmy naszego standardowego zestawu „dres plus buty sportowe”, ale i tak nie byłyśmy wystarczająco modnie ubrane, albowiem zostawiłyśmy w domu nasze kozaki na platformach z fioletowego zamszu i podwójne implanty biustu. Już w momencie wkroczenia do restauracji dostrzegłam różnicę między „nami” i „nimi”.

– Na pewno jesteście w odpowiedniej restauracji? – zapytałam Jamie, która oddawała właśnie kluczyki parkingowemu. – Nikt tutaj nie waży więcej niż pięćdziesiąt kilogramów. Albo zorganizowali casting do Krzyku 15, albo to najpiękniejsi bezdomni, jakich w życiu widziałam.

Kelnerka, zaopatrzona w słuchawki i walkie-talkie, pospieszyła poinformować nas, że trzeba będzie czekać półtorej godziny. Zmieniła zdanie, kiedy Jamie wspomniała o naszej rezerwacji.

– Możecie poczekać tam – powiedziała, wskazując na chodnik.

Wychodząc z restauracji, zauważyłam bułeczki leżące za szybą oddzielającą nas od Ziemi Obiecanej. Wtedy właśnie kelnerka wywołała nasze nazwiska i wezwała do środka.

– Proszę za mną – powiedziała, podchodząc do nas w swoich łomoczących, masywnych butach.

Jamie i ja podażyłyśmy za nią posłusznie do naszego stolika i zajęłyśmy miejsca.

– Chcę bułki – powiedziałam natychmiast. – Mnóstwo bułek.

hokus-pokus! Anioł Stróż Ciepłych Bułeczek i Skrobi chyba usłyszał moja modlitwę,

ponieważ na naszym

?

stoliku natychmiast pojawił się mały talerzyk, a na nim – sześć lśniąco bułek.

– Sześć? – wykrzyknęłyśmy równocześnie. – To za mało! Wypada tylko po trzy na osobę! Czy my wyglądamy na modelki?

Zjawił się kelner, który popatrzył na nas z wyższością, a potem przyjął zamówienie. W ostatniej chwili zdecydowałam, że koniecznie musimy zamówić grillowany czosnek, który idealnie pasuje do tego pysznego pieczywa. Po odejściu kelnera zrozumiałam, że nie było to dobre posunięcie, gdyż na białym talerzyku zostały już tylko dwie bułki.

– Mamy za mało bułek do czosnku – powiedziała Jamie, a jej źrenice rozszerzyły się ze strachu. – To nam nie wystarczy!

– Nic się nie bój – uspokoiłam ją i gestem ręki przywołałam pomocnika kelnera.

– Prosimy jeszcze trochę pieczywa!

”

hokus-pokus! Na naszym stoliku pojawił się kolejny biały talerzyk, a na nim dosłownie góra pieczywa. Bułki piętrzyły się jedna na drugiej. Zsuwały z talerza na stolik.

- To jak wygrana na loterii! - wykrztusiłyśmy z siebie bez tchu.

Jamie podniosła jedną i włożyła do ust.

- Nie jedz jeszcze! - krzyknęłam. - Poczekaj na czosnek!

- Ale tutaj jest ich ze trzydzieści - odparła i zjadła następną.

Sekundę później przyniesiono nam czosnek, a wraz z nim... kolejne trzydzieści bułek.

?36

Kelner postawił talerze na stoliku, zatrzymał się na chwilę i zmierzył nas spojrzeniem.

- Proszę, jeszcze trochę... pieczywa - powiedział, z wyższością potraszając głową.

Przerwałyśmy przeżuwanie, spojrzałyśmy na niego i skinęłyśmy głowami. Prawdę mówiąc, na naszym stoliku stały wyłącznie talerze z bułkami.

- Cóż, to mi wygląda na Atak Kobiet Spragnionych Węglowodanów - powiedział bez cienia uśmiechu, odwrócił się i poszedł.

- On nas nienawidzi! szybko- - syknęłam, podsuwając talerzyk w stronę Jamie. - Musimy je wszystkie zjeść! Ty bierz ten stosik, a ja zabiorę się za drugi!

Staraliśmy się jeść naprawdę szybko, dwa kęsy, przełknięcie i już po bułce.

Byłyśmy w połowie drugiego talerza, kiedy zorientowałyśmy się, że wszyscy kelnerzy przechodzą koło naszego stolika gapiąc się na nas i śmieją. Niektórzy zatrzymywali się specjalnie, żeby sobie popatrzeć. Nasz kelner przyniósł zamówione dania i zapytał, czy chciałybyśmy coś jeszcze.

- Prosimy jeszcze trochę pieczywa - odparłam, przeżuując, ale jego to raczej nie rozbawiło.

- Nienawidzi nas - potwierdziła Jamie i zjadła kolejną bułkę.

Szefowa sali obeszła wszystkie stoliki i wręczyła nam kartki z tekstem piosenki Thafs Amore Deana Martina, która właśnie ryknęła z głośników. Personel i klienci podjęli melodię. Kelnerzy, trzymający w dłoniach małe kieliszki wina, ustawili się w rzędzie i zaczęli stukać nimi w kieliszki klientów. Patrzyłyśmy, jak nasz kelner radośnie spełnia toast z ludźmi siedzącymi przy sąsiednich

zsr

stolikach, potem przy nieco dalszych, aż wreszcie oddalił się na drugi koniec restauracji.

- Nie chce się z nami stuknąć! - nadasała się Jamie, która nadal wznosiła swoją szklankę mrożonej herbaty w oczekiwaniu na toast z kelnerem. - On nami gardzi!

- Nie - poprawiłam ją - on się nami brzydzi.

Śledziłyśmy go wzrokiem, gdy tak krążył po sali, śmiejąc się i tracając kieliszkami z normalnymi gośćmi, którym wystarczał jeden talerzyk pieczywa.

Piosenka dobiegła końca, Jamie ze smutkiem odstawiła swoją szklankę, a pomocnik kelnera natychmiast napełnił ją po sam brzeg.

Nagle nasz kelner, mijający właśnie nasz stolik, zawrócił i w akcie najwyższego miłosierdzia (jak również w nadziei, że wyskrobiemy z naszych portfeli odpowiednią liczbę monet, a on dostanie więcej niż dziesięć procent napiwku), uniósł swój kieliszek w stronę Jamie i zasygnalizował toast.

Jamie pośpiesznie sięgnęła po szklankę. Na jej twarzy zagościła radość. Została jednak zbawiona, uznana za wartą zachodu. Wybrano ją jako ostatnią, ale to nie miało znaczenia. Podniosła szklankę, niestety, w ekstazie zrobiła to zbyt szybko.

Mrożona herbata podążyła w stronę wina z prędkością rozpędzonego pociągu, a Jamie, nie zdając sobie sprawy z energii i siły, których dodały jej bułki, huknęła w kieliszek kelnera z głośnym brzękiem. Oba naczynia pękły, a ich zawartość wylała się, oblewając rękaw kelnera i cały nasz stolik.

Kelner spojrział na Jamie, starł kroplę mrożonej herbaty z podbródka i powiedział cicho:

Z38

- Przyniosę ścierkę.

_ Ależ nie trzeba - odparłam, sięgając w stronę jednego z licznych białych talerzy. - Skorzystamy z bułek.

??/?? ?&'???

?? był mój pierwszy dzień w siłowni od czasu, kiedy zostałam z niej relegowana

za palenie papierosów. Pełna chęci, by wykształcić w sobie nowy nawyk, dzięki któremu mój tyłek skurczyłby się z rozmiaru kanapy do rozmiaru kozetki, przygotowywałam się właśnie do ćwiczeń. Otwierałam swoją szafkę w szatni, by zamontować w niej nowy zamek szyfrowy, kiedy ?? się stało. Przeszła koło mnie w stronę ławki przy przejściu. Stała dokładnie przede mną. Naga kobieta, która wyszła spod prysznica.

Kompletnie naga.

Nieubrana.

Nie pamiętam nawet swojego pierwszego odruchu. Pewnie w ogóle go nie miałam. Wiedziałam tylko, że stoi przede mną naga kobieta, a ja się na nią gapię. Chyba nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Naprawdę, nigdy wcześniej nie widziałam nagiej kobiety, z wyjątkiem tego jednego razu, kiedy miałam pięć lat i moja mama pozwoliła naszej sąsiadce, hipisce imieniem Honey, zabrać mnie na zakupy wraz z jej pięcioletnią có-

Z4P

reczką. Honey wzięła nas obie do przymierzalni i zdażyłam zorientować się w sytuacji, jej „groszek” został odsłonięty tuż przed moimi oczyma. Spojrzałam na cM kę Honey, która nie zwróciła większej uwagi na to, co siJ stało. Ja natomiast byłam wstrząśnięta. Miałam pięć \M i pochodziłam z katolickiej rodziny. To wszystko było p0 ? prostu nieczyste. Czułam, że jestem świadkiem czegoś grzesznego i wstydlwego i nigdy nikomu się z tego nie zwierzyłam. Nawet księdzu na spowiedzi. Dopiero dzisiaj. Mamo, przepraszam, że to przed tobą ukryłam, ale taka jest prawda. Widziałam „groszki” Honey. Poczułam się wtedy brudna i tak samo brudna poczułam się teraz. Wszystko działo się jednocześnie, widziałam nie tylko groszki, lecz także inne rzeczy, których nazw moja mama nigdy mnie nawet nie uczyła. Cóż, chroniła mnie przed taką wiedzą.

Do końca gimnazjum mama twierdziła, że podpaski Always w szafce pod umywalką służą jej do czyszczenia ubikacji.

Naga kobieta odwróciła się do mnie tyłem i wycierając nogi ręcznikiem, odsłoniła mi nowy widok na swoją „landrynkę”.

Chciałam zapytać: „Co się tu właściwie dzieje?”, bo przecież jej nie znałam i nie powinnam była oglądać jej nago, tym bardziej że od łazienki dzieliło nas tylko kilka kroków. Nie miałam do tego prawa, a poza tym, kiedy zapisywałam się na siłownię, nikt mi nie powiedział, że jest to również wspólnota nudystów.

„Kto może czuć się do tego stopnia wyzwolony? – zastanawiałam się. – Kto może czuć się tak swobodnie, stojąc przed obcą osobą goły, jak go Pan Bóg stworzył? Kto ma o sobie tak wysokie mniemanie, że potrafi komplet-

24^

??/?? ?&'???

?? był mój pierwszy dzień w siłowni od czasu, kiedy zostałam z niej relegowana za palenie papierosów. Pełna chęci, by wykształcić w sobie nowy nawyk, dzięki któremu mój tyłek skurczyłby się z rozmiaru kanapy do rozmiaru kozetki, przygotowywałam się właśnie do ćwiczeń. Otwierałam swoją szafkę w szatni, by zamontować w niej nowy zamek szyfrowy, kiedy ?? się stało.

Przeszła koło mnie w stronę ławki przy przejściu. Stała dokładnie przede mną. Naga kobieta, która wyszła spod prysznica.

Kompletnie naga.

Nieubrana.

Nie pamiętam nawet swojego pierwszego odruchu. Pewnie w ogóle go nie miałam. Wiedziałam tylko, że stoi przede mną naga kobieta, a ja się na nią gapię. Chyba nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Naprawdę, nigdy wcześniej nie widziałam nagiej kobiety, z wyjątkiem tego jednego razu, kiedy miałam pięć lat i moja mama pozwoliła naszej sąsiadce, hipisce imieniem Honey, zabrać mnie na zakupy wraz z jej pięcioletnią có-

Z4P

reczką. Honey wzięła nas obie do przymierzalni i zanim zdażyłam zorientować się w sytuacji, jej „groszek” został odsłonięty tuż przed moimi oczyma. Spojrzałam na córkę Honey, która nie zwróciła większej uwagi na to, co się stało. Ja natomiast byłam wstrząśnięta. Miałam pięć lat i pochodziłam z katolickiej rodziny. To wszystko było po prostu nieczyste. Czułam, że jestem świadkiem czegoś grzesznego i wstydlwego i nigdy nikomu się z tego nie zwierzyłam. Nawet księdzu na spowiedzi. Dopiero dzisiaj. Mamo, przepraszam, że to przed tobą ukryłam, ale taka jest prawda. Widziałam „groszki” Honey.

Poczułam się wtedy brudna i tak samo brudna poczułam się teraz. Wszystko działało się jednocześnie, widziałam nie tylko groszki, lecz także inne rzeczy, których nazw moja mama nigdy mnie nawet nie uczyła. Cóż, chroniła mnie przed taką wiedzą.

Do końca gimnazjum mama twierdziła, że podpaski Always w szafce pod umywalką służą jej do czyszczenia ubikacji.

Naga kobieta odwróciła się do mnie tyłem i wycierając nogi ręcznikiem, odsłoniła mi nowy widok na swoją „landrynkę”.

Chciałam zapytać: „Co się tu właściwie dzieje?” bo przecież jej nie znałam i nie powinnam była oglądać jej nago, tym bardziej że od łazienki dzieliło nas tylko kilka kroków. Nie miałam do tego prawa, a poza tym, kiedy zapisywałam się na siłownię, nikt mi nie powiedział, że jest to również wspólnota nudystów.

„Kto może czuć się do tego stopnia wyzwolony? – zastanawiałam się. – Kto może czuć się tak swobodnie, stojąc przed obcą osobą gołą, jak go Pan Bóg stworzył?”

Kto ma o sobie tak wysokie mniemanie, że potrafi komplet-

?

nie się obnażyć i nie wybuchnąć płaczem?” Ja przecież wstydzę się wejść pod prysznic, zdjawszy uprzednio całe ubranie, we własnej łazience, nie mówiąc już o urządzaniu pokazu dla innych ludzi. Nie zdejmuję biustonosza aż do zachodu słońca, to moja żelazna zasada. Czuję się perwersyjnie, jeśli jestem naga i zobaczy mnie mój pies, a co dopiero ktoś kompletnie mi nie znany. Kiedy wybieram się do ginekologa, muszę wcześniej poćwiczyć siadanie na brzegu łóżka bez majtek.

Dopiero wtedy jestem gotowa. Naturalnie, naga kobieta z siłowni nie miała takich oporów. Nie wiedziałam, co robić, przeraziłam się tak, że zapomniałam szyfru do mojego nowego zamka. Wróciłam do domu i zadzwoniłam do mamy.

– Widziałaś golaskę? – zapytała mama z drugiego końca kabla. – To obrzydliwe. A do łazienki było tylko parę metrów? Niektórzy ludzie zachowują się jak zwierzęta,

dzikie zwierzęta! Nigdy nie słyszeli o Sodomie i Gomorze?

– Nie mam pojęcia – odparłam, potrząsając głową.

– Kiedy razem z twoją siostrą zapisałyśmy się na siłownię w zeszłym roku – ciągnęła mama – było ich tam tyle, że w końcu musiałam przestać chodzić. Czuję się jak w barze topless! Już miałam zacząć rozdawać im po dolarze! „Proszę bardzo, proszę...” Ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę, to oglądanie cudzych groszków! Jak miałabym o tym opowiedzieć księdzu? Powinnaś zostać w domu i ćwiczyć we własnej sypialni, tak jak ja.

Potem rozmawiałam z siostrą.

– Pewnego razu w szatni spotkałam koleżankę, która była mi winna pieniądze, a ona wypisała mi tam czek, tak jak stała. Kompletnie goła.

Z4Z

– I co zrobiłaś? – zapytałam.

– Zrealizowałam czek i kupiłam sobie kasetę z aerobikiem – odpowiedziała. – A teraz ćwiczę w domu, kiedy jestem sama. Nie jestem już w stanie pójść na siłownię. Tyle tam golasów, że czuję się jak w filmie porno. A jeśli chodzi o moją koleżankę... no cóż, nie mogę jeść lunchu z kimś takim. Może sobie nosić siedem swetrów i kurtkę, ale dla mnie zawsze będzie goła.

Kiedy mój chłopak wrócił z pracy i zapytał mnie o pierwszy dzień na siłowni, opowiedziałam mu o nagiej kobiecie, która wystraszyła mnie tak bardzo, że musiałam wrócić do domu.

– Pomyślałaś, że jest nieprzyzwoita, prawda? – zapytał.

– Tak – przyznałam – tak pomyślałam. Wzruszył ramionami i powiedział:

– I co z tego? Przecież to siłownia, Laurie. Ludzie muszą brać prysznic. A ty masz jakieś... zahamowania. Nie mogę uwierzyć, że nigdy wcześniej nie widziałaś nagiej kobiety.

– No wiesz – zaprotestowałam – kiedy dziewczyny wchodzą do wspólnej przymierzalni, to nie zrzucają od razu ubrań i nie zaczynają gonić się w kółko i laskotać.

– A co z twoją rodziną? – zapytał. – Nigdy nie widziałaś ich bez ubrania?

Zaparło mi dech w piersiach do tego stopnia, że prawie się przewróciłam.

– Jesteśmy bardzo ostrożni! – powiedziałam wolno. – i nie przepadamy za nagością!

– Ale nagość w szatni jest czymś normalnym – odpowiedział mój chłopak, próbując

mnie uspokoić. – Jeśli

243

znowu tam pójdziesz, to pewnie zobaczysz jeszcze więcej nagich ludzi.

– Tak? No to nie będę się z nimi bawić – oświadczyłam. – I nie będę nikomu wycierać pleców!

Kilka dni później zebrałam w sobie dość odwagi, by znów wybrać się na siłownię. Chciałam właśnie założyć nową kłódkę na drzwi do szafki w szatni, kiedy usłyszałam babciowaty głos starszej osoby, zwracającej się do mnie z prośbą.

– Przepraszam – powiedział ów głos łagodnie. – Mogłabyś mi pomóc, złotko? Upadł mi grzebień i nie mogę go dosięgnąć.

– Jasne, oczywiście – odparłam, widząc grzebień na podłodze.

Podniosłam go i zwróciłam się w stronę starszej pani, ale kiedy spojrzałam w słodkie oczy babuni, dostrzegłam, że zdobi ją jedynie uśmiech.

pod&CRow^i\y&

Pragnę złożyć specjalne podziękowania mojej rodzinie (tak, Mamo, to oznacza Ciebie i Tatę, Babcię, Lisę, Lindę, Taylora, Nicholasa i Davida) za to, że pozwoliła mi nie tylko pracować, ale i suszyć publicznie wszystkie nasze brudy, wcale się na mnie przy tym nie wściekając... choć kilkoro z Was straszło mnie sądem. Pamiętajcie jednak, że mogę wszystko udowodnić. Dziękuję mojemu facetowi, że zgodził się, bym mówiła, co chcę, kiedy potrzebowałam zabawnego tekstu do felietonu, i za to, że nie powiedział swojej rodzinie o mojej pracy.

Dziękuję Jamie Schroeder-Gomez, Jeffowi Abbotowi, Jodowi Abbotowi, Nikki Adams, Kate McGinty, Krysti Lin-demoen, Patrickowi Sedillo, Sandrze Quijas, Sarze Cina, Dionne Gonzales, siostrze Feeney i wszystkim moim przyjacielom za powierzenie mi swoich sekretów, dzięki którym mogłam kończyć teksty na czas.

Dziękuję Michelle Savoy, Meg Halverson, Billowi Hummelowi, Coni Bourin, Laurze Smith, Kathy Murillo, Beth Kawasaki, Ericowi Searlemanowi, Shamsi i Jama-lowi Ruhe, Jenny Ignaszewski, Seanowi Fitzpatrickowi,

24\$

Troyowi Fussowi, Charliemu Levy, Robertowi Sentine-ry, Amy Silverman, Theresie Cano, Sarah Wallace, Laurze Greenberg, Beth Deveney, Ann Grigsby, Jeffowi Unge-rowni oraz moim nauczycielkom angielskiego w siódmej i dziewiątej klasie, pani Homuth i pani Gaio, za wsparcie i zachętę.

Wielkie podziękowania dla moich czytelników, których kocham i podziwiam za to, że wytrzymali ze mną dłużej niż którykolwiek chłopak.

Gorące owacje dla wszystkich chłopców, którzy powiedzieli, że mnie kochają, i skłámali, dzięki czemu stałam się wredną, zgorzkniałą babą. (PS Od czasu, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, straciłam dziewięć kilo po zjedzeniu mięsa ze świni, która, zdaniem mojego lekarza, była nieco zbyt różowa, źle sprawiona, a do tego testowano na niej kosmetyki. Nie wyprostowałam sobie jeszcze tej krzywej górnej dwójki, ale jak dostanę zwrot podatku – a nie będę potrzebowała nowych klocków hamulcowych albo skrobanki – nie będziecie już mogli mnie przezywać „Krzywy Kiel”. Wyglądam teraz jak bóstwo, a poza tym idę o zakład, że żaden z was nie wyszedł jeszcze nawet na zwolnienie warunkowe. Ha!)

Aha, dziękuję też wszystkim szefom, którzy wylali mnie z kiepskich posad. Wiem, kim jesteście. Jeśli kiedykolwiek będę miała okazję wydusić z was kolejny zasiłek albo gwizdnąć zapas kartek samoprzylepnych z waszych biur, wykorzystam ją. I nie mówcie, że was nie ostrzegałam.

Najgłębsze wyrazy szacunku należą się Hopkinsowi, który rozumiał wszystko, osłaniał mnie przed deszczem na schodach chińskiej restauracji, żeby nie zmokła mi su-

246

kienka, i który nauczył mnie najważniejszych, najuczciw-szych rzeczy w życiu. Może jesteś daleko stąd, ale nigdy nie stracę Cię z oczu.

Wieczna wdzięczność dla Wspaniałej, Niewiarygodnej i Cudownej Jenny Bent, której zawdzięczam nerkę, dwoje oczu i sprawniejszy jajnik. Jenny rządzi bezwarunkowo i jest tysiąc razy lepsza niż jakakolwiek psychoterapia, nawet słono płótna. Żadne słowa podziękowania tu nie wystarczą.

Dziękuję Ninie Graybill za nieustanne wsparcie. Składam też najpiękniejsze podziękowania Pameli Cannon, która zabrała się za tę przerośniętą idiotkę – mnie,

nie tylko dlatego że uznała jedną z moich nóg za znacznie krótszą od drugiej.

Nie gardzę litością, więc pozwoliłam jej w to przez chwilę wierzyć, ale tak czy inaczej, Pamela zasługuje na moją wdzięczność za ciągle wygładzanie wypocin

myśliwego i zbieracza, a co gorsza, absolwentki dziennikarstwa.

Dziękuję, dziękuję, dziękuję.

No i oczywiście, pokorne ukłony dla wszystkich
Idiotek.

Rządzimy, po prostu rządźmy.

Pozdrowienia,

Laurie.

O AUbOZGOR

Laurie Notaro od dziesięciu lat jest felietonistką działu satyrycznego.

Wyrzucono ją już z siedmiu posad (a może nawet ośmiu). Obecnie mieszka ze swoim pierwszym mężem i zwierzętami domowymi (w tym dwa psy – ratlerek i labradorka, która wypróżnia się przez sen – oraz kot bez zębów) w gorącym, suchym i zapyłonym Phoenix w stanie Arizona. Klub Idiotek to jej pierwsza książka. Więcej informacji na stronie internetowej: www.laurienotaro.com.

spis ??&&?

W poszukiwaniu zaginionych kluczyków / 7 Klub Idiotek i sztuka bycia głupkiem
/ 13 Z prochu powstałeś czy w proch się obrócisz –
mama mówiła, że bielizna to mus! / 19 Dobrzy, źli i szkaradni / 25 Frajerki
/ 31 Tu śmierdzi gównami / 35 Kąsek z Edenu / 41 Bezużyteczny czarny
biustonosz i dwunastopunktowy
program totalnego upojenia / 47 Konus / 54
Byle dalej od granicy / 62 Noc, kiedy złapali starą Laurie / 67 Uwaga,
szaleły! / 76 Niespełniony ławnik / 81 Mowa / 91 Moralny seks / 96
Mężczyźni są głupi, a ja rządzę!
(Oda do Dorothy Parker) / 101 Dobór naturalny albo coś w tym rodzaju / 108
Z4S>

Sporty ekstremalnie czyste / 114

Mama Amy, wróżki i sekatory do żywopłotu / 119

Rozśmiesz mnie, klaunie! / 126

Jak przeżyć na nowo koszmar szkoły

średniej za jedyne sto trzy dolary / 131 Bezpieczna w spodniach dzwonach i

kowbojkach Szeroko otwarta / 143 Pudło z Evelyn / 150 Ile kosztuje własny
pokój? / 157 Ptaki i ludzie / 163 Czekając na faceta od robali / 171

Usprawiedliwienie od mamy / 179 Dobra wyżerka / 185 Na drodze / 192

Państwo Petersenowie? / 196 Zemsta dziewczyny z działu biustonoszy / 201

Dziura w zębie / 207

Budzenie Angeli / 214

Zemsta Angeli / 219 Świństwa i zbrodnie / 223 Cyrk z Jabłkiem w

Czekoladzie / 229 Jeszcze trochę pieczywa / 234 Tylko uśmiech / 240

Podziękowania / 245 O Autorce / 248

ISIS

Printed in Poland

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o., 2004

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

bezpłatna linia telefoniczna: o 800 42 10 40

księgarnia internetowa: www.wl.net.pl

e-mail: ksiegarnia@wl.net.pl

fax: (+48-12) 430 00 96

tel: (+48-12) 423 22 54, wew. 105

Skład i łamanie: Design Plus

Druk i oprawa: Drukarnia GS

\